

IMPERIALIŚCI ŚNIĄ O IMPERIUM

Piotr Skwieciński próbuje
zajrzeć w głąb rosyjskiej duszy



Ziemkiewicz podpowiada,
jak przyjmować tych migrantów,
których Polska potrzebuje

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZYSTW

NR 36/492 5-11 WRZEŚNIA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



HOMOSEKSUALNE
KOMIKSY
ATAKUJĄ
POLSKIE DZIECI

Komu przeszkadza
telewizja wRealu24?



Połowanie na prof. Roszkowskiego

ISSN 2295-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 54 000 egzemplarzy



#bezprzedaw**NIE**nia

Dorobek wielu pokoleń mieszkańców Polski
- przekreślony, zniszczony, zawłaszczony, rozkradzony.

Zrównane z ziemią miasta, zbombardowane szkoły, zrabowane dzieła sztuki, splądrowane fabryki i zakłady pracy.

Nie zaczynaliśmy żadnej ze światowych wojen. Nie rozpętaliśmy żadnej rewolucji. Nie wybieraliśmy do władzy zbrodniarzy.

Za pragnienie wolności sami musieliśmy dźwigać nasz dom z ruin.

Traumy XX wieku przepracowujemy do dziś.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Baty zamiast wdzięczności

Wizyta w Polsce szefa ukraińskiego Sejmu, Rusłana Stefanczuka, jednego z najbardziej zaufanych ludzi prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i ideologa partii Sługa Narodu, nie odbiła się, przynajmniej w mediach prawicowych, zbyt głośnym echem. Faktycznie, pod każdym względem była ona, jak by to powiedzieć, ambarasująca. Otóż marszałek Stefanczuk był gościem specjalnym na Campusie opozycji, imprezie zorganizowanej przez Rafała Trzaskowskiego, której głównym motywem było biczowanie i wyszydzenie obecnego rządu. Ukraiński polityk wystąpił we wspólnym panelu z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim, gdzie razem (lub osobno) wzywali do budowy demokracji, co, jak wynikało z kontekstu, o który zadbali organizatorzy, oznaczałoby odsunięcie PiS od władzy. Piękny przykład ścisłej współpracy między ukraińskimi władzami a polską totalną opozycją, nieprawdaż?

Wizycie marszałka Stefanczuka towarzyszyło zaskakujące milczenie żarliwych obrońców rządu i jego ukraińskiej polityki. Przepraszam, udało mi się znaleźć jeden publicznie wyrażony głos zwątpienia, europoła Ryszarda Czarneckiego, który to dostrzegł niestosowność takiego zachowania. Zauważył, że przecież polski rząd robi, co może, wspiera, ile wlezie, jest adwokatem i lobbystą sprawy ukraińskiej, bierze na siebie (i swoich obywateli) ciężar pomocy, a tu nasz najbliższy sojusznik, któremu wszystko byśmy oddali, przyjeżdża do Polski i bierze udział w opozycyjnej hucpie. To trafne spostrzeżenie. Jednak zarówno w jego wypowiedzi, jak i w innych, mniej widocznych pojawia się ten sam motyw, który w ogóle najlepiej opisuje całą polską politykę zagraniczną. Myśmy

dali tyle, a MIMO tego tak się nas traktuje. Otóż odpowiadam: tak się nas traktuje DLATEGO, bo tyle żeśmy dali. Polska polityka wobec Ukrainy polega na tym, by dawać bezwarunkowo wszystko to, czego nasz partner może potrzebować, zanim o to poprosi.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji strona ukraińska do niczego nie czuje się zobowiązana. Biorą, co dają, i nie kwitują. Nie jest to pierwszy raz. Przypomnę, że niedawno partia Wołodymyra Zełenskiego przystąpiła do międzynarodówki liberalnej, której najbardziej znanym przedstawicielem jest Guy Verhofstadt, jak by nie było jeden z najbardziej zapiekłych zagończyków antypisowskich w Europie. Jeszcze wcześniej ambasador Ukrainy podpisał się pod listem organizowanym przez ambasadę USA, w którym to domagano się specjalnych praw dla tzw. osób LGBT w Polsce. Jeśli tak dalej pójdzie, to prezydent Zełenski będzie rozliczał Polskę z przywiązania do zasad praworządności i wartości europejskich. Nie przesadzam. Ukraina funkcjonuje w tej chwili jedynie dzięki kropłowce – finansowej i militarnej – Zachodu. Skoro kwestie ideologiczne dla Zachodu – tak dla Unii, jak dla USA prezydenta Joe Bidena – są tak ważne, to Kijów nie będzie miał wyjścia. Tak jak nie miał wyjścia prezydent Zełenski, podpisując się pod konwencją stambulską.

Ten mechanizm – dajemy wszystko, co mamy, licząc na wdzięczność, a zamiast tego zbierając baty – opisuje ogólnie polską politykę zagraniczną. Dlatego na Campusie opozycji pojawił się Mark Brzezinski, ambasador naszego największego sojusznika, Stanów Zjednoczonych, i niedwuznacznie ogłosił, że przyszłość należy do wrogów PiS. Żeby nikt nie miał wątpliwości, o co mu

chodzi, spotkał się następnie z przedstawicielami zbuntowanych środowisk prawniczych i wyraził dla nich swoje poparcie. Gdyby to był inny ambasador, rozpętałaby się burza. Ale w stosunku do dyplomaty USA? Nie, tak jak w przypadku poczynąń jego poprzedniczki Georgette Mosbacher nie bardzo można protestować, tak z wyjątkiem głosu Witolda Waszczykowskiego też zapadło milczenie. No bo co tu powiedzieć? Mark Brzezinski, jak by nie było oficjalny przedstawiciel państwa amerykańskiego, w oczy mówi, że chciałby zwycięstwa opozycji i de facto obalenia rządu.

To nie koniec i jestem przekonany, że ambasador Brzezinski na tym walki o praworządność nie zakończy. Dobrze rozumie to, czego nie są w stanie pojąć polscy politycy i wielu publicystów (doskonałym przykładem jest tu Piotr Zaremba), że USA liczą się tylko z tymi, o których muszą zabiegać. Jeśli jednak Polska z góry ogłasza, że chętnie przyjąłaby rolę wasala Ameryki, bo i tak nie ma innego wyjścia, gdyż inaczej zje ją Rosja, to kolejne akty dyscyplinowania rządu są tylko kwestią czasu. Dla wielu polskich komentatorów i polityków czas się zatrzymał. Pozostali są mentalnie w epoce Ronalda Reagana, może jeszcze pierwszego George'a Busha. Nie zauważyli postępującej ideologii, a od czasów drugiej kadencji Baracka Obamy – radykalizacji polityki amerykańskiej. Obecnie opiera się ona na stanowczym wsparciu dla aborcji, genderyzmu, klimatyzmu i sanitaryzmu. Waszyngtonem rządzą lewicowi globaliści i chcą, skoro panują nad imperium, by inni się do tego dostosowali. A już na pewno będą się tego domagali od państwa, które pragnie być przedstawicielem ich interesów w Europie Środkowej. Coś za coś. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA

WSZYSTKIE MYŚŁOZBRODNI PROFESORA R.

Wściekła cenzura przeciw
pluralizmowi w szkole

18 TOMASZ ROWIŃSKI

OBURZONA TERAŹNIEJSZOŚĆ

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POLSKA NIE TYLKO DLA POLAKÓW

Imigranci są nam potrzebni

26 KAMILA BARANOWSKA

BÓJ O MŁODZIEŻ

28 ROZMOWA Z SEBASTIANEM KALETĄ

TEN WYROK POMOŻE ZAMKNAĆ ZŁY ROZDZIAŁ III RP

30 ZUZANNA DĄBROWSKA

INDOKTRYNACJA NA MIĘKKO

KULTURA

32 REMIGIUSZ

WŁAST-MATUSZAK

ZŁOTE LWY, TŁUSTE KOTY I GŁODNE WILCZKI

47. FPFF w Gdyni

36 PIOTR GOCIEK

PO KOŃCU ŚWIATA

38 JOANNA BOJAŃCZYK

SEMPÉ Z KRAINY POEZJI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z PIOTREM SKWIECIŃSKIM

INNY ŚWIAT

Wojna o granice „ruskiego mira”

48 ŁUKASZ WARZECHA

PRECZ Z REALU

HISTORIA

50 SEBASTIAN LIGARSKI

BOHATERKA ZE ZDJĘCIA

Zofia Pietkiewicz, opozycjonistka z Koszalina

52 PAWEŁ PORAŃSKI

OBCY WRÓG

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI

UKRAINA W PLANACH PUTINA

Rosyjska gra pozorów

59 MAŁGORZATA WOŁCZYK

DOLINA POLEGŁYCH – ŚWIĘTYCH I ZBRODNIARZY

62 TERESA STYLIŃSKA

NA DRODZE DO REPUBLIKI

EKONOMIA

66 PIOTR WŁOCZYK

ROSJA ZGNIATANA SANKCJAMI

Gospodarka agresora ma zawał

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. BOŻENĄ KAROLEWICZ

LEKI GENERYCZNE SĄ CZĘSTO INNOWACYJNE

Polityka lekowa

TYGODNIK LITERATURY
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacke Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemieliwicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiermistrz, Krzysztof Czabański, Wojciech Colonika,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacke Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toralski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacke Nadarowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Robert Gardziński**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wielkie postacie polskiej nauki”

Sz.P. Redaktorze,
to piękna i cenna seria o genialnych
Polakach. Beznawiasowy zapis wyrażenia
matematycznych wymyślony przez
Łukaszewicza ca 1930 r. jest używany
przez wszystkie komputery świata, a nosi
nazwę Reverse Polish Notation (RPN). Gdy
kupiłem jeden z najpierwszych mini firmy
Hewlett-Packard, to reklamą HP było, że
używa RPN.

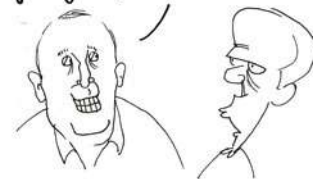
Z poważaniem
Jan Stecki, prenumerator

[...] Panie Redaktorze: „... był świetnym
pilotem i piekielnie utalentowanym
inżynierem...”. [Artykuł] Jacka Przybylskiego
„Pionier polskich myślicieli” w dodatku
specjalnym „Wielkie postacie polskiej
nauki” z „DRz” 34/2022 – przyp. red.].
Piekielnie nam się kojarzy, a w kontekście
do Zygmunta Puławskiego... Jak tak
można???

Oprócz tej małej zadry (która jednak
mnie uwiera) artykuł świetny! Dziękuję
za ten i za inne, w których Pan przybliżył
wybitnych Polaków.

Myślę, że gdyby Stany Zjednoczone
miały taką 1000-letnią historię i takich
bohaterów jak Polska, to Hollywood nie
nadałaby z kręceniem filmów o tym.
A w Polsce – na palcach jednej ręki można
policzyć dobre filmy historyczne czy o wy-
bitnych Polakach. Szkoda...

Ja nie mam prawa jazdy,
ty nie masz prawa jazdy...
to może niech naszym hasłem
wybierzemy będzie „chodźcie z nami!”



619320P@A1k - chodźcie z nami!

Chciałabym też serdecznie podzięko-
wać panu redaktorowi Pawłowi Chmie-
lewskiemu, który w tym samym numerze
pisze o Medjugorje.

Ja też jestem bardzo sceptyczna w sto-
sunku do tych objawień, które trwają od
40 lat. To jest po prostu biznes. Przekaza-
łam Pana artykuł mojemu znajomemu,
który właśnie wrócił z Medjugorje i narze-
kał: 38 godzin bez snu, opuchnięte nogi...

Zachęcam Pana do napisania arty-
kułu o Gietrzwałdzie – jedynym w Polsce
miejscu objawień Matki Bożej uznanym
przez Kościół. Kiedyś zapytałam się pewnej
zakonnicy, gdzie jest takie miejsce uznane
przez Watykan, odpowiedziała: Święta
Lipka.

Serdecznie dziękuję całej redakcji za
świetny tygodnik. Niech Wam Bóg błogo-
sławi!

Barbara Świdarska

Wyjaśnienie

Do tekstu „Triumf polskich skrzydeł”
(dodatek specjalny „Wielkie postacie
polskiej nauki” z „DRz” 34/2022) wkradł
się kuriozalny błąd. Dwukrotnie zamiast
Atlantyku pojawia się Ocean Spokojny.
Za tę oczywistą pomyłkę Czytelników
przepraszamy.

Redakcja

NEKROLOG

Naszej Drogiej Koleżance

Annie Zalewskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Komunista, który nie rozumiał komunizmu

Smierć Michaiła Gorbaczowa zajęła uwagę bardziej światowych mediów niż polskich. Istotnie, wciąż jeszcze żyją uczestnicy Gorbymanii z końca lat 90. Wtedy, w latach 1986–1991, jawił się on politykom w Berlinie, Paryżu czy nawet Waszyngtonie jako nadzieja na wyrwanie się z potwornego lęku przed wojną jądrową, który dławił Zachód od końca lat 70. Niemcy z kolei widzieli w nim szansę na zakończenie zimnej wojny i uniezależnienie się od Stanów Zjednoczonych jako gwaranta atomowego parasola nad Niemcami. Kult Gorbaczowa wzmacniała też odwieczna obawa polityków zachodnich przed „twardogłowymi”, którzy okazać się gorsi i jeszcze bardziej brutalni.

Polacy patrzyli na Gorbaczowa bez większych emocji. Słusznie widzieli w nim polityka, który rozpaczliwie próbuje zatrzymać rozpad Związku Sowieckiego. Tutaj, nad Wisłą, widzieliśmy znacznie lepiej, że cała tak wysławiana pierestrojka i głośność to łabędzi śpiew propagandowy imperium, które przestaje działać. Nie dlatego, że znalazło w sobie siły, aby zhumanizować socjalizm i nadać mu ludzkie oblicze, ale dlatego, że przegrało rywalizację wojenną wskutek odwagi Ronalda Reagana.

Gorbaczow grał lękiem przed rosyjskim potencjałem nuklearnym i uzyskiwał w ten sposób zastrzyki finansowe z Zachodu. Na tle zimnych, okrutnych starców w rodzaju Susłowa, Andropowa czy Czernienki był istotnie bardziej sympatyczny. Potrafił się uśmiechać, wykonywać gesty sugerujące, że jest człowiekiem o wrażliwym sercu, i udawać, że socjalizm ma jeszcze przyszłość. Ale cała ta głośność oparta była na jednym

wielkim kłamstwie. Jeden z najbardziej znanych sowieckich plakatów promujących zmiany przedstawiał portret Lenina pokryty kurzem. Reformatorskie działania symbolizowane były wytarciem twarzy sowieckiego lidera za pomocą gąbki. Miało to niby znaczyć, że komunizm w wydaniu Lenina był fajny, ale potem zarósł kurzem i „wypaczeniami” stalinizmu epoki Chruszczowa oraz okresu stagnacji Leonida Breżniewa. Było to kłamstwo, bo leninizm był równie okrutny jak stalinizm, tyle tylko że mordercy Lenina dopiero uczyli się i zdobywali doświadczenie.

Ale prawdziwym ciosem w pierestrojkę gorbaczowską były aspiracje narodów ZSRS, które wyczuły okazję na wyrwanie się z tury z pod znaku sierpa i młota. To Litwini, a za nimi Łotysze i Estończycy ściągali gacie tak wychwalanej pierestrojce, przypominając, że w ich wypadku podstawowym postulatem jest niepodległość ich państw. I wtedy Gorbaczow tracił twarz dobrodusznego wujaszka. Na własne oczy oglądałem, jak pod wieżą telewizyjną w Wilnie w styczniu 1991 r. sowieccy spadochroniarze strzelali do niewinnych ludzi. Litewskie ofiary Gorbaczowa spoczywają dziś na wileńskim cmentarzu i przypominają, że „Gorbi” ma na sumieniu liczne ludzkie istnienia. Tak samo było w Azerbejdżanie, gdzie rok wcześniej próbowano stłumić wolnościowe aspiracje Azerów i Ormian, napuszczając obie nacje na siebie.

Gorbaczowa będziemy wspominać jako bezradnego kierownika masy upadłościowej po Związku Sowieckim, który starał się uratować, co się da. Potem był już zjazd w dół, bo nikt nie był w stanie

kontrolować procesów rozkładu. Gorbaczow przetrwał próbę zamachu stanu w sierpniu 1991 r., ale był to już łabędzi śpiew sowieckiego straszdyła. Młody, obiecujący wtedy aparatchyk Borys Jelcyn dosłownie wyrywał Gorbaczowowi spod siedzenia fotel lidera, ogłaszając niezależność Rosji od ZSRS. Z dnia na dzień Gorbaczow okazał się władcą Kremla jako enklawy przypominającej Watykan w rosyjskiej stolicy. Cztery miesiące po puczu Janajewa Związek Sowiecki zakończył swój żywot.

Tragikomiczne były potem wywiady z Gorbaczowem, w których próbuje on bronić swojej drogi odrodzenia ZSRS. Gorbaczow był komunista, ale nie rozumiał komunizmu. Wydawało mu się, że można nieco zmniejszyć terror, nieco rozszczełnić zasady niekomunistycznego rozdziału dóbr i komunizm okaże się na nowo całkiem sprawny i fajny. Nie okazał się. Wystarczyło wyjąć jedną cegiełkę z totalitarnego muru, aby wszystko się rozsypało.

I potem wszyscy go nie lubili. I Rosjanie, którzy chcieli pełnej wolności, bo „Gorbi” próbował utrzymywać siłę ZSRS, i wypelnieni nostalgią za Sowietami byli twardogłowi, którzy widzieli w nim destruktora sowiecko-rosyjskiej potęgi. Gorbaczow przypominał ucznia czarnoksiężnika z baśni Goethego, który miał dobre intencje, ale nie miał wyobraźni, żeby oszacować efekty procesów, które uruchomił.

Polacy patrzyli na niego jak na relikw przyszości. Sami stworzyliśmy program wolnościowy, którego symbolem była Solidarność, i żaden czarodziej z Kremla do myślenia o naszej wolności nie był potrzebny. ©



FOT. AGC IMAGES/EAST NEWS

58%

POLAKÓW

JEST PRZEKONANYCH, ŻE CPK WPŁYNIE NA ZNACZENIE POLSKI NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ*

**WEDŁUG IATA, JEŚLI CPK NIE POWSTANIE, W CIĄGU
NAJBLIŻSZYCH 40 LAT POLSKA STRACI 850 MLN
POTENCJALNYCH PASAŻERÓW, KTÓRZY SKORZYSTAJĄ
Z LOTNISK ZAGRANICZNYCH.**

ŹRÓDŁO: AKTUALIZACJA SZCZEGÓŁOWEJ DŁUGOTERMINOWEJ PROGNOZY RUCHU LOTNICZEGO DLA POLSKI I CPK, IATA 2021.



* ŹRÓDŁO: BADANIE OPINII PUBLICZNEJ ZREALIZOWANE NA ZLECENIE CENTRALNEGO PORTU KOMUNIKACYJNEGO
W OKRESIE PAŹDZIERNIK-LISTOPAD 2021 (N=1048, REPREZENTATYWNA PRÓBA OGÓLNOPOLSKA).

PŁYWANIE W KISIELU

Medale wzajemnej adoracji

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Nagrody branżowego magazynu „Press” (branżowość wyraża się głównie wzajemnym zapewnianiem się nawzajem na jego łamach pracowników mediów lewicowo-liberalnych, „że są wspaniali i najlepsi” i że nikogo spoza swego grona nie oglądają, nie słuchają i nie czytają, bo po co), zwane Grand Pressami, przestały zasługiwać na jakikolwiek szacunek po tym, jak skasowano w nich w ostatniej chwili całą kategorię, by nie przyznać nagrody redaktor Lubeckiej, bo ta ośmieliła się odmówić nazywania niejakego „Margota” Szutowicza – ona. „Press” postanowił więc zacząć przyznawać jeszcze inną nagrodę, a mianowicie Medale Wolności Słowa.

Najwięcej uwagi przyciąga medal dla Katarzyny Wappy. Tak,

to ta pani, która zaserwowała w TVN24 wstrząsającą opowieść o Ibrahimie, ukrywającym się sześć dni przed zbrodniarzami w polskich mundurach pod wodą, nie jedząc i nie oddychając, i która, gdy w tę opowieść wątpiono, zaręczyła, że to potwierdzona prawda, bo opowiedział jej sam Ibrahim. Drugi medal za polityczną poprawność dostał Piotr Jacoń, też z TVN24, który zajmuje się tam czytaniem z promptera, a poza tym napisał książkę o transseksualistach. Odznaczono też sędziego Igora Tuleyę, który od dwóch lat bierze sędziowską pensję za nic i robi z tym za męczennika (to, przynajmniej, prawdziwe osiągnięcie), oraz Wandę Traczyk-Stawską, jedyną „powstankę warszawską” wspierającą liberalną lewicę, która poza tym odznaczyła się udziałem

w hucpie TVN24 (znowu) – „PiS nie wpuszcza powstanki do Sejmu” – publicznym naurąganiem Robertowi Bąkiewiczowi, wspieraniem aborcji na życzenie oraz nowatorską wykładnią Powstania Warszawskiego jako „walki o prawo do bycia w Europie”. Wreszcie jeden medal na dwóch dostali Stanisław Tym i Jacek Fedorowicz, chyba za to, że jeszcze żyją.

Co pachnie skandalem, pominięto w przyznawaniu medali osobę najbardziej dla wolności słowa zasłużoną, największą bohaterkę minionych miesięcy i ofiarę PiS-owskiego reżimu, Barbarę Kurdej-Szatan. Co sprawia, że wymowa całej gali i jej znaczenia dla walki o wolność została poważnie osłabiona. I za to ktoś powinien polecieć. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Tusk: wstydu nie będzie

Donald Tusk oświadczył, że skoro PO w sprawie aborcji „gwarantuje kobietom podejmowanie decyzji”, to będzie „bezwzględnie egzekwował swoją pozycję w czasie kształtowania list do parlamentu”, by nie musiał się „później wstydzić za to, że ktoś będzie prezentował inne zdanie”. Ta deklaracja to pomnikowy wkład Polski w postępy myśli liberalnej i rozwój nowoczesnego świata. Można ją porównać z wprowadzeniem przez mariawitów kapłaństwa kobiet, gdy się na Zachodzie jeszcze o tym nikomu nie śniło, albo z wystąpieniami Boya w obronie „mniejszości seksualnej” ćwierć wieku przed tym, gdy jakiś Szwed przypisał sobie wynalezienie tej kategorii.

Tuskowa wizja liberalizmu jest naprawdę imponująca: klarowna: używać władzy na tyle „bezwzględnie”, by potem się nie „wstydzić”, że ktoś publicznie będzie „prezentował inne zdanie”. Nawet Hillary Clinton nie potrafiła tego sformułować tak jasno. W swych pamiętnikach, owszem, burzy się, że nawet Bernie Sanders uważa, że w Partii Demokratycznej powinno być również miejsce dla polityków pro-life, ale zaraz się zastrzega, że nie chodzi o to, żeby dla nich miejsca nie było. Nie, niech będą! Chodzi tylko o to, żeby Bernie nie wygadywał, że być powinni. A Tusk w taką dialektykę się nie bawi, bo wie, że dla porządnie skonsolidowanej demokracji, dla nowoczesnego

liberalizmu „inne zdanie” to wstyd i hańba!

Politycy Platformy będą teraz musieli zapomnieć, że ich oficjalna Deklaracja Ideowa ciągle głosi, że „prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo”. Co więcej, że pisząc tę deklarację, ów uniwersalny standard („tak jak w Polsce”) wyprowadzili z Dekalogu i z kultury Zachodu, a nie z „kompromisów światopoglądowych”. Tusk jednak nie będzie w partii tolerował żadnego wymachiwania takimi kwitami. Nie po to ma „swoją pozycję”, by się „później wstydzić”, że „ktos będzie” mu takie przedpotopowe deklaracje przypominają. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Gote! apokalipsa! ... No...należcie
koniec PiS ...



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Seppuku włoskiej lewicy

P przed wyborami 25 września z tygodnia na tydzień centroprawicowa koalicja w sondażach zwiększa przewagę nad konkurencją. Z najnowszych badań wynika, że włoska prawica otrzyma połowę głosów, a koalicja centrolewicowa zaledwie 25–28 proc. Na niecałe 10 proc. mogą liczyć kontestatorzy z Ruchu Pięciu Gwiazd. Reszta padnie łupem drobniacy.

Powinno się to przełożyć na bezprecedensową większość w obu izbach parlamentu, może nawet na 67-procentową, co pozwoliłoby prawicy na wprowadzenie dowolnych zmian konstytucyjnych. Sojusznikiem prawicy jest nowa, mieszana ordynacja wyborcza (uchwalona głosami lewicy). Zgodnie z nią w jednej trzeciej okręgów wyborczych

obowiązywać będzie ordynacja większościowa (JOW). Niemal we wszystkich z nich powinna bez trudu wygrać prawica.

Sytuację lewicy pogarsza fatalna kampania wyborcza. Partia Demokratyczna (PD) wybrała sobie nowego wodza, byłego premiera Enrica Lettę, który powrócił z paryskiego wygnania, gdzie pouczał w prestiżowym Instytucie Nauk Politycznych. Wszyscy, nie tylko lewicowcy, liczyli na to, że Letta będzie gejerem żywego intelektu i pomysłów na potrzebne krajowi reformy, a przede wszystkim na to, że poprowadzi postępców do wyborczego zwycięstwa.

Zawiedli się srodze. Letta okazał się dość żałosnym internetowym trollem, a kampanię wyborczą, jak to ma

włoska lewica w obyczaju, oparł na demonizowaniu politycznych rywali. Sekretarz generalny PD codziennie straszy, że jeśli prawica wygra, to wróci faszyzm, a Italia zostanie sojusznikiem Putina i bastionem jaskiniowego kapitalizmu ze stron powieści Dickensa czy Cronina. Równocześnie przestrzega, że Włochy w Unii Europejskiej, zamiast z Niemcami i Francją, skumają się z Węgrami i z Polską.

Wtaki scenariusz, bezkrytycznie powielany przez wszystkie postępowe media Zachodu, w Italii nikt nie wierzy. Włoscy komentatorzy, z żalem lub bez niego, ale nie bez racji, twierdzą, że w tej kampanii wyborczej prawica nie musi robić nic, bo lewica na oczach całej Italii popełnia seppuku tępym nożem. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

BOHATERKA
NA WAKACJACH

Celebrytka Agnieszka Kaczorowska, bardziej znana jako Bożenka z „Klanu”, nie byłaby sobą, gdyby nie podzieliła się ze światem swoim szczęściem. A są nim tym razem wakacje w Grecji. I tak Bożenka raczy nas relacją z rodzinnego wyjazdu na wyspę Korfu, gdzie udała się z mężem i dziećmi, co czyni z niej bohaterkę, na którą nie zasługujemy.

„My od dzieci nie chcemy odpocząć – deklaruje odważnie celebrytka. – I nie, to nie znaczy, że mamy sztab ludzi do pomocy, i to też nie znaczy, że nie jesteśmy czasami zmęczeni. Natomiast lista wszystkiego, co dobre, piękne i warte zapamiętania z chwil z dziewczynkami, jest tak długa, że wybór jest prosty. Wakacje całą rodziną! Nie wyobrażam



FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

sobie, póki co, stracić tygodnia z życia moich Skarbow...” – rozplątała się na Instagramie. Rany, ten opis poświęcenia i bohaterstwa brzmi co najmniej, jakby komuś nerkę oddała. A ona po prostu pojechała z dziećmi na wakacje.

ZNOWU SĄ
WAKACJE!

Tymczasem biedna Katarzyna Skrzynecka musiała przerwać swój urlop w Grecji i udać się na jeden dzień do Polski ze względu na jakieś tam nagranie. Wpadła jednak na pomysł, że swoje poświęcenie i ciężką podróż zrelacjonuje na Instagramie, więc przynajmniej jakiś pozytywny z tego będzie. Jak pomyślała, tak uczyniła. „Ups... i lotnisko. Jak trza do pracy – to trza! Nie, nie mam prywatnego samolotu. Nie, nie kupiłam

własnego dreamlinera – zaczęła swój wpis. – Już się przyzwyczaiłam. Inaczej nie byłoby szansy na dłuższy urlop wcale. Nocowanki/kocowanki na nocnych przesiadkach lotniskowych opanowane do perfekcji” – tłumaczyła swoim fanom. Biedne te polskie gwiazdy! Muszą przerywać urlopy, by przez jeden dzień popracować. To skandal, żeby tak pomiatać naszym dobrem narodowym!

ROZSĄDEK,
GŁUPCZE!

Scenarzystka Ilona Łepkowska wyznała, że choć nie ma zbyt wysokiej emerytury, to jakoś sobie radzi. „Płaciłam za siebie składki emerytalne, co nie wszyscy robili, i mam normalną ZUS-owską emeryturę. Nie jest to wysoka emerytura, w tej chwili to jest jakieś 1350 zł czy 1400 zł po podwyżce. Natomiast starałam się oszczędzać, nie żyć z dnia na dzień, nie wydawać wszystkiego, co zarabiałam, ponieważ wiem, że bywają i ciężkie czasy i człowiek nie ma pracy, nie ma propozycji zawodowych, tak jest we wszystkich wolnych zawodach. Jeśli ktoś, kto ma wolny zawód, żyje z dnia na dzień i wydaje wszystkie pieniądze na bieżąco, to jest bardzo nierozsądny” – stwierdziła w rozmowie z portalem JastrząbPost, nieopatrznie wbijając szpile we wszystkich rodzimych artystów i celebrytów, którzy w okolicach pandemii płakali, że nie mają z czego żyć. Teraz już nie płaczą. Nie mając czasu, bo znów są na wakacjach. Niech żyje rozsądek!

CO ZA HIPOKRYZJA!

Wokalista Michał Szpak przy okazji promocji nowej płyty postanowił ponarzekać na polski Kościół. Wiadomo, że nic lepiej nie promuje celebryty niż prosty hejt na instytucję, która ma ostatnio nie najlepszy PR. Więc huzia. – Kościół jako instytucja nie znaczy dla mnie nic – oznajmił więc odważnie Szpak. – Uważam, że w Polsce bardzo zaburzona jest kwestia prawdziwego chrześcijaństwa – stwierdził ze złością. – Indoktrynacja zakrawa na taki system jak u muzułmanów. W żadnym innym kraju nie spotkałem się z tak agresywnym ruchem, nie widziałem

„wysłanników Boga” czy „Legionu Maryi i Chrystusa”. Moim zdaniem to przypomina chorobę psychiczną. Przeszkadza mi to, bo to rujnuje obraz instytucji Kościoła. I choć Kościół jako instytucja nie znaczy dla mnie nic, to jednak burzy to ogólny obraz tego, w co wierzymy – mówi. To nie koniec jego mądrości. Narzeka bowiem też na hipokryzję Kościoła! Serio! Gość, który najpierw oznajmia, że Kościół nic dla niego nie znaczy, by potem przez pół wywiadu mieszać go z błotem, na koniec odpala zarzut o hipokryzji! Coś pięknego!

DETEKTYW
W TAŃCU

Iskry na linii detektyw Krzysztof Rutkowski i jurorka Iwona Pavlović. Ale po kolei. Rutkowski jest jedną z gwiazd nowej edycji „Tańca z gwiazdami”. Po pierwszym odcinku jurorka Pavlović nie zostawiła na nim suchej nitki, krytykując jego zdolności taneczne, a raczej ich brak. Pan detektyw się zdenerwował i zarzucił pani Iwonie, że jest zamieszana w przekręt – w skrócie chodzi o to, że jest jedną z celebrytek, które za darmoszkę były w hotelu pana Wojtka na Zanzibarze, a teraz ten pan Wojtek ma problemy z prawem i jest poszukiwany listem gończym. – Myślę, że sytuacja [...] być może wpłynęła na tę bardzo surową ocenę i taką trochę złośliwość i jad, który wypłynął, niestety, z języka naszej Czarnej Mamy. [...] Powinna wiedzieć, czy zapłaciła czy nie. Bo jeżeli zapłaciła za swój pobyt na Zanzibarze, to powinna być spokojna, ale jeżeli tego nie zrobiła, to sam Wojtek ją pograży – stwierdził Rutkowski w wywiadzie dla Pudelka. – Jaki związek ma mój pobyt na Zanzibarze z niską oceną tańca? – odpowiedziała pani Pavlović. Teraz znów Rutkowski: – Nasi ludzie wylatują do Tanzanii w najbliższych dniach. Jakie związki z nim miała Pavlović i jej mąż, to z pewnością zostanie wyjaśnione. Oby nie było tak, że zza stołu jurorskiego zostanie wywleczone przez funkcjonariuszy policji na wniosek tanzaniańskiego Interpolu w celu przeprowadzenia czynności procesowych na terenie Tanzanii przy jej udziale – zapowiedział. Chyba zaczniemy oglądać ten „Taniec z gwiazdami”. To lepsze niż skandynawskie kryminały! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Medal Wolności Słowa od Grand Press w kategorii Obywatelka/obywatel (życzliwie radzimy, iżby w kolejnej edycji zmienić na „Osoba Obywatelska”) dostała pewna waginoosoba, która opisała w reportażu TVN historię osoby uchodźczej Ibrahima.

Jak może pamiętać, według relacji tej świadkini Ibrahim przez sześć dób podróżował w rzece, nocami płynąc wpław, a za dnia ogrzewając się na brzegu.

Skąd wiadomo, iż ta historia jest prawdziwa? Iż Ibrahim opowiedział ją świadkini osobiście xD

Potem of kors były jakieś próby deprecjonowania Ibrahima, iż jednak nie jest taką Iron Osobą, że chodziło o to, iż „rzeka była traktem podróży” itd., ale to naszym zdaniem umniejszanie tej wspaniałej opowieści. Swoją drogą szkoda, iż Ibrahim nie miał trochę więcej fantazji i nie opowiedział również czegoś o lataniu, porwaniu przez zuba czy podróżowaniu kolejną na Podlasie.

Ciekawe, czy wtedy TVN24 też przytoczyłby jego słowa i czy dla osoby, która nagłośniła tę historię, też znalazłby się Grand Press? xD

Właśnie rozpoczął się wrzesień, osobodzieci powróciły do szkoły, iżby znów stać się trybikami

przesuwanymi przez szkolny aparat represji. Z tej okazji warto przypomnieć, jaki jest jeden z największych problemów współczesnej szkoły w tym kraju.

Otóż są to msze 1 września i święcenie tornistrów.

Msze na rozpoczęcie roku szkolnego to oczywisty katofashysm, bo jakoś nie słyhać, iżby podobne eventy były w tym kraju organizowane w synagogach czy meczetach. Of kors nawet jeśli

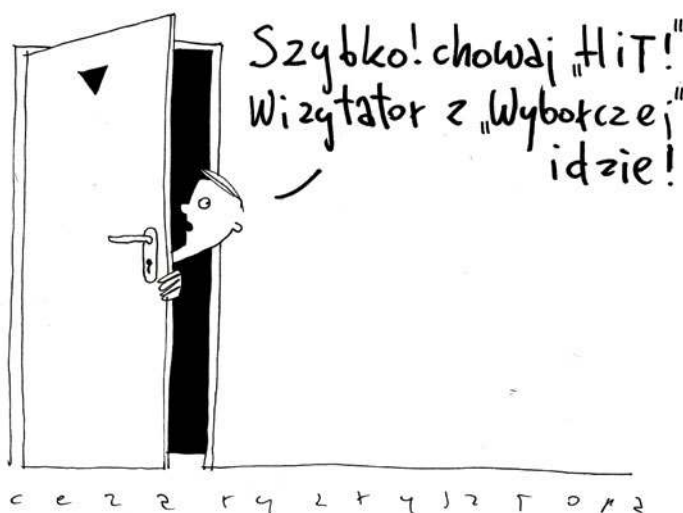
do lektur, nauczycieli i szkoły w ogóle. Żeby miały poczucie, iż polskiej szkoły nie wolno krytykować, ponieważ jest święta. Kiedy w końcu zaprzestaniemy tych okrutnych praktyk, jak przystało na kraj leżący w sercu Europy?

W ogóle à propos szkoły. Czarnek się chyba naoglądał Lewandowskiego w Barcelonie, siatkarzy czy innych biegaczy, bo podobno od tego roku szkolnego ma być trudniej z uzyskaniem zwolnienia z lekcji wychowania fizycznego.

Czyli nie dość, iż biedne osobodzieci będą musiały chodzić na lekcje, uczyć się tych wszystkich bzdur, to w dodatku jeszcze pocić się, biegać i męczyć pod dyktando jakiegoś typa w dresie. Przecież to niedorzeczne.

WF powinien być prawem, nie towarem, a jeśli ktoś nie ma ochoty brać w nim udziału, to jak najbardziej powinien być z niego zwolniony. A tutaj z WF robi się prawie drugą religię.

W ogóle pewnie tak wyglądałaby idealna szkoła według prawicy: religia, WF, strzelectwo, język polski i HiT. Na szczęście dobrze, iż istnieją tacy konstruktywni krytycy jak my – dzięki nam na razie, mimo zakusów, nie ma na to szans. © ©



nie ma faktycznego przymusu udziału we mszy odprowadzanej 1 września, to jednak wciąż w tym kraju istnieje przeciś olbrzymia presja psychiczna na churching, więc pewnie większość rodziców posyła tam dzieci, iżby potem nie czuć się niekomfortowo.

A takie święcenie tornistrów? To nic innego jak sakralizacja edukacji, iżby osobodzieci miały nabożny stosunek

PODSŁUCHANE

Punkt szósty

Weź mnie podciągnij, Michał. O, dobra. Myślisz, że można na tym osiąść?

No... chyba można. Tu jest napisane, że dwie osoby... No to nas dwóch jest, co nie? Raz, dwa... Tak, dwóch. I że do 225 kilo. Ty ile ważysz?

Czy ja wiem? Z 80.

Ja trochę więcej, ale chyba nie przekraczamy. Dobrze, że Sasina nie ma. Byśmy już wszyscy nie usiedli.

Wiesz co? Myśmy już ten regulamin złamali.

No jak to?

Bo jak wchodziłem, to się nie trzymałem poręczy. I po schodach nie wszedłem. Punkt piąty regulaminu.

Widział ktoś?

Nikogo nie ma, tylko SOP-owcy, ale wszyscy stoją tyłem.
Całe szczęście.

Za poręcz się łap, szybko!
Co jest?! Spadamy?!

Nie, punkt szósty! Trzeba się poręczy trzymać. Ależ emocje! © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wystarczy przestać represjonować niezawisłych sędziów”.

RADOSŁAW SIKROSKI, europoseł KO, na Twitterze o tym, co ma zrobić rząd, by Komisja Europejska przekazała Polsce miliardy na Krajowy Plan Odbudowy

No i nareszcie jest! Raport o stratach wojennych! Rachunek za krzywdy niemieckie! Sądząc po obecnym antyniemieckim wzmożeniu w PiS, publikacja dzieła pośła Mularczyka et consortes powinna wywołać w partii entuzjazm. Tymczasem od jednej z ważnych wiewiórek usłyszeliśmy: „Phi! Sześć bilionów złotych? A cóż to za pieniądze...”

Już tłumaczymy: wszystko przez to, że kilka lat temu wyliczona została kwota niby ta sama, ale inna. Sześć bilionów, tak. Ale dolarów. Tyle wyliczył dr Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. I niektórym PiS-owcom bardzo to utkwiło w pamięci. Więc uważają teraz Mularczyka za miększona.

Ważna uwaga do Eine Totalopposition, której nie podobają się ani wyliczenia Mularczyka, ani Kostrzewy-Zorbasa: temu ostatniemu możecie chyba wierzyć, w końcu był kiedyś w Platformie Obywatelskiej, a to dowód cnót najwyższych.

Zainteresował nas argument strony niemieckiej, która twierdzi, że sprawa jest zamknięta. Krótkie ćwiczenie z podstawowej logiki. Sprawa jest zamknięta tylko wtedy, gdy obie strony uważają, że jest zamknięta. Gdy obie sądzą, że jest niezamknięta – to jest niezamknięta. Gdy jedna sądzi, że jest zamknięta, a druga, że niezamknięta – w dalszym ciągu jest niezamknięta. Powtórzcie to teraz dwa razy szybciej i po niemiecku.

Apropos spraw polsko-niemieckich. Sytuacja w Odrze poprawiła się, gdy spadł deszcz. Jak pamiętacie, problem Odry to wina PiS. Jaki wniosek z tych dwóch faktów? Otóż Eine Totalopposition ma pretensje do PiS, że nie potrafi wywoływać deszczu. Co było do udowodnienia. I jest do zapamiętania, kiedy przyjdzie powódź, za którą – z oczywistych przyczyn – będzie można winić PiS.

WGdańsku na obchodach rocznicy powstania Solidarności po raz pierwszy nie było Lecha Wałęsy. Przemawiała za to jego żona, Danuśka. Uważamy to za krok we właściwą stronę. Przynajmniej zamiast agenta SB wystąpił cywil. Znaczący cywilka. A to już jakiś postęp.

Niestety, nie zgadzamy się z opinią pani Danuty, jakoby panowała druga komuna. Mamy na to twarde dowody.

Otóż dziś Lech Wałęsa nie wygrywa seryjnie w Totolotka ani nie współpracuje z CBA, ABW, AW, SKW, znaczący z jakąkolwiek służbą jawną bądź tajną.

Apropos wyliczeń. Bardzo zainteresowały nas wyliczenia Danuty Wałęsowej, krzyczała, że „ten malutki – jeden z Warszawy, a drugi z Torunia – rządzą nami”. Znaczący Polską. Sprawdziliśmy z ciekawości. Ten z Torunia, ks. Rydzyk, ma 172 cm wzrostu. Lech Wałęsa – co za pech – zaledwie 169 cm (lub 170 cm – różne źródła różnie podają). No i kto tu jest malutki? Przy okazji – Jarosław Kaczyński ma wzrostu 168 cm. Ho ho, ale różnica!

Podczas imprezy Campus Polen Der Zukunft zły Donald z Sopotu zapowiedział, że kto jest w PeŁo, ten musi być za aborcją, a jak nie – to won. Co wywołało powszechny żal nad losem tzw. konserwatystów w partii Tuska. Bądźmy szczerzy, takie to ancymonki, że akurat z licznych powodów, dla których nie zaszkodzi polskiej polityce ich brak, rzekomy konserwatyzm jest chyba na ostatnim miejscu.

Deklaracja Tuska wzbudziła natomiast wielkie zainteresowanie w Peezelu. Spodziewają się tam w najbliższym czasie wzmoczonego przepływu kandydatów z PeŁo. Partia, której jest wszystko

jedno z kim, byle nie z PiS, jest zawsze otwarta na ludzi, którym jest wszystko jedno, byle być gdziekolwiek.

Zmiany, zmiany. Jest następca Jakuba Kumocha. Nie, Jakub nie wyleci z kancelarii Andrzeja Sebastiana. Chodzi o to, kto go zastąpi w Turcji. Nowym ambasadorem będzie Maciej Lang. Co znaczą, że zwalnia się placówka w Bukareszcie.

Jeśli chodzi zaś o Kumocha, to faktem jest, że ostatnio nie widać go w pałacu Andrzeja Sebastiana. Doigrał się. Jego mania biegania skończyła się interwencją chirurgiczną i facet kuśtyka o kulach. Churchill mawiał: „Czasami nachodzi mnie ochota, by się pogimnastykować, wtedy kładę się spać”. Kumochowi tę myśl dedykujemy.

Jeśli chodzi o bon moty Churchilla, to lubimy też ten: „Hunowie? Albo masz ich u stóp, albo u gardła”. Opublikowanie raportu o polskich stratach wojennych sprawiło, że opozycja rzuciła się PiS do gardła, a Hunom do stóp.

Ateraz mamy zagadkę. Czyje to słowa: „Chciałbym także, aby Polacy głośno powiedzieli, że czas pokuty za takie winy, jakie były udziałem Niemiec w czasie drugiej wojny światowej, że czas pokuty w takiej sprawie nigdy się nie kończy”. Odpowiedź brzmi: Donald Tusk w roku 2004. To się nazywa mądrość etapu.

Apropos Tuska, znaczący złego Donalda z Sopotu. Pamiętacie, jak został zatrzymany za przekroczenie prędkości? W jego ślady poszedł też Grzegorz Schetyna. Wiecie, co łączy oba te zatrzymania? Doszło do nich w okręgu wyborczym obecnego wiceszefa MSWiA. Przypadek? Nie sądzimy. Na wszelki wypadek parlamentaryzmem Eine Totalopposition odradzamy wypadki w tę część Mazowsza.

Wracając do dyplomacji. Mamy trzy nowe kandydatury na ambasadorów. Kozińska-Frybes do Hawany, Kasangana do Hagi, Rostek do Arabii Saudyjskiej. Spytaście, czemu nie podajemy imion. Bo ich po prośbie nie możemy sobie przypomnieć. Kiedy dopytywaliśmy, usłyszeliśmy tylko: „Ech, prof. Germek, nieboszczyk, gdyby żył, byłby zachwycony”. Ale PiS-owcy też się cieszą, bo jedno nazwisko jest z nowego rozdania. Zgadnijcie które. ©©





14. emerytura dla seniorów

Wsparcie otrzyma ponad 9 mln osób

Realizacja kompleksowej polityki senioralnej, opartej na aktywizacji i wsparciu finansowym, to jedno z głównych zadań, jakie postawił przed sobą rząd Zjednoczonej Prawicy. W celu jego realizacji podejmowanych jest wiele inicjatyw, w tym 14. emerytura. Świadczenie stanowi odpowiedź na inflację spowodowaną m.in. wojną na Ukrainie i pandemią

Czternasta emerytura po raz pierwszy została wypłacona w 2021 r. jako jednorazowe świadczenie. Jednak, w trosce o dobro seniorów, rządzący zdecydowali, że będzie ona przyznawana również w tym roku. Wpłaty świadczenia ruszyły 25 sierpnia. Kolejne wypłacane będą 1, 5, 6, 10, 15, 20 września.

– Chcemy w jak największym stopniu zabezpieczyć sytuację finansową polskich seniorów, szczególnie tych o niższych świadczeniach. Stąd decyzja o wypłacie również w tym roku 14. emerytury. To ważne wsparcie w dobie inflacji – mówi Marlena Małag, minister rodziny i polityki społecznej.

DLA KOGO 14. EMERYTURA?

Emeryci i renciści, którzy pobierają świadczenie do 2900 zł brutto, otrzymają

czternastkę w wysokości 1338,44 zł brutto. W przypadku osób ze świadczeniem między 2900 a 4188,44 zł czternastka będzie zmniejszana zgodnie z zasadą „złotówka za złotówkę”. Oznacza to, że dodatek będzie przyznawany nawet po przekroczeniu kryterium dochodowego, a kwota dodatku będzie pomniejszana o kwotę tego przekroczenia. Minimalna wysokość czternastki wyniesie 50 zł.

Świadczenie będzie wypłacane z urzędu, czyli nie ma konieczności składania wniosku. Będzie także wolne od potrąceń, np. zajęć komorniczych. Nie będzie wliczać się do dochodu przy ubieganiu się o pomoc społeczną, alimenty, świadczenia, dodatki lub zasiłki.

W tym roku 14. emerytura trafi do ok. 9 mln osób – ok. 7,7 mln emerytów

i rencistów otrzyma wypłatę w pełnej wysokości, a ok. 1,3 mln – w wysokości pomniejszonej. W sumie z tytułu 14. emerytury do seniorów trafi 11,4 mld zł.

WZMOCNIENIE POCZUCIA BEZPIECZEŃSTWA EKONOMICZNEGO

Seniorzy to jedna z grup, które najmocniej odczuwają skutki wzrostu cen. Dlatego celem czternastki jest m.in. zapewnienie bezpieczeństwa finansowego.

– Staramy się odpowiadać na potrzeby seniorów. Jestem przekonana, że dodatkowe świadczenia dla emerytów wzmocnią poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego seniorów i przyczynią się do poprawy jakości życia osób starszych – mówi Marlena Małag.

Warto wspomnieć także o innych działaniach, które skierowane są do seniorów – corocznej waloryzacji rent i emerytur, wprowadzeniu emerytury bez podatku, programie „Mama 4+”, a także programach „Senior+” i „Aktywni+” czy 13. emeryturze, która od 2020 r. jest gwarantowana ustawą jako coroczne dodatkowe świadczenie dla wszystkich emerytów i rencistów. Według danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 2022 r. na wszystkie działania i programy adresowane do osób starszych zostanie przeznaczone ok. 44 mld zł.

WALKA Z INFLACJĄ

Warto przypomnieć, że wysoka inflacja nie dotknęła w tym roku wyłącznie Polski. Jest to zjawisko globalne. Wiele europejskich państw notuje najwyższe wskaźniki inflacji od kilkudziesięciu lat. Polska odpowiada na wzrost cen wieloma działaniami, które łagodzić mają odczuwalne skutki inflacji.

Do tych działań możemy zaliczyć m.in. Tarczę Antyinflacyjną i dodatek osłonowy, dodatek węglowy czy wakacje kredytowe. To także historyczna obniżka podatków, obniżenie stawki PIT z 17 do 12 proc., podwyższenie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł oraz podniesienie drugiego progu podatkowego do 120 tys. zł.

– Robimy wszystko, by zminimalizować negatywne skutki inflacji, by uchronić przed nią Polaków – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Małag.



Piotr Semka

Warto odrzucić schemat narzucany przez lewicowe media. To nie one są nonkonformistami, ale prof. Wojciech Roszkowski, z którego podręcznikiem walczy cała potężna medialna koalicja dziennikarskich politruków i członków partii politycznych

Histeria rozpętana wokół podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego do historii i teraźniejszości powinna przejść do annałów zorganizowanej nagonki na kogoś, kto wyraża inne opinie od lewicowego mainstreamu. Kampania medialna, na czele której stanęły „Gazeta Wyborcza”, Radio TOK FM i Krytyka Polityczna, stworzyła wrażenie, jakby władze szkolne chciały siłą i przymusem administracyjnym narzucić nauczycielom podręcznik zakłamanym, zideologizowanym i nastawionym na czystą, PiS-owską propagandę.

TECHNIKI ZWALCZANIA PODRĘCZNIKA

Przez tę lawinę przeinaczeń i inwektyw z trudem przebijają się podstawowe fakty. Podręcznik do HiT prof. Roszkowskiego jest nieobowiązkowy. Żaden podręcznik nie jest narzucany przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, o jego wyborze decyduje **WYŁĄCZNIE NAUCZYCIEL UCZĄCY PRZEDMIOTU**. Podręcznika nie wybiera szkoła. Obowiązkiem nauczyciela jest realizacja podstawy programowej. Nauczyciel może to zrobić również bez podręcznika. Także zarzut, że podręcznik prof. Roszkowskiego nie ma żadnej konkurencji, jest nieprawdziwy. Alternatywny przygotowało Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, tyle że zrobiło to półtora miesiąca po książce Roszkowskiego. Kontrpodręcznik WSiP przejść musi rutynowe procedury w ministerstwie. Minister Czarnek twierdzi, że ta alternatywna publikacja jest rozpatrywana w sposób, któremu poddawane są procedury wszystkie inne publikacje szkolne. Dopiero na tle tych faktów można zrozumieć kampanię lewicy, która idzie w trzech różnych kierunkach. Wymieńmy po kolei techniki zwalczania podręcznika.



Wszystkie myślozbrodnie profesora R.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Technika pierwsza to kwestionowanie samej osoby autora książki. Tendencję tę rozpoczął Marek Beylin – jeden z weteranów publicystyki „Gazety Wyborczej”. „Kto czyta historyka Roszkowskiego, ten otrzymuje światopogląd jego pana – Kaczyńskiego”. Beylin przyznawał, że Roszkowski w latach 80. uczestniczył w opozycji, ale stawia tezę, że skoro w III RP stał się zwoleńnikiem PiS i europoseł tej partii, to przestał być historykiem. Beylin zaznacza, że o Roszkowskim jako historyku należy pisać w czasie przeszłym. Publicysta „GW” stosuje sprytną taktykę, w której wygumkowuje starannie warsztat i dorobek historyczny Roszkowskiego, a tworzy z niego zwyczajnego partyjnego sługusa. Każdy, kto sięga po książki Roszkowskiego, widzi, że są to publikacje doświadczonego historyka, który od lat dobrze sprawdza się w roli autora syntez.

Zarzut z recenzji Beylina pt. „Kierunek targowica” – kto czyta Roszkowskiego, ten otrzymuje w pokażnej pigule światopogląd jego pana, tyle że przedstawiany przez autora jako obiektywna prawda – jest wyjątkowo podłą sugestią. Książki Roszkowskiego to niezwykle skomplikowane syntezy, które wymagają ogromnej wiedzy historycznej. Kaczyński nigdy taką wiedzę się nie pochwalił – choć oczywiście interesuje się amatorsko historią – i nigdy by na taką syntezę nie był gotowy. Tymczasem w prostackiej retoryce Beylina snuta jest wizja, w której Roszkowski na kolanach notuje to, co Kaczyńskiemu przychodzi do głowy. Na podobnej zasadzie można by stworzyć wizję, w której prof. Andrzej Friszke, autor historycznych monografii o lewicy laickiej, świeci światłem odbitym i swoje dzieła tworzy z tego, co o epoce lat 70. i 80. opowiadał Michnik.

Uderza w oczy niezdolność zrozumienia, że prof. Roszkowski może pisać swoje książki na podstawie własnych przeżyć. W logice „Gazety Wyborczej” obóz prawicy to jedna wielka piramida, której kolejni sługusi, na kolejnych warstwach wyznawców, spijają słowa z ust „wielkiego szatana” Jarosława Kaczyńskiego. Stąd kolejny podły argument, w którym prof. Roszkowski przedstawiany jest jako propagandysta siedzący na jednej ławie z liderami PiS-owskiej opinii.

Druga technika deprecjonowania Roszkowskiego to dekonstrukcja jego tytułu profesorskiego. Tu „Gazeta Wyborcza” wykreowała na lidera kampanii przeciwko podręcznikowi do HiT polonistę Pawła Łęckiego. Na łamach „GW” mówi

on: „Ostatnio nastąpiła dewaluacja tytułu profesorskiego. Profesorem jest Krystyna Pawłowicz – sędzia TK, która zestawiała Tuska z Hitlerem. Mamy doktorów w rządzie, którzy wypowiadają głupoty. Trzeba młodym ludziom pokazywać, że sam tytuł jeszcze nic nie znaczy, trzeba zwracać uwagę, jaki człowiek jest i co myśli. Dyskusja o podręczniku pana Roszkowskiego jest w pewnym sensie bezprzedmiotowa. Oczywiście jest bardzo ważna, bo pokazuje stan umysłu naszego społeczeństwa, ale wystarcząłoby, gdyby nauczyciele wyszli i gremialnie powiedzieli, że nie będą stosowali tego podręcznika, ponieważ w ogóle nie trzeba stosować podręcznika żadnego”.

Logika Pawła Łęckiego warta jest bliższej analizy. Nie może on przyznać, że podręcznik jest narzucany obowiązkowo każdemu nauczycielowi, bo wie, że byłaby to nieprawda. W rezultacie stosuje sprytny zabieg pod hasłem „Nauczycielom niepotrzebny jest żaden podręcznik”. To na jakiej podstawie nauczyciele będą realizować program? Łęcki sugeruje, że dzisiejsza szkoła jest absolutną tabulą rasa, w której nie ma żadnego obiegu idei, tylko nagle deus ex machina pojawia się straszny ideologiczny prawicowy podręcznik Roszkowskiego.

Tymczasem najróżniejsze idee typowe dla obozu liberalno-lewicowego pojawiały się w ciągu ostatnich 30 lat nie tylko w podręcznikach szkolnych np. do historii, lecz także w postaci rozmaitych organizacji pozarządowych – fundacji obywatelskich czy np. organizacji przeciwko homofobii. Często w życiu szkolnym pojawiały się też bardzo konkretne odniesienia do bieżącej walki politycznej.

W 2008 r. maturzyści na egzaminie dojrzałości zostali postawieni w sytuacji, w której musieli zapoznać się z fragmentem felietonu Jacka Żakowskiego. Żakowski wskazywał w nim na liczne podobieństwa między atmosferą z czasów pierwszej Solidarności (dokładnie czasu tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego) i okresem kampanii wyborczej w 2005 r., w wyniku której wybory wygrał PiS. Żakowski w bardzo stronniczy sposób sugerował, że wygrana PiS w 2005 r. była wynikiem sztucznie wykreowanej atmosfery hysterii i przerażenia, bez której partia Kaczyńskiego normalnie by nie wygrała. Zadanie dla uczniów brzmiało: „Podaj wskazane w tekście dwa podobieństwa i dwie różnice między postawą i sposobem działania Polaków w latach 1981 i 2005”.

Szef Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Marek Legutko – nawet po wybuchu kontrowersji wokół takiego upolitycznienia matury – bronił wyboru ministerstwa, którym rządził wówczas minister z Platformy Obywatelskiej. „Miało sprawdzać, czy abiturienti są w stanie czytać ze zrozumieniem oraz wychwycić najważniejsze argumenty, które przy takich okazjach padają w debacie publicznej” – mówił w „Rzeczpospolitej” Legutko. Upolitycznienie matury nie wywołało wtedy żadnej szerszej dyskusji. Większość mediów w ogóle o tym nie wspominała.

Porównajmy teraz tamten przykład wpływu polityki na szkołę z obecną histerią wokół podręcznika do HiT.

NIE ZNAM, ALE POTĘPIĘ

Lewica od lat uwielbia ironizować przy okazji jakichkolwiek protestów konserwatystów wobec filmów czy spektakli, które oburzały osoby wierzące. Zarówno w wypadku spektaklu „Kłątwa”, jak i występów skandalisty katolikofoba Nergala sięgano po argument, że ktoś, kto nie widział tego, co krytykuje, nie ma prawa do zabierania głosu. W wypadku podręcznika do HiT wywołano podobną histerię. Ukuto parę efektownych sloganów, które ogłosili politycy Platformy i Lewicy. „To książka o niczym, za to wypchana ideologią, podręcznik nienaukowy, propagandowy i szerzący nienawiść”.

W tej akcji propagandowej rozpisano rolę w bardzo dokładny sposób. Pierwszą grupą byli oczywiście nauczyciele, których możemy podejrzewać o lewicowe poglądy i sympatie dla Platformy Obywatelskiej. Tutaj lansowano hasło, że podręcznik jest tak zły, że nie można wziąć go do ręki. Było to echo dawnego stylu Unii Wolności, która głosiła np. na początku lat 90., że hasło przyspieszenia (ówczesny slogan obozu Lecha Wałęsy) to słowo, którego przyzwoci ludzie nie używają. Teraz jako polityczną pałkę użyto słowa „przyzwoitość”. Na łamach „GW” jedna z nauczycielek wzywała: „Jeśli jesteśmy przyzwoci, to szykujmy solidarny początek roku szkolnego”, z sugestią, że wykładowcy powinni protestować przeciwko używaniu podręcznika.

Drugą linię stworzyli dziennikarze, którzy obdzwaniali kolejne szkoły, z dumą ogłaszając, które z nich deklarują, że nie będą używać podręcznika prof. Roszkowskiego. W praktyce mogło wyglądać to tak, że pełna zapału dziennikarka obdzwaniała szkoły i oskarżycielskim tonem

pytała dyrektora placówki, czy chce używać podręcznika pełnego kłamstw i przeinaczeń. Domyślam się, że albo zaskoczeni telefonami dyrektorzy mogli wyrażać zakłopotanie i udzielać uniko- wych wypowiedzi, albo telefonowano do szkół, o których wiadomo, że ich szefowie płoną opozycyjnym żarem, i wtedy można byłoby już być pewnym, że taki dyrektor z mediów już wie, że podręcznik jest „trefny”.

Wreszcie kolejną linią ataku byli prezydenci wielkich miast z rozdania Platformy. Tutaj zasłynął prezydent Ustrzyk Górnych, który jako pierwszy ogłosił, że sprzeciwia się używaniu podręcznika, choć nie ujawnił, że zna jego treść. Głos też zabrali np. prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Wrocławia Jacek Sutryk czy opolscy radni, którzy ogłosili że podręcznik do HiT jest niemo- ralny, obraźliwy i kłamliwy.

Ostatnią linią ataku „Gazeta Wyborcza” zorganizowała pod hasłem „Protestuje młodzież”. I tutaj bardzo przydatne okazały się młodzieżowe rady, które stworzono przy wielu radach miejskich czoło- wych miast rządzonych przez Platformę. Odezwały się też partyjne młodzieżówki.

– Ten podręcznik to jest samo zło – mówił podczas zorganizowanej w trakcie pikiety przed szczecińskim kuratorium oświaty konferencji prasowej Stanisław Kaup z Młodych Demokratów. – Ten podręcznik nadaje się tylko do kosza, do zmielenia, a nie do polskiej szko- ły – kontynuował. Potem członkowie młodzieżówki Platformy Obywatelskiej zmielili podręcznik do przedmiotu histo- ria i teraźniejszość w biurowej niszczarce do dokumentów. „Zostały zaatakowane wolne media, a feminizm nazwano ide- ologią. Autor twierdzi, że Unia Europejska promuje ateizm, zaatakowano także Niemcy, zostały skrytykowane wszystkie inne myśli polityczne poza tymi pro- mowanymi przez partię rządzącą. [...] Chcemy wycofać ten podręcznik, apelu- jemy, by zastąpić go książkami z innych wydawnictw”.

A więc demonstracyjne niszczenie, propozycje zakazu. Wszystko oczywiście w imię zasady wolności i pluralizmu.

Zwraca uwagę, że w tę kampanię dali się wciągnąć także prezydenci miast, którzy sprawują swój urząd w oparciu o PiS. Oto współpracownik prezydenta Katowic Mariana Krupy zareagował na akcję przeprowadzoną przez lokalną „Gazetę Wyborczą”, której dziennikarz

Przemysław Jedlecki zadał sobie trud, aby obdzwonić wszystkie katowickie licea i sprawdzić, czy przypadkiem któreś z nich nie ośmiela się wyrazić choć możliwości korzystania z podręcznika prof. Roszkowskiego. Gdy okazało się, że chce sięgnąć po niego tylko Liceum Ogól- noksztalcące nr XV im. rtm. W. Pileckiego, dziennikarz „GW” powiadomił o tym urzędników urzędu miejskiego. I uzyskał wsparcie magistratu.

Zacytujmy tekst Jedleckiego: „Urzędni- cy, gdy się o tym dowiedzieli [o zamiarze nauczyciela, by korzystać z podręcznika do HiT], postanowili zareagować. – Do dyrekcji poszedł sygnał, że wiemy o tym, że to nauczyciel wybiera podręcznik. Poprosiliśmy jednak o poważny namysł w tej sprawie – mówi nam współpracownik prezydenta Marcina Krupy”. Jak triumfalnie obwieszcza Przemysław Je- dlecki: „W efekcie książka Roszkowskiego zniknęła z wykazu”.

Opisany przypadek z Katowic poka- zuje bardzo dobrze rolę dyscyplinującą, którą przyjmują na siebie oddziały „GW”. To nie miejscowe kuratorium obdzwania szkoły i wypytuje, czy ktoś ośmieli się nie wziąć książki Roszkowskiego, ale jest dokładnie na odwrót. To lokalny dzien- nikarz „Wyborczej” ustala najpierw, w któ- rej szkole który nauczyciel ośmiela się wybrać podręcznik do HiT, a następnie kontaktuje się z urzędnikiem prezydenta Katowic. A ten wywiera nacisk na liceum i egzekwuje nieformalny zakaz cenzural- ny wokół danego podręcznika. A wszyst- ko to opisane jest jeszcze czytelnym tekstem w lokalnej „GW” w atmosferze dobrze spełnionego zadania.

KTO JEST ZWIERZYNĄ, A KTO NAGONKĄ

Autorzy nagonki na podręcznik naj- wyraźniej zastanawiali się, jaka taktyka deprecjonowania książki będzie najlepsza. Wybrano parę fragmentów, które przedsta- wiono jako „dziaderskie” narzekanie stare- go profesora na współczesną młodzieżową popkulturę. Tymczasem to, co naprawdę wzbudza furię lewicy, to wprowadzenie do obiegu szkolnego przedmiotu dotyczą- cego cywilizacyjnego wymiaru XX i XXI w. i poruszenie wielu kwestii, które dotąd pomijano w podręcznikach lub opowia- dano o nich według lewicowej sztam- py. Te kwestie, które wprowadza podręcznik prof. Roszkowskiego, to różne oblicza demokracji w nowoczesnych systemach cywilizacji, taktyka działań na rzecz

laicyzacji, pojęcia wolności pozytywnej i negatywnej, dylematy moralne związane z pigułką poronną i technikami in vitro, wpływ rewolucji 1968 r. na zbiorowe my- ślenie i ślepe zaułki, w które wchodzi ruch emancypacji rasowej. Profesor Roszkowski nie boi się pisać, jakie techniki stosuje ruch LGTB, jakie są sprzeczności i paradoksy ideologii feministycznej i jak wyglądają techniki zbiorowej manipulacji w dzisiej- szym świecie.

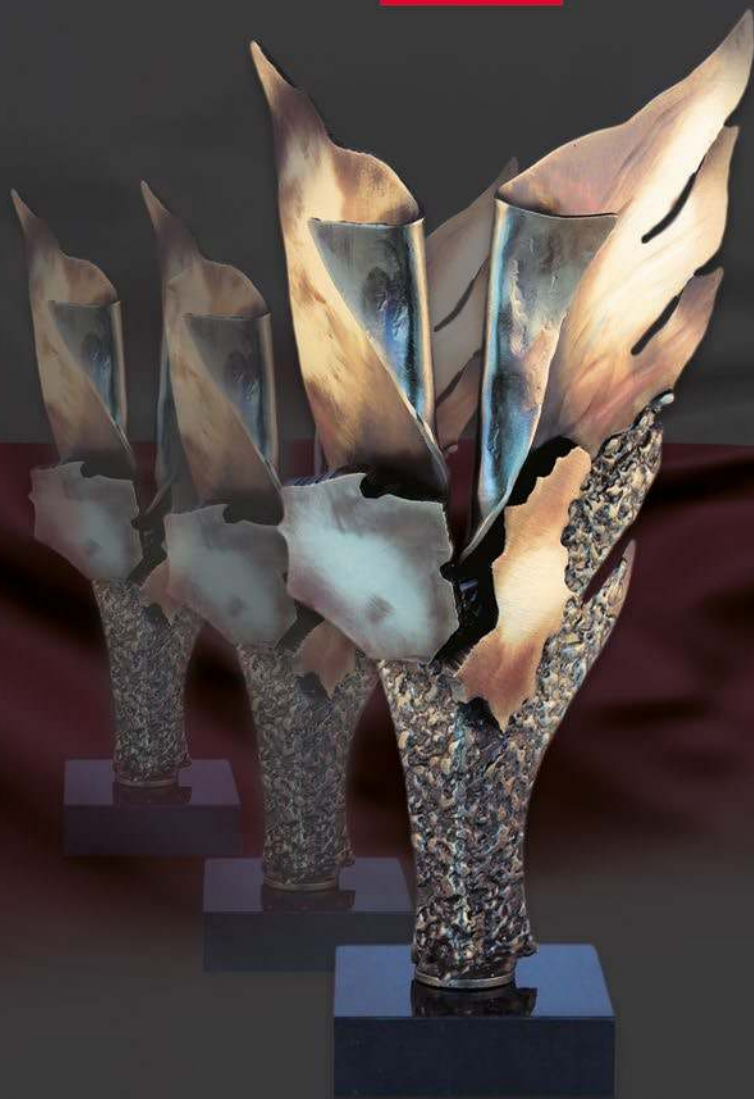
I to pojawienie się tych nowych pytań wywołuje furię. Bardzo charaktery- styczny jest sposób kpiny, który zapre- zentował dziennikarz „GW” Bartłomiej Kuraś. Powtarza on stosowany w wielu miejscach schemat. „W latach 80. czyta- łem potajemnie książki Roszkowskiego i traktowałem je jako haust wolności, słuchając Boba Dylana śpiewającego o wolności”. Jak pisze Kuraś: „Teraz pan profesor straszy młodzież Dylanem i wielu dawnych czytelników wprawia w zdumienie”. Jako przykład atmosfery z epoki Dylana cytuje utwór „Czasy się zmieniają”: „Ojcowie i matki / przybądź- cie dziś tłumnie. / Niech nikt nie potępia, / gdy nie może zrozumieć. / Wasze dzieci już własną / odnalazły drogę. / Zrozum to, że nic już / zrobić nie możesz. / Szczę- śliwi i mądrzy, / którzy dłoń im podają, / bo czasy wciąż, wciąż się zmieniają”.

Bartłomiej Kuraś z pełną powagą cytuje utwór sprzed prawie 60 lat, suge- rując, że jest to akt strzelisty aktualnej rzeczywistości. Tymczasem minęło już prawie sześć dekad i prof. Roszkowski ma prawo do odpowiedzi na pytanie, dokąd zaprowadziła ówczesna rewolta.

Oburzenie dziennikarza „GW” na zakwestionowanie Dylana przypomina zachowanie kogoś, kto 60 lat po wprowa- dzeniu kołchozów w Związku Radzieckim zadał pytanie, jak ta forma własności się sprawdziła w praktyce. Dlatego war- to odrzucić schemat narzucany przez lewicowe media. To prof. Wojciech Roszkowski jest nonkonformistą, z którego podręcznikiem walczy cała potężna medialna koalicja dzien- nikarskich politruków i członków partii politycznych. To, z jaką dokładnością potrafi ten konglomerat wywierać nacisk na szkoły, jest o wiele większym proble- mem niż jakiegokolwiek starania ministra Czarnka, aby choć trochę spluralizować sposób przedstawiania wiedzy o współ- czesnym świecie w polskich szkołach. I to jest w tej sprawie najistotniejsze.

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK LUDZKICH
**DO
RZECZY**

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY



Tomasz Rowiński

Atak na podręcznik do historii i teraźniejszości to ideologiczny atak na wybitnego polskiego badacza, który ośmielił się mieć inną wizję świata niż liberalną czy lewicową

Wobec podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego sformułowano już wiele rozmaitych zarzutów, jednak wszystkie one nie mają faktycznie wielkiego znaczenia. Można je odeprzeć i wytłumaczyć stosunkowo łatwo, niektóre z nich mogłyby zostać uwzględnione, a książka poddana ulepszącym ją korektom. Jest to jednak sprawa drugorzędna. Atak na wybitnego polskiego badacza historii oraz jego książkę ma bowiem charakter przede wszystkim ideologiczno-polityczny, co ujawnia się choćby w języku, którego używają jego adwersarze.

Gdyby takiej krytyce, której poddawany jest prof. Roszkowski, poddano jakiegoś liberalnego lub – co gorsza – lewicowego twórcę, w tych wszystkich mediach, dziś nieprzebierających w słowach, byle tylko postponować podręcznik do historii i teraźniejszości, czytali byśmy zapewne o „mowie nienawiści”, „prawicowym zaciętrzewieniu”, „PiS-owskim zaślepieniu” czy „religianckim zamroczeniu”. Zastanówmy się jednak, czy to nie pod sztandarami takich haseł – może lekko zakamuflowanych – atakuje się zarówno autora, jak i ministerstwo, które podręcznik dopuściło do użytku.

ODMIENNA WIZJA ŚWIATA

„Historia i teraźniejszość” prof. Roszkowskiego jest podręcznikiem, który przyjmuje odmienną wizję świata od tej, którą za właściwą i jedyną uważają dominujące w Polsce liberalne i lewicowe środki przekazu. Dotyczy to także znacznej części elit akademickich, artystycznych czy przedstawicieli świata szeroko rozumianej rozrywki. Dlatego właśnie łatwo było rozkręcić mechanizm medialnej nagonki na pierwszy z podręczników do historii i teraźniejszości.

Proszę wybaczyć, ale zacytuję – no men omen – podręcznikową wypowiedź

Oburzona teraźniejszość



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nieślawnej aktorki Barbary Kurdej-Szatan, w której zawarty jest cały ładunek ignorancji charakteryzujący nagonkę na prof. Roszkowskiego: „Nie czytałam tego, ale ważne jest, abyśmy my, rodzice, edukowali swoje dzieci. Mam nadzieję, że zostanie wycofany ten podręcznik. Prawda mam nadzieję, że wygra”. Nie da się ukryć, że nieczytanie ma wielką przyszłość w świecie ideowej jednolitości, w której tylko „podaje się dalej” w mediach społecznościowych przekaz dnia, oczywiście odpowiedni dla ludzi „przyzwoitych”, „odpowiednio myślących”.

Gdy czyta się artykuły takie jak Piotra Kozaneckiego i Pawła Czernicha pt. „Przeczytaliśmy cały podręcznik do HiT. Obszerna lista czarnych charakterów”, który ukazał się na portalu Onet.pl pod koniec czerwca, doskonale widać, że dla autorów problemem jest przede wszystkim perspektywa ideowa zaprezentowana przez prof. Roszkowskiego.

„Śluszne, interesujące i logiczne fragmenty są przeplatane publicystycznymi tezami autora. Zjawiska, które nie podobają się Roszkowskiemu, są zestawiane z najgorszym złem, jakie spotkało ludzkość w XX w. Feminizm stoi obok nazizmu, a hipisowska kontrkultura obok Mao Zedonga” – piszą autorzy. Tak, książka prof. Roszkowskiego nie powstała w kluczu, tak dziś powszechnym, zgodnie z którym patrzenie na świat z chrześcijańskiej perspektywy jest wstępem do myślozbrodni.

Miałem okazję nieraz rozmawiać z ekspertami recenzującymi rozmaite podręczniki do przedmiotów humanistycznych, które są używane w polskich szkołach. Jest czymś zupełnie zwyczajnym, że czy to w historii, czy to w literaturze rola religii, twórców i dzieł religijnych, religijne motywacje władców, polityków, rola znaczenia religii chrześcijańskiej dla kultury zachodniej czy wreszcie rola świętych, którzy nieraz byli też reformatorami ważnych dla cywilizacji instytucji, jest w podręcznikach zwyczajnie wyciszana. Czasem wynika to ze słabej orientacji samych autorów podręczników w tak ważnym dla zrozumienia polskiej i europejskiej historii aspekcie kultury, czasem z intencji i zamiarów. Jednak żaden z dziennikarzy mediów głównego nurtu nie czyta tych podręczników, nie analizuje ich – nie tylko w całości, lecz także we fragmentach. Po prostu nawet agresywne atakowanie katolicyzmu i katolików nie narusza

przyjętego przez nich ładu świata. Narusza go natomiast każda krytyczna uwaga wobec dowolnej ideologii przez ten ład wytworzonej.

Tendencję taką widać też w tekście Kozaneckiego i Czernicha. Pojawiające się w książce prof. Roszkowskiego argumenty filozoficzne dotyczące religii i parareligijnego charakteru ateizmu zestawiają z szydzącym z powagi religii happeningiem: „Dekalogowi jest przeciwstawione stanowisko »róbta, co chceta«, a wszystko to jest podsumowane stwierdzeniem, że ateizm jest takim samym dogmatem jak chrześcijaństwo, bo »logicznie rzecz biorąc, nie można przecież udowodnić, że czegoś nie ma. Ateiści są więc ludźmi wierzącymi, tyle że wierzą w nieistnienie Boga«. Z tego samego założenia wyszli kilkanaście lat temu twórcy Kościoła Łatającego Potwora Spaghetti, którzy także argumentowali (przed sądem), że nie można udowodnić, że świat nie został przez takowego potwora stworzony. Tyle że oni robili to w żartach, a prof. Roszkowski pisze poważny podręcznik”.

Neomarksści przedstawiają tych, którzy się z nimi nie zgadzają, jako postacie z twarzami wykrzywionymi w paroksyzmie wściekłości

Cóż, wyznawcy Potwora Spaghetti wyrazili mimowolnie zasadę swojego światopoglądu – świat wywodzi się z nonsensu lub absurdu. Dlaczego prof. Roszkowski nie miałby z takim stanowiskiem polemizować w poważnym podręczniku?

„MAPA BEZ (S)HIT-U”

Publikacja dziennikarzysty Onetu, którzy głównie jednak dziwili się, że ktoś może wyrażać swoje nieliberalne opinie, była i tak bardzo grzeczna. Skierowano ją prawdopodobnie do tych, którzy może nie byli wcale od początku przekonani, z jak strasznym złem mają do czynienia, i trzeba było ich zmieknąć.

Dziś propagandowa para idzie już gdzie indziej. Promuje się choćby wulgarną kampanię #wolnaszkola, w ramach której stworzono „Mapę bez (s)HiT-u” (czyli, jak rozumiem przekładając

zabawę z językiem angielskim – „Mapę bez gówna”), na której umieszczane są placówki deklarujące chęć bojkotu podręcznika prof. Roszkowskiego. Aby nie być gołosłownym, przyjrzyjmy się liście mediów internetowych, które tę akcję podbijają: Gazeta.pl, Tokfm.pl, Tvn.pl, Newsweek.pl.

Radio TOK FM w jednym ze swoich nagłówków wykorzystało nazwę mapy zupełnie bez cudzysłowu, najwyraźniej uznając, że w ten sposób podniesiony zostanie poziom debaty. „Podstaje »mapa wstydu ministerstwa«, zawiera szkoły wolne od (s)HiT-u”. Czyli wolne od gówna. Takim językiem prowadzi się w Polsce „debatę” o edukacji.

PROGRAMOWANIE NIENAWIŚCI

Wystarczy odwiedzić konto Inicjatywy Wolna Szkoła w jednym z mediów społecznościowych i obejrzeć zamieszczone tam filmy, by zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z radykalnie lewicową akcją nastawioną na programowanie nienawiści wobec osób, które – podobnie jak prof. Wojciech Roszkowski – deklarują np. krytyczny stosunek do agendy politycznego ruchu seksualnego. Propaganda nazistowska zożydzała Żydów, przedstawiając ich jako nie ludzi, komuniści ze swoich wrogów robili „karłów reakcji”, neomarksści przedstawiają tych, którzy się z nimi nie zgadzają, jako postacie z twarzami wykrzywionymi w demonicznym paroksyzmie wściekłości.

Częścią trwającej akcji propagandowej są też zauważalne próby ponizania prof. Wojciecha Roszkowskiego. Czasem chodzi o drobne, ale nie pozabawione znaczenia, uszczypliwości, gdy „zapomina się”, że jest on profesorem. „Już działa. Mapa szkół, które nie wybrały podręcznika autorstwa Wojciecha Roszkowskiego” – informowała w mediach społecznościowych Iga Kaźmierczak z Inicjatywy Wolne Szkoły. Gorzej, gdy przemilcza się dorobek autora tylko po to, by móc go łatwiej przedstawiać jako postać godną pogardy i obniżyć autorytet jego argumentów.

„Onet, Wirtualna Polska i, jakżeby inaczej, niezastąpiony portal OKO.press prześcigają się w krytyce autora opracowania »Historia i techniki». Podręcznik dla liceów i techników. Klasa 1. 1945–1979« [...] Przedstawiają go nie jako kawalera Orderu Orła Białego, wybitnego naukowca, profesora nauk humanistycznych, twórcę tak świetnych

■ tytułów jak wyróżnione Nagrodą im. Józefa Mackiewicza »Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej«, lecz jako »eurodeputowanego z list PiS w latach 2005–2009«. To, że za komuny wydawał swoje prace w podziemiu (jako Andrzej Albert), że z jego książek, napisanych wspólnie z Anną Radziwiłł, uczyli się licealiści w pierwszych latach wolności, kiedy to PRL-owskie podręczniki wylądowały na śmietniku, jest już nieważne. Profesor bowiem, o zgrozo, zdążył w międzyczasie popełnić tak wysoce podejrzaną dzieło jak trytomowy »Świat Chrystusa«, a jego podręcznik do HiT wydał krakowski Biały Kruk, wyspecjalizowany – jak się dowiadujemy – »w książkach o charakterze dewocyjnym i religijnym« – pisał Krzysztof Masłowski w tekście »Front przechodzi przez szkołę« („Do Rzeczy” nr 25/2022).

Sprawa jest dość oczywista – nie trzeba brać poważnie człowieka, który jest „PiS-owskim aparatczykiem”. Gdyby ktoś zorientował się, z jakiego formatu autorem ma do czynienia, być może zatrzymałby się na chwilę, by przeczytać, co ma on do powiedzenia i – o zgrozo – wziął pod uwagę zarówno jego wiedzę, jak i opinię. Tymczasem przeciw prof. Roszkowskiemu – wedle wzorów propagandy

Radia TOK FM. „Treści podręcznika nie da się według nauczycieli i ekspertów obronić” – czytamy w internetowym omówieniu audycji. Jakich nauczycieli? Których ekspertów? Co konkretnie krytykują? Czy nie ma innych głosów? Owszem są, ale chodzi przecież o coś innego. Jeśli podręcznik łączy ateizm z XX-wiecznym ludobójstwem, feminizmem z hekatombą nienarodzonych, a agendę politycznego ruchu homoseksualnego z kryzysem rodziny i dramatami wynikającymi z zaburzeń tożsamości płciowej, to jest zły. Dobry jest wtedy, gdy – często podprogowo – podsuwa uczniom myśli o rzekomo trujących owocach cywilizacji chrześcijańskiej na Zachodzie.

PRZEDMIOT IDEOLOGICZNY

Warto się zastanowić – w kontekście emocji, które wygenerowali polityczni i medialni macherzy, by zdyskredytować prof. Wojciecha Roszkowskiego – skąd wzięła się nagła miłość różnych komentatorów do funkcjonujących od lat lekcji wiedzy o społeczeństwie. Nie pamiętam, by kiedykolwiek WOS wzbudzał większe polityczne uczucia. Sprawa jest jednak dość prosta. Sam stosunkowo dobrze pamiętam początki WOS w formie, w jakiej wprowadzono go po reformie edukacji

innych „bardziej liberalnych” i „bardziej dojrzałych demokratycznie” krajów. Przy tej okazji referowano nam „postępowe” zmiany w prawie, które się tam dokonywały lub już dokonały. Zwykle dotyczyło to rozmaitych aspektów moralności publicznej. Modne wtedy były nadzieje, że multikulturalizm zmieni świat na lepsze, więc zestawiano go z nudą i niebezpieczną polską jednorodnością.

„Historia i teraźniejszość” prof. Roszkowskiego jest propozycją, by uczyć nowe pokolenia innego modelu świata niż robiono to na lekcjach WOS. Chodzi o to, by formować młodych ludzi nie za pomocą bezrefleksyjnego wcielania w życie zachodnich ideologii, ale poprzez zrozumienie własnych tradycji. Dawały one Polakom przez wieki narzędzia, dzięki którym zachowywali oni nie tylko suwerenność kulturową, lecz także zdolność rozumienia spraw nadprzyrodzonych.

Czy z podręcznikiem prof. Wojciecha Roszkowskiego można dyskutować? Oczywiście, nawet warto to robić. Szczególnie że ma on bardzo autorski charakter i niejako sam do tego zachęca. Można by tę książkę okrzyknąć nawet mianem „podręcznika krytycznego”. Znakomicie nadaje się on do tego, by uczniowie rzeczywiście mogli spierać się – w oparciu o zawarte w nim treści – o rzeczy ważne, zamiast tylko powtarzać libelne politygramy lub w znoju przyswajać niepowiązane w większe narracje informacje.

Dobrze byłoby, by książka prof. Roszkowskiego nie była też jedynym podręcznikiem do HiT. Ponieważ jednak Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne już przygotowały drugi podręcznik, trzeba uznać akcję przeciwko książce prof. Wojciecha Roszkowskiego za działanie obliczone na efekt polityczny, a nie rzeczywistą debatę. Krytyki umiarkowane, nietotalne, merytoryczne zaginęły w zalewie propagandowego napalmu, którego celem było rozchwieianie umysłów Polaków. Bo jak inaczej można traktować sytuację, gdy z jednej strony mówi się, że mamy do czynienia z podręcznikiem, który jest rzekomo nienowoczesny i nie dla młodych ludzi, a z drugiej straszy się, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jego używanie zacznie zmieniać uczniów w małych aktywistów PiS? W poważnej rozmowie trzeba się zdecydować na stosowanie argumentów, które się nie wykluczają. Tyle że na dziś żadnej poważnej rozmowy nie ma.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

To na lekcjach WOS uformowano szerokie i bezrefleksyjne poparcie młodego pokolenia Polaków wobec Unii Europejskiej

– opiniami bez pokrycia szafuje się na prawo i lewo, a powtórzone wielokrotnie zaczynają być traktowane jako prawda. Może o taką prawdę chodziło Barbarze Kurdej-Szatan, która choć podręcznika nie czytała, to wzywała do jego wycofania?

„Nie będę przecież narażał uczniów i ich rodziców na wydatek 50 zł na podręcznik, który jest szkodliwy i zły” – mówił na łamach „Newsweeka” Paweł Nawrocki, nauczyciel WOS i historii z Technikum Poligraficznego w Warszawie. Tekst na portalu Newsweek.pl został opublikowany z datą 24 sierpnia. Czytelnicy tygodnika Tomasza Sekielskiego zapewne ze zrozumieniem pokiwali głowami, przecież oni już wiedzą, że to podręcznik „szkodliwy i zły”. Skąd wiedzą? Bo tak np. powiedziała Urszula Woźniak ze Związku Nauczycielstwa na antenie

z roku 1999. Nauczano nas wtedy o tym, że demokracja liberalna jest najlepszym ustrojem na świecie, informowano o różnych aspektach rozwiązań prawnych w państwie polskim, a także za granicą. Wszystko to jednak – cała ta wiedza – funkcjonowało w oderwaniu od jakichkolwiek nawiązań do polskiej historii i tradycji polityczno-intelektualnych. Po prostu podawano informacje, które wymagała przyjemność, ale skutecznie odcinano jej kontekst pozwalający np. krytycznie odnieść się do dominującej w Polsce na przełomie wieków ideologii liberalnej.

W znacznej mierze WOS był propagandą. To na tych lekcjach uformowano szerokie i bezrefleksyjne poparcie młodego pokolenia Polaków wobec Unii Europejskiej. Dobrze pamiętam, że jedynym krytycznym punktem odniesienia na tych lekcjach było porównywanie Polski do

Już 12 września w „Do Rzeczy” dodatek



DODATEK SPECJALNY - CZĘŚĆ 11

Ochrona godności narodowej i wolność słowa

- Walka o dobre imię narodu a swoboda wypowiedzi
- Batalie sądowe Karola Tendery • Prawo do prawdy w teorii i w praktyce
- Odkłamywanie zbrodni katyńskiej



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl cc8a6b1997



Rafał A. Ziemkiewicz

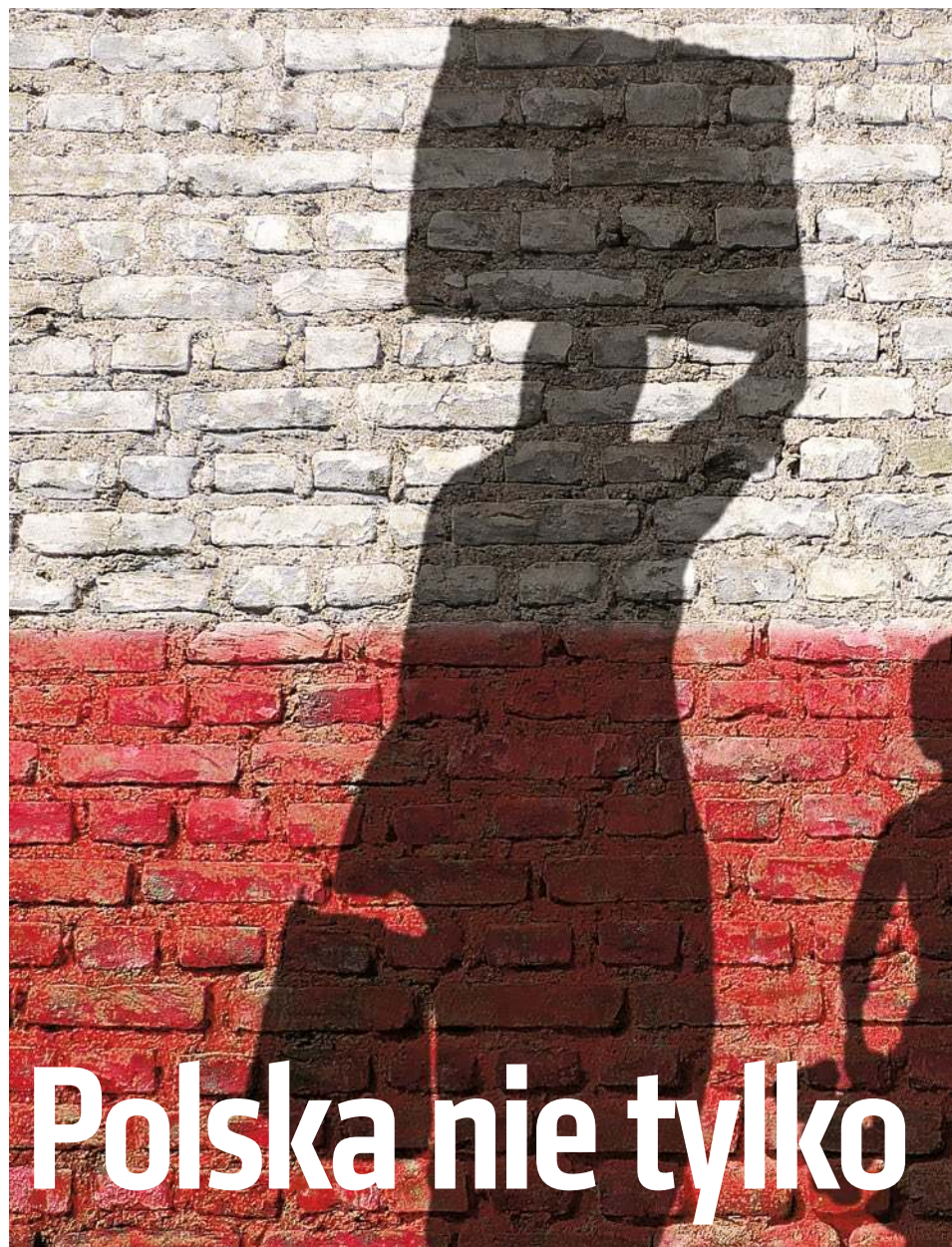
Polska już jest i będzie w coraz większym stopniu krajem wieloetnicznym. Dyskusje, czy wpuszczać imigrantów czy nie, i ewentualnie – ilu, są spóźnione o jakieś 10–15 lat. Zastanawiać się można już tylko nad tym, w jaki sposób zorganizować i kontrolować migrację, tak by uniknąć zagrożeń i osiągnąć maksymalne korzyści

Tak jak wiele kluczowych dla przyszłości Polski spraw kwestia imigracji i imigrantów nigdy nie była w Polsce poważnie dyskutowana. Trudno bowiem za poważną rozmowę uznać zarówno pseudomoralne wezwania liberalnych elit i ich histeryczne wezwania, by przyjmować „uchodźców” w każdej liczbie, bez pytania ich o cokolwiek i nie tylko bez żadnych warunków, lecz także z zamiarem utrzymywania ich przez państwo, jak i ograniczoną do najprostszego sprzeciwu reakcją wobec tej demagogicznej retoryki i prób „relokowania” nam migrantów z Zachodu.

Tymczasem rozwój wydarzeń nie raczył zaczekać, aż Polacy znudzą się jałową młócką między PO a PiS i zastanowią nad swoją przyszłością, tak że dziś rozmowę na ten temat zacząć trzeba od stwierdzenia, że Polska już jest i będzie w coraz większym stopniu krajem wieloetnicznym. Dyskusje, czy wpuszczać imigrantów czy nie, i ewentualnie – ilu, są spóźnione o jakieś 10–15 lat. Sprawa jest przesądzona, a tym, którzy tego nie widzą, hołubiąc wizję jednoetnicznej Polski pojałtańskiej, powiedzieć można już tylko słowami poety: „Daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia”.

WYMIANA OBYWATELI NA BETON

Polska przeszła po roku 1989 ogromne przemiany. Z jednej strony osiągnęła drugi w skali świata wzrost gospodarczy w 30-leciu, z drugiej, zapłaciła za to patologią „Polski samoobronnej”, czyli rozpadem społecznej solidarności, eksplozją egoizmów i upowszechnieniem postawy „Ważne to je, co je moje” oraz powszech-

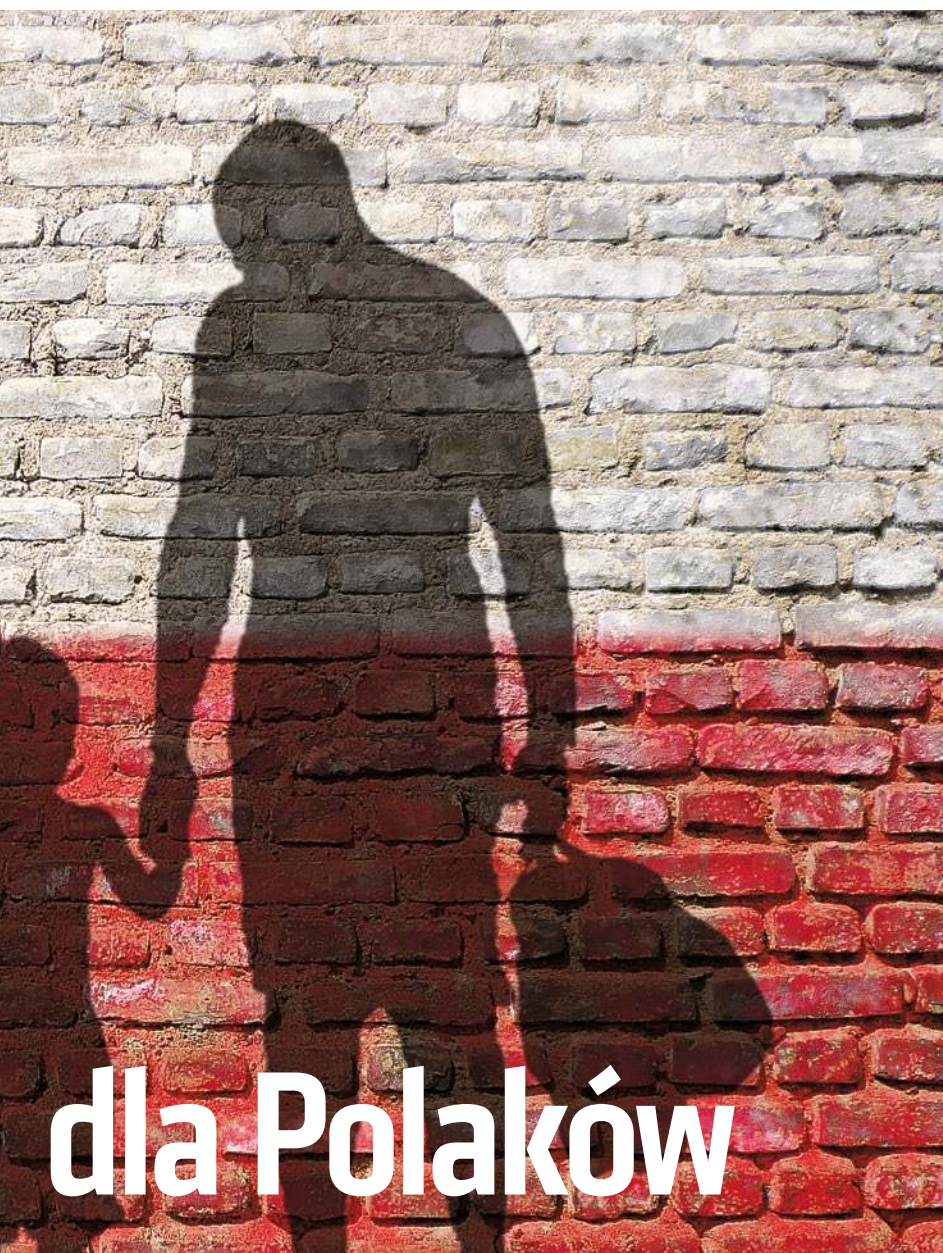


Polska nie tylko

nej aprobaty dla niej (przy czym, wbrew stereotypowi, postawa ta charakterystyczna jest głównie dla lewicowo-liberalnych wielkomiejskich elit; serdecznie polecam tekst Piotra Wójcika na stronach „Krytyki Politycznej” analizujący mental „wyższośrednioklasowców” na przykładzie wywiadu Jerzego Owsiaka).

Pokolenie pazernych egoistów i siermiężnych darwinistów nie chciało ponosić wyrzeczeń i niewygód rodzenia oraz wychowywania dzieci – ta zaś jego część, która chciała, wyjechała, by rodzić je i wychowywać dla innych, bogatszych krajów. Ostatecznie o odwróceniu tego skutku drugiej wojny światowej, którym była napawająca taką dumą Gomułkę i Jaruzel-

skiego Polska piastowska, zdecydowała nasze wejście do Unii Europejskiej, które w swej istocie było umową: pieniądze za obywateli. W samej tylko Wielkiej Brytanii w szczytowym momencie mieszkało 1,3 mln Polaków, którzy w krótkim czasie okazali się wykazywać największą dziecięcością ze wszystkich obecnych tam grup etnicznych, wygrywając wysoko z imigrantami z Pakistanu i krajów Bliskiego Wschodu. Te dzieci raczej nie biorą pod uwagę powrotu do Polski, z tych samych względów, dla których np. moje córki nie planują powrotu do Góry Kalwarii albo Czerwińska. A nowe w Polsce nie urodzą się nawet w części w takiej liczbie, jaka jest potrzebna, bo po prostu nie ma ich kto



dla Polaków

FOT. ANDRZEJ STOK

rodzić. Niestety tej wymiany obywateli na beton (bo głównie na wylewanie betonu zużyliśmy unijne fundusze) nie była sama liczba emigrantów, ale przede wszystkim struktura wiekowa i społeczna emigracji.

BEZ MIGRACJI JUŻ SIĘ NIE DA

Połączenie wysokiego wzrostu gospodarczego z bezdzietnością może dawać tylko jeden rezultat. Mamy w tej chwili w Polsce ok. 3 mln uchodźców z Ukrainy (warto zwrócić uwagę, że w „taksonomii” UE nie są oni traktowani jako uchodźcy! – przywileje związane z tym statusem zarezerwowane są tam wyłącznie dla migrantów ekonomicznych z obcych

kreślów kulturowych), sporą grupę Ukraińców i Białorusinów, którzy mieszkali tu i pracowali już przed wojną, liczne grupy imigrantów z Wietnamu, Pakistanu, Filipin, Indii, którzy opanowali stare PRL-owskie blokowiska i, co widać na ulicach, często już posprowadzali do Polski żony i dzieci – a jednocześnie wskaźnik tzw. bezrobocia rejestrowanego zszedł poniżej 5 proc. Wiedząc, jak silna jest tradycja zatrudniania „na czarno” i jak silne są dodatkowe bodźce do tego dały podatkowe „wynalazki” tzw. Polskiego Ładu, można więc szacować, że faktyczne bezrobocie mieści się w przedziale 2–3 proc., co w praktyce oznacza brak rąk do pracy w wielu branżach i na wielu obszarach kraju.

Polska w tej sytuacji nie może funkcjonować – ani tym bardziej rozwijać się – bez masowej imigracji. Zastanawiać się można już tylko nad tym, w jaki sposób ją zorganizować i kontrolować, tak aby uniknąć zagrożeń i osiągnąć maksymalne korzyści. I należy to robić szybko, bo na razie wszystko idzie „na żywioł”, a polityczne i opiniotwórcze elity, bez reszty zajęte generowaniem masowych hysterii, a następnie ich obsługiwaniem, zdają się jednego z największych stojących przed Polską wyzwań nie zauważać.

Poważnemu potraktowaniu sprawy bardzo szkodzą emocje, wiążące się w potocznym myśleniu ze słowem „imigrant”. Trudno im się dziwić – wszyscy mamy przed oczami skutki zalania przez imigrantów zachodniej Europy, rozkwit bandytyzmu na ulicach tamtejszych „ubogaconych kulturowo” miast, otwarte zamieszki, degradację imigranckich dzielnic, a z drugiej strony celowe potęgowanie tych problemów przez budowniczych nowego wspaniałego świata, czego symbolem stały się dowożące nielegalnych imigrantów do wybrzeży Morza Śródziemnego „taksówki Sorosa”.

Te obrazy przysyłają nam świadomość, że są kraje, które na imigracji zbudowały swoją potęgę. Oczywiście najoczywistszym i najczęściej podawanym przykładem są tu Stany Zjednoczone, ale można znaleźć wzory bardziej współczesne, powiedzmy, Zjednoczone Emiraty Arabskie, obecnie zamieszkiwane przez ok. 1,5 mln rdzennej ludności i 9 mln imigrantów przybyłych z różnych krajów – poza muzułmańskimi, z tych bowiem ZEA stanowczo i z zasady nikogo poza bogaczami do siebie nie wpuszczają.

Klucz do zrozumienia sprawy leży w tym, że są dwa zupełnie różne rodzaje imigracji i dwa różne rodzaje imigrantów. Ci, którzy budowali USA, przyjeżdżali tam z zamiarem dorobienia się, zbudowania swego życia na nowo, własnym wysiłkiem, własną przedsiębiorczością i bez niczyjej pomocy, poza, ewentualnie, wsparciem osiadłych w USA wcześniej krewnych. Aby zabezpieczyć się przed wmieszaniem się pomiędzy nich ludzi potencjalnie dla Ameryki groźnych albo po prostu w niej niepotrzebnych, zbudowano obóz przejściowy na wyspie Ellis, skąd każdy, jeśli okazał się nie spełniać kryteriów osiedlenia, mógł zostać zawrócony do kraju pochodzenia.

Drugi rodzaj imigrantów, takich właśnie, którzy zalewają dziś Europę Zachodnią, nazwałbym imigrantami

roszczeniowymi. Oni nie przyjeżdżają tu tyrać, ale korzystać z dobrobytu, który w ich przekonaniu im się należy – w czym są utwierdzani przez macherów cynicznej polityki rozbijania europejskich narodów imigracyjnym młotem oraz licznych „pożytecznych idiotów” o mentalności naszej pani Ochojskiej.

KRADNIJ KRADZONE

Część czytelników zapewne dziwi się, dlaczego bogaty kraj muzułmański, którym są ZEA, otwarty jest na chrześcijan z Filipin, na Hindusów i w ogóle wszystkich, tylko nie muzułmanów. Ponieważ Prorok nakazał swym wyznawcom przeznaczać określony procent dochodu, bardzo precyzyjnie w Koranie obliczony, na jałmużnę dla ubogich współbraci w wierze (jałmużna ta, „zakał”, jest jednym z pięciu obowiązków wiary, tak jak pielgrzymka do Mekki). Jeśli wpuścimy tu jakiegось, powiedźmy, Jordańczyka – wyjaśni nam każdy rodowity Emiratyńczyk – on zamiast pracować, natychmiast uwali się i powie, że mamy obowiązek go utrzymywać – no i będzie miał rację. Dlatego bogaci muzułmanie z ZEA wolą swój „zakał” realizować, finansując budowę meczetów w Europie, a biednych współwyznawców trzymać z daleka od granicy.

W Europie Zachodniej zaś rolę „zakału” pełni „sprawiedliwość historyczna”. Dobrobyt europejski, jak postrzegają go Afrykańczycy i mieszkańcy innych krajów postkolonialnych, pochodzi z wielkiego rabunku, którego przodkowie białych dopuścili się na przodkach kolorowych – więc dzisiejsza Europa ma po prostu obowiązek się nim dzielić. „Grab nagrabiliennoje” – kradnij kradzione, jak uczył towarzysz Lenin. Dodać też trzeba, że migranci rekrutujący się z biedoty mają inne oczekiwania życiowe – dach nad głową, ubranie, brak troski o jedzenie i bezpieczeństwo oraz smartfon, a to wszystko dostają w zachodniej Europie na dzień dobry, praktycznie im to wystarcza i mało który czuje potrzebę intensywnej pracy, żeby mieć więcej.

Podczas gdy media w Polsce zachłystywały się – te liberalne z oburzeniem, te „prawicowe” z zachwytem – budową płotu na granicy z Białorusią i odpieraniem przez służby państwowe jej hybrydowego ataku, bodaj tylko jeden polski dziennikarz, Rafał Otoka-Frąckiewicz, zainteresował się, kim są ci „turyści Łukaszenki”, i wybrał się do miejsca pochodzenia większości z nich, do północnego Iraku. Z jego opisów wynika,

**Budowie płotu na granicy
powinno towarzyszyć
otwieranie biur w miejscach
takich, jak północny Irak,
w których lokalni mieszkańcy
mogliby się ubiegać o wizę
pobytową w Polsce**

że istotną część migrantów stanowią członkowie miejscowej klasy wyższej, często przedsiębiorcy. „Żyją dostatnio, jednak uważają, że pokój jest chwilowy. Starają się wydostać z kraju za wszelką cenę. Monetyzują majątki i starają się wydostać ze strefy konfliktu. Ich celem jest migracja zarobkowa”. W innym miejscu cytuje Otoka-Frąckiewicz jednego z takich migrantów: „Niestety, nasze paszporty są mniej parszywe jedynie od afgańskich” (to znaczy, nie dają szansy na legalną wizę do Europy). Widać w tym całą paranoję polityki prowadzonej przez lewicowo-liberalną eurokrację: bogaty Irakijszyk, który chce stać się Europejczykiem, pracować i tym samym naprawdę nową ojczyznę bogacić, nie ma na to szans, ale jeśli wmisza się w tłum biedoty i dziładystów, a swój majątek zużyje na wzbogacenie mafii przemycającej ludzi, to jako imigrant nielegalny będzie miał zapewnione „benefity”.

POLSKA WYSPA ELLIS

Wnioski wydają mi się oczywiste: Polska powinna prowadzić politykę dokładnie odmienną, wzorowaną na dawnej polityce amerykańskiej (polityka migracyjna ZEA z różnych względów, na których wyliczanie brak tu miejsca, nie jest dla nas dobrym wzorem). Trzeba mieć swoją wyspę Ellis, oddzielającą imigrantów potencjalnie pożytecznych od roszczeniowych, najlepiej poza granicami Polski – budowie płotu na granicy powinno towarzyszyć otwieranie biur, w miejscach takich jak północny Irak, w których lokalni mieszkańcy mogliby się ubiegać o wizę pobytową w Polsce.

Jeśli miliony ludzi na świecie gotowe są podejmować ryzyko i trudy współczesnej wędrówki ludów, opłacać słono mafie, narażać życie, żeby poprawić swój los, to elementarny zdrowy rozsądek mówi, że można z tych milionów selekcjonować grupę takich, którzy gotowi są stać się Polakami, wrosnąć w nową kulturę i bogacąc siebie, bogacić nas.

Wystarczy tylko stworzyć im możliwości. Broń Boże, nie dawać żadnych zasiłków, kredytów na zagospodarowanie („Kto nie ma miedzi, niech w domu siedzi”, jak mawiali nasi przodkowie) ani w żaden sposób nie uprzywilejowywać (ale też, jeśli żyją zgodnie z prawem i spełniają warunki, nie dyskryminować), za to dać im wolność dorabiania się. To jeszcze jeden z powodów, dla których należy w Polsce jak najprędzej wrócić do podstaw ustrojowej rewolucji sprzed lat 30 i przywrócić ustawę Wilczka.

Oczywiście imigracja wiąże się też z koniecznością rozbudowania aparatu policyjnego oraz usprawnienia aparatu sprawiedliwości. Potrzebujemy praw i instytucji umożliwiających szybkie reagowanie i usuwanie z kraju osób naruszających prawo lub próbujących działalności antypaństwowej, potrzebujemy systemu przyznawania wiz pobytowych, rezydentur, przeprowadzania – na wzór amerykański bądź duński – egzaminów ze znajomości polskiego prawa, kultury i języka, stanowiących warunek przyznawania kolejnych uprawnień pobytowych, potrzebujemy opracowania na ich użytek, przetłumaczenia i wydrukowania odpowiednich podręczników... Potrzebujemy praktycznie wszystkiego, i to natychmiast, bo problem braku rąk do pracy i zaspakajania go spowodowaniem pracowników zupełnie „na dziko” – przy bezradnych i pozornie jedynie cokolwiek kontrolujących obecnych instytucjach – narasta i będzie narastał lawinowo. Na szczęście nie trzeba tu nic wymyślać, wystarczy przeanalizować i zaadaptować doświadczenia innych krajów.

A jeśli uda się to połączyć z szerszą reformą państwa, obecnie pogrążonego w stanie beżładu i ogólnej niemożności wszystkiego, to napływ żadnych materialnego sukcesu i gotowych do asymilacji imigrantów może być głównym motorem przyszłego cywilizacyjnego sukcesu. Polska ma potencjał, by dla mieszkańców biednych krajów stać się europejską ojczyzną wolności gospodarczej i ziem sukcesu, którą była 100 lat temu dla Polaków i innych Europejczyków Ameryka. Chodzi tylko o to, żeby potencjał ten umieć ocenić i wykorzystać, a nie czekać, aż sprawy pójdą we właściwym kierunku same z siebie, podczas gdy polskie elity polityczne i opiniotwórcze zajmować się będą nadal głównie oburzaniem się na siebie nawzajem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY





Kamila Baranowska

Partie rozpoczęły wyścig o młodych wyborców. Bo nawet jeśli o wyniku wyborów wciąż decydują starsi wyborcy, to młodzi stanowią coraz ważniejszy element wyborczej układanki

Po wygranych przez PiS w 2015 r. wyborach parlamentarnych tygodnik „Newsweek” donosił: „PiS przejmie Polskę, a prawica młodzież”. Podawał, że PiS wygrał wybory w 15 województwach, a młodzież w przysięgniętej większości zagłosowała na prawicę i antysystemowców. Dziś, po siedmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy, coraz bardziej widać, że młodzież, którą miała przejąć prawica, chętniej spogląda w lewo niż w prawo – zarówno światopoglądowo (co pokazują m.in. badania CBOS), jak i politycznie.

W obozie rządzącym jest świadomość tego, że młodzież się do PiS specjalnie nie garnie. Jeszcze gorzej jest z pomysłami, jak temu zaradzić. Mateusz Morawiecki i jego ludzie kalkulowali, że młodzi docenią konkretne pomysły, które rząd wprowadził w życie, takie jak zerowy PIT dla osób do 26. roku życia czy podwyższenie kwoty wolnej od podatku i wzrost średniego wynagrodzenia. Całkiem niedawno premier wrzucił nawet na swój profil na Facebooku infografikę porównującą, co dla grupy 30-latków zrobił jego rząd, a co zrobiła Platforma. „W trudnych czasach krytykować jest łatwo. Niech więc przemówią fakty. Oferta Prawo i Sprawiedliwość vs. oferta PO. Konkretne ulgi i wsparcie dla Polaków vs. lenistwo w czasach koniunktury” – stwierdził Morawiecki.

Jeszcze wcześniej PiS próbował wejść w łaski młodych, biorąc się za tematykę, która jest dziś dla tej grupy wiekowej istotna: ekologia, zmiany klimatyczne, ochrona praw zwierząt. Mało kto dziś pamięta, że to właśnie chęć pozyskania młodsze- go elektoratu leżała u podstaw słynnej „piątki dla zwierząt”, której entuzjastką był sam prezes Jarosław Kaczyński. Pakietu ustaw, zakładających m.in. zakaz hodowli zwierząt futerkowych czy zakaz uboju rytualnego, nie udało się wprowadzić w życie wskutek m.in. protestów rolników,



Bój o młodzież

którzy stanowią dla PiS nader istotną grupę wyborców. Im bliżej jednak wyborów, tym większa presja, by próbować znaleźć kanał komunikacji z młodszymi wyborcami. Ostatnio na spotkaniu z wyborcami w Gnieźnie Jarosław Kaczyński został zapytany właśnie o to, czym PiS chce przekonać młodzież. – Choćby tym, że tym razem zostanie zrealizowany nasz program mieszkaniowy. Wiele zadań już zostało zrealizowanych, choćby brak PIT do 26. roku życia. Ale to jakby trochę nie przekonało – stwierdził prezes.

Dlaczego tak się dzieje? – Kwestie społeczno-ekonomiczne na młodzież nie działają, bo to pokolenie, które socjalizowało się w czasach, gdy rynek był rynkiem pracownika, gdy o pracę było dość łatwo, gdy przy wsparciu rodziców możliwe było prowadzenie dość beztrudnego życia – tłumaczy prof. Rafał Chwedoruk, politolog

z UW. – PiS nagrał też sobie u młodzieży sprawą aborcji i to skazuje tę partię na niepowodzenie, jeśli idzie o tę generację. Jedyne, na co PiS może dziś liczyć, to perspektywa gorszej niż w ostatnich wyborach mobilizacji młodzieży i to, że ich głosy rozproszą się między Platformę, Lewicę i Konfederację – dodaje ekspert.

Jarosław Kaczyński ma własną diagnozę sytuacji. – Młodzież jest pod bardzo wielkim wpływem smartfona, mówiąc w przenośni. Ale tu znowu my wielkich możliwości nie mamy, ale będziemy prowadzić kontrakcje – zapowiedział. – Jest tu wiele do zrobienia, uczynimy ogromny wysiłek. Ale nie sądzę, by dzisiaj do młodzieży był jakiś klucz. Poglądy są bardzo różne – przyznał jednocześnie. I dodał, że jeśli chodzi o młodzież wielkomiejską, to raczej jest pozbawiony złudzeń co do tego, że będzie ona głosować na PiS. – Widzę



FOT. JACEK SZCIBORSKI/REPORT

na „Okiem Młodych” to projekt oddolny – mówi „Do Rzeczy” Oskar Szafarowicz. – Bezpośrednim impulsem, by założyć konto „Okiem Młodych” na TikTok, a następnie również na Twitterze, była chęć pokazania młodym ludziom, że nie powinni bać się – bądź wstydić – poglądów konserwatywnych, a oferta środowisk opozycyjnych sprowadzająca się do wulgarnych haseł pokroju „J... PiS” zdecydowanie nie stanowi odpowiednika merytorycznego programu, który oferuje prawa strona sceny politycznej – wskazuje.

Twórcy „Okiem Młodych” uważają, że zastosowany przez nich „sposób prezentowania poglądów konserwatywnych w nieco humorystycznej, luźnej formie ze świeżym spojrzeniem, jednak osadzony w merytorycznej i konkretnej treści to najsukcesowniejsza droga do dotarcia do młodych i przełamania fałszywej tezy o braku akceptacji młodych dla idei konserwatywnych”, i dlatego zamierzają kontynuować swoją działalność pomimo krytyki, z którą muszą się mierzyć. – Zakładając konto na TikTok, mieliśmy świadomość, że spotkają nas też negatywne komentarze, jednak fala wulgarnego hejtu, który nas zalał, w tym liczne groźby utraty zdrowia i życia, nieeleganckie opinie o naszym wyglądzie, próby insynuacji (podsycane, a wręcz inspirowane przez opozycyjne „wolne media”) i jawne kłamstwa – to było coś, co trudno było przewidzieć – przyznaje Szafarowicz.

Politycy PiS doskonale pamiętają, że w 2015 r. to właśnie dzięki Internetowi wygrywali wybory, jako pierwsi bowiem dostrzegli, że media społecznościowe mają duży potencjał budowania pozytywnego wizerunku partii. Coś, co nie było możliwe w mediach tradycyjnych, udało się w tych internetowych. Dziś z wielu różnych powodów jest to nie do powtórzenia, aczkolwiek nie brakuje też głosów, że PiS sobie Internet przez te lata odpuścił, dopuszczając do tego, że dziś silniej na młodzież oddziałują w sieci opozycja i sympatyzujące z nią celebrycko-showbiznesowe zaplecze.

Dobrze wyczuł to Rafał Trzaskowski, który tegoroczny Campus Polska Przyszłości zaopatrywał w wiele liczących się dla młodzieży nazwisk szeroko pojętej popkultury, od Barbary Kurdej-Szatan do Ralphi Kamińskiego. Patrząc na Campus, można odnieść wrażenie, że Trzaskowski i jego ludzie najlepiej rozpoznają dziś oczekiwania młodzieży i to, jak na nie odpowiadać. Bo Campus to nie tylko zaproszeni celebryci, lecz także sporo ciekawych tematów i debat z nie zawsze

oczywistymi gośćmi. Trzaskowski nie kryje swoich lewicowych poglądów w kwestiach światopoglądowych, takich jak związki partnerskie („Natychmiast!”) czy aborcja („Ta decyzja powinna należeć do kobiety i kropka”), ewidentnie celując w wielkomiejskich, młodych wyborców, o których walczy dziś z Lewicą, a których nie przekonuje Tuskowa „polityka środka”.

ABORCYJNA SZARŻA TUSKA

Na plus Trzaskowskiemu trzeba zaliczyć także zaproszenie do dyskusji liderów innych opozycyjnych partii oraz... Donalda Tuska, dla którego całe to przedsięwzięcie jest solą w oku. Nie udało się przykryć Campusu zorganizowanymi przez Platformę spotkaniami z młodzieżą pod hasłem MeetUp, w których uczestniczył Tusk na początku wakacji.

Niedawno „Wprost” informował o wewnętrznych badaniach, które zleciła PO. Wynikało z nich, że Tusk nie cieszy się zbyt wielką popularnością wśród najmłodszych wyborców. W sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski na pytanie, kto byłby najlepszym kandydatem na premiera, najwięcej badanych wskazało na obecnego prezydenta stolicy (22,2 proc.). Na drugim miejscu uplasował się Szymon Hołownia (19,6 proc.), Tusk był dopiero trzeci z wynikiem 11,3 proc.

Może stąd wzięta się kalkulacja byłego premiera, który podczas swojego wystąpienia na Campusie zapowiedział, że chce aborcji na życzenie do 12. tygodnia i dla kogoś, kto ma inny pogląd w tej sprawie, nie będzie już miejsca na listach Platformy do Sejmu? To bardzo mocna i daleko idąca deklaracja, nastawiona na marginalizację lewicy i chęć pokazania, że nie tylko Trzaskowski ma lewicującej młodzieży coś do zaproponowania. Co z tego wyniknie i czy Tusk w razie wygranej opozycji dotrzyma słowa, dziś trudno przewidzieć, ale widać, że bój o młodych będzie ważnym motywem zbliżającej się kampanii. Dlaczego młodzież jest w kalkulacjach politycznych tak ważna? – Mało zostało aktywnych grup wyborców politycznie niezagospodarowanych. Młodzież jest jedyną grupą, która została na placu boju, o którą można jeszcze zawalczyć. Zwłaszcza że ostatnie wybory pokazały, że jest to grupa zdolna do szybkiej mobilizacji – wskazuje prof. Chwedoruk. – Choć warto pamiętać i o tym, że piramida demograficzna pokazuje, iż to nie młodzi będą rozstrzygać o wyniku wyborów. Decydujące są nadal siwe głowy – konkluduje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

często młodzież, która bawi się nocami w śródmieściu Warszawy, bo ja bardzo późno wracam z pracy. Mam takie wrażenie, daj Boże, że nieprawdziwe, że niewielu z nich przekonamy. No, ale jest także inna młodzież – stwierdził.

AKCJA „OKIEM MŁODYCH”

Być może właśnie do tej „innej młodzieży” skierowana jest internetowa akcja „Okiem młodych”. Profil w mediach społecznościowych (m.in. Twitter, TikTok) pod tą nazwą prowadzi troje młodych ludzi, przedstawiających się jako konserwatyści. Oskar Szafarowicz jest działaczem młodzieżówki PiS, Wiktoria Mielniczuk i Kamil Kaniuk działają zaś w Młodzieżowej Radzie Sprawiedliwości przy resorcie sprawiedliwości. W postach i filmikach nie szczędzą krytyki Platformie i Donaldowi Tuskowi – np. na bieżąco recenzowali Campus Przyszłości Rafała Trzaskowskiego. Choć pomysłodawcy twierdzą, że ich akcja jest spontaniczna i nieinspirowana partyjnie, to przez część mediów zostali już zakwalifikowani jako „rządowa propaganda”.

– Konto założyliśmy na początku sierpnia i prowadzimy je całkowicie samodzielnie, realizując materiały własnymi siłami. Nie towarzyszyła temu żadna odgórna inspiracja czy sugestia, w żaden sposób nie jest to również inicjatywa kierowana przez FM PiS czy inną organizację politycz-

– Wyrok NSA potwierdził, że decyzje komisji reprywatyzacyjnej były słuszne – mówi wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta

FOT. MARCIN BANASZKIEWICZ/FOTONEWS/FORUM

Z Sebastianem Kaletą, wiceministrem sprawiedliwości, przewodniczącym Komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji nieruchomości warszawskich rozmawia Łukasz Zboralski



Ten wyrok pomoże zamknąć zły rozdział III RP

ŁUKASZ ZBORALSKI: Najwyższy Sąd Administracyjny wypowiedział się właśnie w czterech sprawach dotyczących reprywatyzacji. Wszyscy uznali, że to przełomowy wyrok. Dlaczego?

SEBASTIAN KALETA: Przede wszystkim są to jedne z pierwszych prawomocnych wyroków dotyczących prac komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji. Wartość nieruchomości w tych czterech konkretnych sprawach szacować można nawet

na ok. 100 mln zł, bo mowa o dwóch kamienicach przy placu Zamkowym i dużym ogrodzie jordanowskim na Powiślu, gdzie miał zostać zbudowany kompleks apartamentów.

Te sprawy są prawomocnie zakończone wyrokami – i to jest potwierdzenie, że decyzje komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji były słuszne. Mamy potwierdzenie, że komisja w kluczowych

sprawach obroniła swój dorobek. A przypomnę, że wiele osób mówiło przed laty, iż nasza praca nie przyniesie efektów. Przyniosła!

Dodajmy, że na skutek decyzji wydanych przez komisję jest obecnie ponad 100 spraw w sądach administracyjnych o analogicznym charakterze, czyli handlu roszczeniami. Biorąc pod uwagę, że wyrok w tej

sprawie wydał NSA, a ten wyrok poprzedziła jeszcze wcześniej uchwała siedmiu sędziów NSA z czerwca tego roku, to choć w Polsce oczywiście nie ma prawa precedensu, to zazwyczaj traktuje się tego typu orzeczenia jako dość silną linię orzeczniczą. I należy się spodziewać, że w pozostałych 100 sprawach zapadną podobne rozstrzygnięcia. Choć to oczywiście nie jest pewne.

Z wyroku NSA wynika w skrócie, że nabywcy roszczeń do nieruchomości – a przecież czasem kupowali oni minimalne części roszczeń za grosze – w ogóle nie mogą być stroną postępowania reprywatyzacyjnego. Zatem handlarze roszczeniami nie mogą otrzymywać zwrotu nieruchomości. Czy to nie oznacza, że wcześniej nikt w Urzędzie m.st. Warszawy ani w sądach nie rozumiał dekretu, na podstawie którego przekazywano nieruchomości w ramach tej dzikiej reprywatyzacji?

W sprawie reprywatyzacji na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat zmieniało się orzecznictwo w sądach. To pokazuje, że sama konstrukcja reprywatyzacji oparta była na wykładni prawa o niejasnych podstawach. W latach 90. było to dopuszczalne, potem znów uznawano takie zwroty za niedopuszczalne, a przy tym – mimo że były wyroki – organy miasta tego nie przyjmowały i strony nie podważały takich decyzji. Zatem rzeczywiście nie było trwałości wykładni w tej sprawie. Wszystko żyło swoim życiem dopóty, dopóki nie wybuchła afery reprywatyzacyjna. To zmieniło postrzeganie tej sprawy.

Wyrok NSA ma wielki walor i powinien być silniejszy i trwały, bo sąd miał przed oczami skutki reprywatyzacji w dotychczasowym modelu. Na te negatywne skutki wskazywała we wszystkich swoich decyzjach komisja weryfikacyjna – podkreślała, że pewna wykładnia dotycząca reprywatyzacji przyniosła skutki sprzeczne z celami wykładni prawa, czyli tego, żeby stosowanie prawa prowadziło do porządkowania stosunków między osobami, instytucjami, administracją. Bo w tym przypadku mieliśmy do czynienia z wypaczeniami i krzywdami. Prawo w demokratycznym państwie prawnym nie powinno doprowadzać do takich skutków.

Gdyby tak silny wyrok NSA został wydany 20 lat temu, można by było uniknąć afery reprywatyzacyjnej. Wydany dziś może pomóc zamknąć pewien zły rozdział w historii III RP, czyli pozwolić sprawnie zakończyć rozliczanie dzikiej reprywatyzacji w Warszawie.

Warszawa straciła miliard

Po zakończeniu PRL w Warszawie zaczęto zwracać nieruchomości zagarnięte prywatnym właścicielom przez komunistów na podstawie tzw. dekretu Bieruta z 1945 r. W 2016 r. dziennikarze „Gazety Wyborczej” ujawnili nieprawidłowości przy zwracaniu gruntów i kamienic oraz powiązania między urzędnikami ratusza a handlarzami, którzy skupowali roszczenia do nieruchomości i odzyskiwali je dla siebie. Wówczas wyszło na jaw, że adwokat Robert N. przejął ok. 50 działek w stolicy. Oddano m.in. działkę przy ul. Chmielnej 70, której wartość szacowano na 160 mln zł, a do której roszczenia sflącono jeszcze w PRL.

Jak wskazywali członkowie powstałej w 2017 r. komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji, Hanna Gronkiewicz-Waltz jako prezydent stolicy zwrócić miała 50 proc. wszystkich nieruchomości oddanych przez miasto od 1989 r. Po wybuchu afery Gronkiewicz-Waltz zdymisjonowała dwóch wiceprezydentów i rozwiązała odpowiedzialne za zwrot nieruchomości Biuro Gospodarki Nieruchomościami (zwalniając także jego dyrektora).

Aresztowano wówczas i postawiono zarzuty zarówno osobom zajmującym się handlem roszczeniami do gruntów, jak i urzędnikom stołecznego ratusza. Prokuratura zarzucała im głównie przestępstwa korupcyjne na kwotę blisko 50 mln zł.

W 2019 r. Ministerstwo Sprawiedliwości opublikowało raport komisji ds. reprywatyzacji. Wynikało z niego, że zaledwie w dwa lata komisja odzyskała 56 nieruchomości i nałożyła obowiązek zwrotu nienależnych świadczeń na kwotę 99,3 mln zł. Według raportu działania warszawskich urzędników doprowadziły do stworzenia „systemu trwałej korupcji”, a decyzjami wydawanymi z naruszeniem prawa narażono Warszawę na szkodę przekraczającą miliard złotych.

oprac. luz

Jak teraz wobec takich spraw powinny postępować władze stolicy?

Przede wszystkim nie powinny wydawać decyzji reprywatyzacyjnych w sytuacjach, w których doszło do zbycia roszczeń. Urząd powinien odmawiać wydania takich decyzji. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że nowelizacja prawa – podjęta również dzięki działaniom komisji weryfikacyjnej w ostatnich latach, czyli zmiany w ustawie o gospodarowaniu nieruchomościami czy w Kodeksie postępowania administracyjnego – i tak skutecznie zawężyła możliwość wydawania pozytywnych decyzji reprywatyzacyjnych. Orzeczenia sądów dopełniają więc w pewien sposób zawężenia wprowadzone przepisami i pomagają tę dziką reprywatyzację zatrzymać.

Czekamy więc na rozstrzygnięcie w 100 kolejnych sprawach w sądach. A co z tymi sprawami sprzed lat, gdy nieruchomości dawno już oddano handlarzom roszczeniami? Czy jest jakaś szansa, by ruszyć te sprawy, skoro doszliśmy w kraju do rozsądnej wykładni prawa w tej sferze?

Spraw rozpatrywanych przez komisję, z podobnymi wątkami, może być kolejnych 100. Aktualnie prowadzimy kwerendę, by nadać tym sprawom bieg priorytetowy. Skala jest znacząca. Efekt będzie widoczny, jeśli oczywiście linia orzecznicza zostanie utrzymana, na co mamy wielką nadzieję.

Nie wiem, czy nie pójde tu za daleko w analogiach. Skoro jednak władza sądownicza w Polsce stawia sprawę tak, że z roszczeniami dotyczącymi mienia mogą występować spadkobiercy, ale już nie handlarze, to czy nie jest to wsparciem poglądu, że tak samo należy oddawać żydowskie roszczenia dotyczące tzw. mienia bezspadkowego? I tam, i tu już nie ma spadkobierców...

Ma to pewien związek, ponieważ przede wszystkim orzeczenie NSA wskazuje, że aby powstał obowiązek wypłaty jakiegokolwiek odszkodowania, to musi być konkretny jasny przepis prawa. Sąd stwierdził, że skoro nie ma przepisu, to nie ma możliwości, żeby te osoby były dopuszczone do takich postępowań administracyjnych. Takie rozumowanie jest zbieżne z tym, o czym pan mówi. Ponieważ w polskim prawie ani w żadnych zobowiązaniach międzynarodowych Polska nie wytworzyła normy, zobowiązania, na mocy którego mienie bezspadkowe, które – zgodnie z przepisami przedwojennymi i powojennymi – należy do Skarbu Państwa, miałyby należeć się komuś innemu. Zatem gdy obywatele polscy umierają bez spadkobierców, niezależnie od ich religii czy pochodzenia etnicznego, to spadkobiercą jest polski Skarb Państwa, a nie jakiegось innego kraju, którego obywatelami nie byli. Żadne państwo nie ma prawa wobec Polski wystosować jakichkolwiek roszczeń tego rodzaju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Komiks „Heartstopper” to
homoseksualna indoktrynacja
FOT. WYDAWNICTWO JAGUAR

Indoktrynacja na miękko



Zuzanna Dąbrowska

Ciepły, opiekuńczy homoseksualizm kontra toksyczna męskość i homofobia – to główny podział zarysowany w bijącej rekordy popularności powieści graficznej „Heartstopper” autorstwa Alice Oseman. Brytyjski komiks pod płaszczykiem przyjaznej historii dla nastolatków wpaja młodym czytelnikom przekonanie, że właściwie każdy jest homo, tylko nie każdy już o tym wie

Będący de facto homoseksualną indoktrynacją „Heartstopper” trafił na półki polskich księgarń w ubiegłym roku. „Autorka w swojej książce porusza wiele trudnych tematów, m.in. nękanie, toksyczne relacje i odkrywanie swojej orientacji seksualnej” – zachwala komiks serwis czytelniczy lubimyczytac.pl. Polskie portale dla bibliofilów zgodnie polecają powieść Oseman. Trudno znaleźć krytykę – jeśli już się pojawia, to nie dotyczy niebezpiecznych ideologicznie wątków, a warstwy literackiej. O popularności „Heartstoppera” wśród polskiej młodzieży może świadczyć to, że na wypożyczenie książki z biblioteki trzeba „zapolować”. I tak np. w jednej ze szczecińskich bibliotek od ręki dostępny był (w okresie wakacyjnym) tylko pierwszy tom; aby wypożyczyć pozostałe trzy, trzeba było zapisać się na listę. Oczywiście komiks można kupić w niemal wszystkich rodzimych księgarniach internetowych. W sieci wiele jest komentarzy podekscytowanych fanów, którzy czekają z niecierpliwością na tom numer pięć.

„Chłopak poznaje chłopaka. Zaprzyjaźniają się. Zakochują się” – taki lakoniczny blurb znalazł się na tylnej okładce pierwszej części powieści Brytyjki Alice Oseman. Pierwotnie „Heartstopper” był publikowany jako komiks internetowy w serwisach Tumblr oraz Tapas. Oseman chwali się na swojej stronie internetowej, że cyfrowe wersje komiksu zanotowały ponad 52 mln wyświetleń. Publikacja pierwszego tomu (w wersji limitowanej) została sfinansowana dzięki zbiórce crowdfundingowej. Następnie pojawiła się oferta ze strony jednego z największych wydawców książek dla dzieci w Wielkiej Brytanii – Hachette Children’s Group, która wydała kolejne tomy. Nic dziwnego, że „Heartstopper” stał się bestsellerem. Kampania PR książkowego giganta zrobiła swoje. Na całym świecie, w tym w Polsce, sprzedano w sumie ponad 1 mln fizycznych egzemplarzy. Do tego dochodzą e-booki.

GEJE I KRYPTOGEJE

Głównym bohaterem tego komiksu z gatunku young adult jest „wyoutowany” nastolatek Charlie. Początkowo ukrywał swój homoseksualizm, ponieważ była to przyczyna prześladowania go przez rówieśników. Ostatecznie jednak przyznał się do bycia gejem. Charlie poznaje Nicka, rugbistę, ucieleśnienie męskości i wszystkiego tego, co znajdujemy w stereoty-



powych postaciach „kapitanów drużyn” z zachodnich seriali i filmów dla młodzieży. Chłopcy najpierw się zaprzyjaźniają, następnie zakochują. Oczywiście nie jest łatwo, ponieważ aby być z ukochanym, Charlie musi najpierw zerwać wcześniejszą relację. I tu pojawia się postać Bena – kryptogeja, który wykorzystuje Charliego do realizacji swoich homoseksualnych pragnień. Ben jest typowym „gejem, który nie lubi gejów”. Stosuje przemoc wobec kochanka – zarówno psychiczną, jak i fizyczną. Przyczyna się go do bliskości, choć publicznie nie chce przyznać się do związku. Z jednej strony stanowi symbol „toksycznej męskości”, która jest dziś jednym z wrogów koalicji feministyczno-genderowej; z drugiej, ma być dowodem na to, że nawet ktoś taki może być gejem (choć do końca nie jest dopowiedziane, czy gejem jest naprawdę czy to tylko nastoletni eksperyment). Ostatecznie z tego trudnego związku Charliego uwalnia Nick i wtedy rozpoczyna się ich romans. Rugbista jest opiekuńczy, delikatny i zaszokowany stopniowym odkrywaniem w sobie pierwiastka homo.

W powieści Oseman sprytnie odwrócono role. Gdyby na miejscu Charliego postawić dziewczynę, historia zachowałaby sens. Mielibyśmy złego chłopaka, który nie szanuje ukochanej, i rycerza na białym koniu, który przybywa na ratunek. Autorka w sposób atrakcyjny dla młodego czytelnika przedstawia odwróconą normalność – poznawanie się Charliego i Nicka, wzajemne zaloty i wszystko to, co budzi wypieki na twarzy nastolatka. Komiks czyta się szybko, niekiedy na jedną stronę „do przeczytania” mamy zaledwie obrazek serduszka, który pojawia się w zwyczajowej chmurce symbolizującej myśli bohatera.

IDEOLOGIZACJA NASTOLATKÓW

Co niebezpiecznego kryje się w „Heartstopperze”? Przede wszystkim komiks uderza w najbardziej rozchwianą tożsamościowo grupę wiekową. Adolescencja to czas, w którym odkrywamy siebie, chcąc zrozumieć, kim jesteśmy i dokąd powinniśmy zmierzać. Dzieje się to po pierwsze poprzez próbowanie nowych rzeczy, a po drugie poprzez stawianie w opozycji do zastanego stanu rzeczy i utartych schematów. Oczywiście nie zawsze okres ten jest faktycznie okresem buntu – wiele osób łagodnie wchodzi w dorosłość – w czym, jak podkreślają eksperci, rolę nie do przecenienia odgrywa stabilna,

kochająca rodzina, oparta na fundamencie małżeństwa. Niejednokrotnie jednak nastolatek kontestuje rzeczywistość i zaczyna poszukiwać. Nietrudno trafić w sieci na twórczość ze zdobywającego rzesze fanów nurtu LGBT+. Tego typu treści wręcz zalewają popularne serwisy z opowiadaniami, takie jak Wattpad, fora internetowe, a także Twittera. Młody człowiek otoczony przekazem zrównującym związki hetero i homo, a nawet ukazującym pierwszy rodzaj relacji jako bardziej atrakcyjny i trendy, nabywa przekonania, że tak wygląda świat i że to da mu szczęście. „Heartstopper” stanowi swoiste mistrzostwo w konkursie na ideologizację nastolatków. W sposób miękki podsuwa czytelnikowi pytanie o jego własną orientację. Ponadto prezentuje wiele postaci będących „osobami sojusznymi”. Chodzi o pozytywnych bohaterów drugoplanowych, którzy kibicują miłości Charliego i Nicka (który ostatecznie ujawnia się jako biseksualista). Wybór jest więc prosty: możesz być po „jasnej stronie mocy” i samemu być homo albo przynajmniej aktywnie sprzyjać homoseksualistom lub być po stronie Bena, który nie lubi gejów, bo sam nim jest.

Temat podchwycił Netflix (regularnie promujący w swoich produkcjach tematykę LGBT). Popularna platforma streamingowa w kwietniu wypuściła pierwszy sezon serialu przygotowanego na podstawie komiksu Alice Oseman. Zagraniczni krytycy ocenili ekranizację pozytywnie. Pisząca dla „The Guardian” Rebecca Nicholson stwierdziła, że serial „może nie do końca spełnia dramatyczną obietnicę zawartą w tytule, ale ten uroczy romans dla nastolatków co najmniej rozgrzewa serce”. Z kolei recenzentka „Paste Magazine” oceniła film na 8,8/10, przekonując, że „Heartstopper” z „otwartymi ramionami obejmuje młodzież queerową, kładzie mocne fundamenty pod to, co – miejmy nadzieję – będzie podnoszącym na duchu i inkluzywnym przedstawieniem postaci queerowych dla następnej

generacji widzów”. Nic więc dziwnego, że podpisano już kontrakt na kolejne dwa sezony. Najważniejsze się zgadza: pieniądze i propaganda.

KAŻDY MOŻE BYĆ HOMO

Każdy może być orientacji innej niż heteroseksualna – taki wniosek wysnuje nastolatek po lekturze komiksu. Biseksualistą może być rugbista, który do tej pory nawet o tym nie pomyślał. Gejem może być ktoś, dla kogo jest to powód do wstydu. Jednak „Heartstopper” to tylko jedna z książek Alice Oseman utwierdzających poszukującą swojej tożsamości dzieci w tym, że świat to nie tylko dwie płcie i relacje damsko-męskie, a wszystkim inne, choć się zdarza, jest odstępstwem od normy. Powieść „I Was Born for This” porusza temat transseksualizmu. Z kolei „Radio silence” to historia o biseksualnej nastolatce, która poznaje „demiseksualnego” (odczuwającego pociąg fizyczny tylko pod warunkiem nawiązania silnej więzi emocjonalnej) twórcę jej ulubionego podcastu. W „Loveless” Oseman kreśli postać Georgii, która nie czuje pociągu ani do dziewcząt, ani do chłopców. Brytyjka, poruszając coraz to nowe „odmiany orientacji”, promowane przez ruch określający się jako LGBTQIA (lesbijki, geje, osoby biseksualne, transpłciowe, aseksualne, queer i interplciowe), stworzyła perpetuum mobile. Weźmy w świecie, w którym każdy kolejny absurd, taki jak np. pociąg seksualny do roślin lub przedmiotów, jest traktowany jako nowy odcień normalności. Oseman będzie miała zatem o czym pisać do końca życia – Brytyjka ma zaledwie 28 lat, więc można się spodziewać, że uraczy nas jeszcze niejednym „dziełem”.

Pytanie, jak wielu poronionych nastolatków, stających się później zaburzonymi dorosłymi, będzie miała na koncie. Nie należy się spodziewać, że nagle nastąpi refleksja – zarówno u autorki, jak i u wydawcy jej książek oraz producenta serialu. Wielkie i ważne zadanie stoi więc przed rodzicami i wychowawcami. Ci pierwsi, dla dobra własnych dzieci, powinni uważnie przyglądać się lekturom, po które one sięgają. Proponować książki wartościowe, których przecież nie brakuje. Drugi – nie dopuścić, aby niebezpieczny przekaz zawarty w utworach Alice Oseman trafił do szkolnych bibliotek.



Złote Lwy, Tłuste Koty i głodne wilczki

Zeszłoroczny 46. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni przeszedł do historii jako niezapomniany i niepowtarzalny. Złote Lwy dostał film o AgroUnii, kilka nagród dostała Pani Poprawność Polityczna, kilka dobrych i znaczących filmów, w tym „Lokatorkę”, niemiecki portal Onet określił jako „zanizające poziom festiwalu”. Prezydentka Holland przemówiła



Remigiusz Włast-Matuszak

Zbliża się 47. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Poprzednia edycja kosztowała w całości ok. 400 mln zł. Nikogo „nie pociągnięto” za konsekwencje tego blamażu i nigdy „polska” kinematografia nie bawiła się tak beztrosko i tak dobrze jak teraz. Powtórka na żywo z lat 20. XX w.

do narodu, ostrzegając, że „szczepionka Holocaustu” przestała działać (słyszała, że gdzieś dzwonią, ale nie wiedziała, za którą granicą). Juror Mikołaj Trzask wtórował prezydentce, eksponując ciemnowiśniowe paznokcie, dyrektor artystyczny festiwalu witał gości na schodach w odważnej stylizacji, a mistrzem ceremonii był redaktor Błażej Hrapkiewicz w przebraniu dyrektora cyrku.

46. przedstawienie kosztowało w całości ok. 400 (czterystu) mln zł. Nikogo „nie pociągnięto” za dorocznego tego blamażu i nigdy „polska” kinematografia nie bawiła się tak beztrudno i tak dobrze jak teraz. Powtórka na żywo z lat 20. XX w.

LEWACKA SELEKCJA

W 2016 r. zostałem powołany do Rady Programowej FPFF w Gdyni. W jej skład wchodzi ponad 100 osób związanych zawodowo z kinematografią. Około 30 osób uczestniczyło w dorocznym zebraniu RP. Reszty nigdy nie widziałem na oczy – są zajęte zarabianiem konkretnych pieniędzy, a nie „ustawianiem paprotek”. Filmy do konkursu głównego FPFF w Gdyni wybierała zawsze zgodnie z Regulaminem FPFF Komisja Selekcyjna. Powoływał ją przewodniczący Rady Programowej reżyser Wojciech Marczewski, wyciągając z kieszeni karteluszek, z którego odczytywał propozycje pięciu kandydatów do RP. Część twórców na sali protestowała, ale i tak lista Marczewskiego zostawała zatwierdzana. W 2020 reżyser Marczewski (ur. w 1944 r.) przeszedł na emeryturę, a przewodniczącym RP FPFF został wybrany 30 głosami reżyser Paweł Pawlikowski (autor „Idy” i „Zimnej wojny”). Jako jedyny na sali byłem przeciw. Dyrektorem artystycznym FPFF mianowano cenionego okultystę Tomasza Kolankiewicza, który nie przedstawiał kandydatów do Komisji Selekcyjnej, a ich sobie sam dobierał. (W 2021 r. głównym selekcjonerem powołanym przez Tomasza Kolankiewicza był wnuk TW „Januszek” – Barbary Seidler z „Życia Literackiego” prowadzonego od 1952 r. do 1991 r. przez kapitana SB Władysława Machajka).

W 2022 r. dyrektor artystyczny FPFF na zapytanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dotyczące Komisji Selekcyjnej odpowiedział, że w tym roku korzysta z rad „nieformalnych doradców” i Komisji Selekcyjnej nie będzie. Jednak 11 lipca br. okazało się, że

była, a w jej skład wchodziła „filmoznawczyni, historyczka i teoretyczka” z Instytutu Kultury Polskiej UW dr Paulina Kwiatkowska, specjalizująca się m.in. w „antropologii kultury wizualnej”, oraz „krytyczka filmowa”, felietonistka „Vogue”, publicystka „Newsweeka” i „Krytyki Politycznej” Adriana Prodeus, od pięciu lat partnerka redaktora Jakuba Żulczyka (tego, który bezkarnie nazwał prezydenta RP „debilem”, a niezwisły sędzia i „językoznawca” Michał Rusinek udowodnili, że określenie „debil” to kreacja artystyczno-publicysty). (No comment).

Aby uwiarygodnić decyzje pań lewicowych krytyczek, dyrektor Kolankiewicz dokooptował reżysera Janusza Zaorskiego (ur. w 1947 r.). Pisałem entuzjastycznie o jego „Matce Królów” i „Barytonie” w czasach komuny, gdy nie było to mile widziane, ale dzisiaj jestem pewien, że dyrektor Kolankiewicz po prostu posłużył się nazwiskiem reżysera do „uwiarygodnienia” lewackiej selekcji. Zresztą nie wierzę, by Janusz Zaorski był w stanie wyklócać się z dwiema agresywnymi lewicowymi aktywistkami. Po prostu trzech na jednego. A oto wynik tej selekcji, tych 12 filmów wybranych przez dyrektora Kolankiewicza i jego komisję do Konkursu Głównego 47. FPFF w Gdyni:

„Apokawixa” – film Xawerego Żuławskiego – komedycja o współczesnej młodzieży – „melanz życia”, katastrofa ekologiczna – sinice pożerają siostrę Julii Wieniawy! (Uf!).

„Broad Peak” – reż. Leszek Dawid – nudziarstwo himalaistyczne; gdyby nie świetne zdjęcia Łukasza Gutta, mielibyśmy replikę filmu „Ściana cieni” (reż. Eliza Kubarska – 2020 r.).

„Chleb i sól” – reż. Damian Kocur – bracia pianiści w małym polskim miasteczku okazują nietolerancję arabskim właścicielom kebaba (producent Jacek Bromski).

„Filip” – reż. Michał Kwieciński – uznany producent filmowych hitów, scenarzysta i reżyser dokumentów i fabuły. Film to adaptacja powieści Leopolda Tyrmanda pt. „Filip”, dziejącej się w getcie założonym przez Niemców w Warszawie i w wojennym Frankfurcie nad Menem.

„Głupcy” – reż. i scen. Tomasz Wasilewski – ten od „Płynących wieżowców”. Dostaliśmy obsceniczny, skandaliczny, kameralny film „psychologiczny” kosztujący 7,2 mln zł. Reżyser czekał ponad dwa lata na dogodny moment, by dostać weneckiego Lwa, berlińskiego Niedź-

wiedzia, a skończyło się na szklance wody w Karlsbadzie. GŁUPCY to my, PISF, MKiDN i reszta widowni skazana na oglądanie sceny seksu między córką a matką w bezwyznaniowym domu pogrzebowym, gdzie owa córka – siostra z Francji – nad otwartą trumną brata wrzeszczy „K...., k...., k....”. Są jeszcze mużulmanin wzruszająco opiekujący się Polką w czasie trudnego porodu i sceny przewijania nagiego dorosłego, umierającego mężczyzny w hospicjum (ok. 12 min). Młoda kobieta z Mazowieckiego Funduszu Filmowego pouczyła mnie, że Wasilewski po prostu „przełamuje tabu”. Faktycznie, przełamuje. Złote Lwy w Gdyni prawie pewnie (film zszedł z ekranów przy frekwencji 4409 tys. widzów).

„Iluzja” – kameralny dramat społeczno-kryminalny Marty Minorowicz, z życiową rolą Agaty Buzek. Film autentycznie ciekawy i wzruszający. Nie mogę go chwalić, bo zaszkodził realizatorom.

„Infinite Storm” – amerykański, angielszczyzny film Małgorzaty Szumowskiej. Trzecia, po „Ścianie cieni” i „Broad Peak” alpinistyczna opowieść, której bohater (tu bohaterka) sam wpęda się w kłopoty, z których z trudem się wyplątuje. Film zszedł z polskich ekranów przy 18 662 widzach. W USA ponoć tłumy szturmują kina.

„IO” – reż. Jerzy Skolimowski – filozoficzna opowieść o polskim osiłku kończącym życiową wędrówkę we włoskiej rzeźni. Co to znaczy terror nazwiska! W Cannes prawie dostał Złotą Palmę, w Gdyni pewnie też coś dostanie. (Może za casting?).

„Kobieta na dachu” – film Anny Jadowskiej. Normalna, spokojna, współczesna polska opowieść filmowa. Dorota Pomykała (lat 60) zagrała fenomenalnie i nienagrodzenie filmu oraz aktorki będzie jawnym skandalem. Dorocie Pomykałe należy się też nagroda za rolę matki-histeryczki w arcywłoskiej komedii jarmarcznej pt. „Jakoś to będzie” Sylwestra Jakimowa, filmowi niedopuszczonego zarówno w 2021 r., jak i w 2022 r. do FPFF.

„Orzeł. Ostatni patrol” – reż. Jacek Bławut. Ostatni rejs ORP „Orzeł” – z góry wiemy, jak się skończy ta historia. Tomasz Ziętek kadrowany na mocnym zbliżeniu, nie ma co zagrać. Jedynie wzruszenia to szkocka ballada śpiewana przez brytyjskiego aktora. To jednak zbyt mało, by zachwycić się tym wojennym filmem.

„Strzępy” – film dr Beaty Dzianowicz (jeśli możemy kogoś uznać za

filmoznawczynię, to właśnie panią Beatę Dżianowicz). Kameralny film psychologiczny o ojcu – profesorze politechniki nagle zapadającym na alzheimera – i synu, nauczycielu z liceum, który ratując ojca, walcząc o jego człowieczeństwo, nie waha się poświęcić własnego życia. „Strzępy” to mój faworyt do wszelkich nagród w Gdyni.

„Tata” – reż. Anna Maliszewska. Film drogi o ojcu nosiowcu i jego córce. W PISF film nosił tytuł „Deep Frozen Goods” („Towar głęboko zamrożony”). Film to polsko-ukraińska historia – dość ciekawa, dość wzruszająca, ale nie dorównuje innym polsko-ukraińskim filmom pt. „Nosorożec” czy brawurowemu filmowi pt. „Pamfir”.

Tak wygląda lista 12 filmów wybranych przez Komisję Selekcyjną. Oczywiście nie można się doprosić o oficjalną publikację na stronie 47. FPFF listy filmów zgłoszonych do konkursu – ponoć było ich 30. Regulamin FPFF (regulamin, a nawet konstytucję piszą ludzie) przewiduje, że Komitet Organizacyjny FPFF może dołączyć do konkursu cztery filmy według swojego uznania. I tak też się stało. MKiDN mające głos decydujący w owym Komitecie dołączyło pominięte przez panie krytyczki filmy:

„Orlęta. Grodno '39” Krzysztofa Łukaszewicza. Jakżeby było można od razu zakwalifikować film historyczny, ukazujący po raz pierwszy w Polsce obronę polskiego Grodna przed Sowietami? No i ta jawna niestosowność faktu uczynienia bohaterem filmu 13-letniego Żyda – polskiego harcerza niszczącego sowieckie czołgi i przez Sowietów rozstrzelanego, wra z innymi obrońcami. Chcę przypomnieć paniom selekcjonerkom, filmoznawczyniom, że w 1940 r. w Grodnie na placu Batorego (dzisiaj placu Sowietkim) spalono na stosie polskie książki z miejskich i szkolnych bibliotek! Wszyscy wiedzą, że książki palono w III Rzeszy, a tu się okazuje, że w ZSRS również. Wyobrażam sobie te kubły pomijane wylewane na film przez środowisko „Gazety Wyborczej”.

Drugi film odrzucony przez krytyczki (a dołączony do konkursu) to świetny i wzruszający dramat społeczny pt. „Śubuk” w reżyserii Jacka Łusińskiego. Jest to historia matki samotnie wychowującej syna cierpiącego na autyzm i „wysepkowe porażenie mózgu”, który jako pierwszy w Polsce został, na specjalnych zasadach, dopuszczony do matury i tę



Agnieszka Holland ze statuetką nagrody Złote Lwy. FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

maturę zdał. Sądę, że panie selekcjonerki były wzburzone przesłaniem filmu. Młoda kobieta ucieka z fotela aborcyjnego w trakcie nielegalnego zabiegu przerwania ciąży. Oczywiście powinna poddać się aborcji – nie byłoby wówczas zarówno problemu, dla niej i dla rodziny, jak i potrzeby realizacji tak dramatycznego filmu. Dwa razy w życiu popłakałam się publicznie w trakcie projekcji: w 1972 r. w warszawskim kinie Bajka na premierze Przeglądu Filmów Amerykańskich, na „Love story”. Płakała cała sala. I drugi raz po filmie Jacka Łusińskiego, po „Śubuku”

DLA KOGO LWY?

Decyzje Komisji Selekcyjnej spotkały się z niezadowoleniem „środowiska”, w sumie do 12 filmów wyselekcjonowanych dołączono w dwóch ratach po cztery filmy, razem osiem. Tak więc w Konkursie Głównym zobaczymy, pierwszy raz od lat, aż 20 filmów. (Od trzech lat trwają dziwne perturbacje ze zgłoszeniem gotowego filmu pt. „Klecha” w reżyserii Jacka Gwizdały, o zamordowaniu w 1976 r. w Radomiu przez SB ks. Romana Kotlarza. Film miał być zaprezentowany w tym roku, ale jak zwykle zaistniały przeszkody).

Słusznie dokooptowano film pt. „Johnny” Daniela Jarosza (jest to przekonywująco i z talentem opowiedziana historia życia i śmierci ks. Kaczkowskiego); „Zadę” – opowieść o raperce z blokowskiej, autorstwa Grzegorza Mołdy (jako jedyny będzie miał na FPFF aż dwa filmy

fabularne); „Brigitte Bardot cudowna” – film autorski Lecha Majewskiego (cztery lata temu krytycznie wypowiedziałem się o scenariuszu i nie sądzę, by film był oglądany przez „szeroką” widownię); „Cicha ziemia” Agi Woszczyńskiej – intelektualne dywagacje na temat wakacyjnego epizodu z życia polskiej klasy średniej (taki włoski neorealizm z lat 60. XX w.). Dokooptowano też „The Silent Twins” – dobry brytyjski, anglojęzyczny film zrealizowany przez Agnieszkę Smoczyńską. Znaleźnienie się w Konkursie Głównym filmu „Wesele” (II) Wojciecha Smarzowskiego uważam za niezrozumiałą wybryk.

Z tej dwudziestki po Złote Lwy i inne nagrody powinny sięgnąć: „Strzępy”, „Śubuk”, „Orlęta. Grodno '39”, „Iluzja” i ewentualnie „Cicha ziemia”, „Johnny”, „Kobieta na dachu”. Obawiam się jednak, że jury nagrodzi „Głupców” i „IO” oraz oba anglojęzyczne filmy Szumowskiej i Smoczyńskiej.

Z siedmiu filmów mikrobudżetowych prezentowanych na festiwalu zobaczymy: „Algorytmikę” Marcina Piotrowskiego, który poszukuje Boga – algorytmu rządzącego wszechświatem; „Czas na pogodę” – Jacka Raginisa-Królikiewicza – udany melodramat o „zapomnianej” piosenkarce pragnącej wrócić na scenę; „Hele” Anny Kasperskiej – bardzo potrzebny film społeczny, niestety z akcentami poprawności politycznej; „Matecznik” Grzegorza Mołdy – kuriozalny film, w którym reżyser miesza gatunki filmowe. Scena gryzienia policjantki w nogę, do krwi, przez podopiecznego ma szansę na Złotą Malinę. „Obudź się” – udany kryminał psychologiczny Filipa Dzierżawskiego. „Spadek” – to pogodna, świetnie zagrana spokojna opowieść Jakuba Laskowskiego, i na koniec „Stoń/Koniec listopada” – film miał opowiadać o wyścigach konnych na Podhalu, a tymczasem dostaliśmy mało apetyczne soft porno LGBT Kamila Krawczyckiego o polskich chłopach znęcających się nad psami, gejami itd.

W długim i uprzejmym liście zwracałem się do dyrekcji FPFF o przywrócenie formuły (obowiązywała przez wiele lat, zarówno za PRL, jak i za III RP) prezentowania jury i widowni FPFF całej produkcji fabularnej z danego roku. Cóż, dyrekcja ma swoje zmartwienia z 20 filmami i – jak widać – nie ma ochoty na prezentowanie całego rocznego dorobku kinematografii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Po końcu świata



Piotr Gociek

„Pięć dni w szpitalu Memorial” to oparta na faktach opowieść przerażająca bardziej niż najgroźniejsze kino apokaliptyczne

Nikt nie jest gotowy na koniec świata. A gdy sprawy zaczynają iść źle, zawsze zwycięża nadzieja, że to tylko chwilowe, że zaraz wszystko wróci do normalności. Skala katastrofy jest trudna do oceny, gdy spogląda się jedynie przez pryzmat własnych doświadczeń. Tymczasem mijają godziny, dni, pomoc nie przybywa albo okazuje się

zbyt skąpa. W miejsce szoku przychodzi złość, potem rezygnacja, czasem powraca nadzieja. I dzieje się niewiele więcej, bo... no właśnie, patrz punkt pierwszy: nikt nie jest gotowy na koniec świata.

Miniserial „Pięć dni w szpitalu Memorial” („Five Days at Memorial”) jest opowieścią o końcu świata, opowieścią bardziej przerażającą niż niezliczone hollywoodzkie filmy o klęskach naturalnych, kataklizmach z kosmosu, inwazji zombi i cholera wie o czym jeszcze, katalog strachów jest przecież przeobfity. Zwykle oglądamy te historie w chłodnym, klimatyzowanym kinie albo w wygodnym fotelu przed telewizorem, z pełną świadomością, że to nasza „guilty pleasure”. Damy się trochę nastraszyć, lubimy potwory, o ile tylko mamy świadomość, że to jedynie facet w futrze albo

gumowym kombinezonie, ewentualnie wysmakowany owoc pracy specjalistów od efektów specjalnych. Kibicujemy pechowym bohaterom, bo żyjemy w przeświadczeniu, że złe rzeczy przydarzają się jedynie innym ludziom.

ZDARZYŁO SIĘ NAPRAWDĘ

John Ridley i Carlton Cuse odzierają nas ze złudzeń. Scenariusz ich dzieła oparty został na reporterskiej książce Sheri Fink „Five Days at Memorial: Life and Death in a Storm-Ravaged Hospital”. Wszystko, co widzimy na ekranie, zdarzyło się naprawdę. Oczywiście materię rzeczywistości trzeba było przefiltrować na potrzeby serialowej opowieści, zamknąć w dobrze napisanych dialogach, nadać kształt odpowiedni dla telewizyjnej fikcji, ale od początku do końca towarzyszy nam poczu-

cie, że trafiamy w sam środek prawdziwej tragedii. Nie ma tu optymistycznych zwrotów akcji, nie ma przynoszących poczucie ulgi zakończeń poszczególnych wątków. Rzeczywistość skrzeczy? Nie, rzeczywistość rozdziera nasze serca na strzępy.

Oddam na chwilę głos Sheri Fink, lekarce z wykształcenia, reporterce z zawodu. We wstępie do nieprzełożonej jeszcze na język polski książki pisała: „Książka ta opisuje wydarzenia, które miały miejsce w Memorial Medical Center [w Nowym Orleanie – przyp. P.G.] w czasie uderzenia huraganu Katrina i po nim, w sierpniu 2005 roku. Opowiada o wypadkach, w wyniku których lekarze tej placówki zostali aresztowani i oskarżeni o przyspieszenie śmierci swoich pacjentów. Wiele osób znało drobne części tej historii; mnie udało się przeprowadzić ponad pięćset wywiadów z setkami z nich: lekarzami, pielęgniarzami, pracownikami i dyrektorami szpitali, pacjentami, członkami ich rodzin, urzędnikami państwowymi, etykami, prawnikami, naukowcami i innymi osobami”.

Sheri Fink przekuła zebrany materiał w artykuł dla „New York Timesa” (2009), za który zresztą została nagrodzona Pulitzerem. Mocno rozszerzona i pogłębiona wersja tekstu ukazała się w roku 2013 w formie książkowej. Podejmowane dotąd próby przeniesienia jej na ekran nie powiodły się, rzecz do końca doprowadził dopiero John Ridley, doświadczony scenarzysta, producent i reżyser, znany m.in. z serii „American Crime” oraz wyróżniony Oscarem za najlepszy scenariusz adaptowany („Zniewolony” Steve’a McQueen’a). Ośmioodcinkowa produkcja pojawiła się kilka tygodni temu w serwisie streamingowym Apple TV+, kolejne epizody pokazywane są co tydzień, a finałowy obejrzymy w piątek 16 września.

Zgodnie z tytułem pierwszych pięć odcinków opowiada o wydarzeniach kilku kluczowych dni z sierpnia 2005 r. – w pierwszym widzimy uderzenie żywiołu, w trzecim widzimy jego opóźnione skutki: pękają tamy, powódź ogarnia miasto, wkrótce nie tylko szpital, lecz także tysiące innych budynków zostają odcięte od świata. Nie ma prądu, nie ma dostępu do bieżącej świeżej wody, kończą się zapasy. Leki, jedzenie, pościel stają się dobrami rzadkimi; panuje duchota nie do wytrzymania, bo przecież brak klimatyzacji, a mamy wyjątkowo gorące lato w Luizjanie. Co najgorsze,

znikąd nie widać pomocy. Dzień po dniu, odcinek po odcinku, szpital Memorial zamienia się w piekło na ziemi. Nie ma sensu wyliczać postaci przewijających się przez ekran, bo jest ich bardzo wiele – mamy do czynienia z opowieścią o całej społeczności: lekarzach, pielęgniarzach, pacjentach i ich rodzinach. Odnotujmy świetną rolę Very Farmigi jako dr Anny Pou, ale reszta obsady od niej nie odstaje. Mimo wszystko głównym bohaterem serialu jest katastrofa.

Sheri Fink podzieliła swoją książkę na dwie części: „Deadly Choices” i „Reckoning”. W serialu tę pierwszą zamieniono w pięć odcinków, drugą zaś w finałowe trzy, gdzie zmienia się punkt ciężkości całej historii. Nie idzie już o drastyczny opis tego, co się wydarzyło w Memorialu, ale o ustalenie, kto i za co odpowiada. Trudnych pytań jest bardzo wiele – 45 pacjentów nie przeżyło. Dlaczego? Kto, kiedy i na jakiej podstawie podejmował decyzje o zaprzestaniu terapii, a może śmierć przyspieszał?

Ważna uwaga – to nie jest serial o eutanazji, choć ta kwestia jest przedmiotem dochodzenia, a dramatyczne wypadki, których jesteśmy świadkami, sprawiają, że nie możemy tej dysputy uniknąć. Skutki uderzenia huraganu Katrina były jednak dużo poważniejsze, zamieniając ten kataklizm w ogólnonarodową wielką amerykańską traumę, której polityczne i ekonomiczne efekty wciąż są przedmiotem badań i książek naukowych oraz publicystycznych. Nie ulega wątpliwości, że zawiedli wszyscy: władze lokalne, stanowe, federalne. Lista popełnionych błędów, lista niewłaściwych wyborów, lista źle wskazanych priorytetów, lista zaniechań – wszystkie te listy łączą się ostatecznie w jedną: listę ofiar.

CIENKA LINIA

W sercu serialu są jednak ludzie i ich wybory. Nie tylko lekarzy. Tyle o sobie wiemy, ile nas testowano; „Pięć dni w szpitalu Memorial” jest świadectwem tego, że w większości mieliśmy do czynienia z próbą o charakterze niszczącym. Wszystko to sprawia, że jest to horror apokaliptyczny, przynębiający dużo bardziej niż dzieła rozmaitych fantastów. Spójrzmy na grupę zatrzaśniętą w pułapce: nawet wśród personelu medycznego widzimy postawy bardzo różne, jedni skrupuły mają, inni szybko je tracą. Spójrzmy na cywilów i pacjentów: wielu z nich szybko dochodzi do wniosku, że trzeba zwiększyć własne

szanse na przeżycie cudzym kosztem, nieważne, że często są to ludzie całkowicie bezradni i zdani na opiekę lekarzy. Spójrzmy na ochroniarza szpitala, który w kryzysowym momencie porzuci pozostałych, choć jemu samemu żadne fizyczne niebezpieczeństwo nie grozi, po prostu pękł i wolał słyszeć za sobą okrzyki: „Tchórz! dezerter!” niż nadal stać na posterunku. Na załogę łodzi, którą ochotnicy, widząc bezradność i opieszałość sztabu kryzysowego, na własną rękę próbują ewakuować pacjentów. Czy zdecydowali by się na ryzykowną wyprawę, gdyby nie to, że jeden z nich chciał uratować własną matkę? Oczywiście nic w tym złego, działanie chwalebne. Ale co z innymi? Czy wróci po nich? Altruizm, współczucie i instynkt wspólnoty też bardzo szybko stają się ofiarami huraganu.

Warstw opowieści jest wiele, każda niewesoła. Przesłanie zaś jeszcze smutniejsze. Można winić opieszałych polityków, nieruchomości agencje federalne, właścicieli szpitala (własność prywatna), którzy doskonale wiedzą, co nie działa i jak kruche są zapasy, ale nic z tym nie robią, bo przecież obowiązująca w życiu nas wszystkich doktryna brzmi: „Nic złego wydarzyć się nie może”. Otóż może, a linia, po której stąpamy, jest wyjątkowo cienka.

Szpital Memorial to wielka metafora współczesnej cywilizacji, której symbolami są kruchość, bez troska i nieuzasadniony optymizm. Każdego dnia zakładamy się więc z losem, tyle tylko, że czasem los wygrywa, a skutki są przerażające. Nie byliśmy przygotowani na pandemię, wojnę, na huragan. Nie byliśmy – i nie jesteśmy. Nie jesteśmy także przygotowani na to, jak szybko z człowieka opada szata istoty cywilizowanej i moralnej. Gdy ktoś przestrzega, jest ignorowany lub wyszydzany jako niepoprawny czarnowidz. Pieniądże? Tyle jest innych celów, na które można je wydawać – ku uciesze wyborców. A znaków nieuchronnych katastrof nauczyliśmy się nie zauważać.

„Epidemia nie rozprzestrzeniła się jak niszczycielska fala, która zalewa wszystko, co napotka na swej drodze, lecz wnikała w łódz tysięcy wijących się strużek wody, które najpierw zraszają ziemię, by później w okamgnieniu ją zatopić”. Ten cytat z powieści „Miasto ślepców” José Saramagi nie bez powodu stał się mottem książki Sheri Fink. Za ślepotę się płaci.

Sempé z krainy poezji



Joanna Bojańczyk

Dzieci na całym świecie pokochały siedmioletniego chłopca, który w pierwszej osobie opowiada o zdarzeniach z życia domowego i szkolnego. Autor „Przygód Mikołajka” Jean-Jacques Sempé stworzył również setki rysunków, które dorośli uwielbiali tak jak dzieci Mikołajka



Już nie będę uważnie oglądać rysowanych delikatną kreską scenek z ludziami, szukając ukrytego w nich, nie zawsze widocznego na pierwszy rzut oka humoru.

Jean-Jacques Sempé zmarł 11 sierpnia w Paryżu w swoim mieszkaniu na Montparnasse. Do skończenia 90 lat brakowało mu tygodnia. Dla nas, Polaków, jest przede wszystkim autorem Mikołajka, ponadpokoleniowej, wielotomowej opowieści o francuskim chłopczyku imieniem Nicolas, jego rodzinie i kolegach. Książka obiegała świat, została przetłumaczona na 30 języków, sfilmowana. Ale dla Francuzów Sempé jest przede wszystkim autorem setek rysunków, plakatów, okładek, książek. Od 1956 r. artysta rysował je dla tygodnika „Paris Match” (coś między „Przekrojem” a „Vivą!” w lepszym wydaniu), dla Amerykanów stworzył 112 okładek tygodnika „New Yorker”.

Jego ojczyzną był Paryż. Jego miejsca: kawiarnia, mieszczański salon, nowoczesne biuro, ulica, park. Jego typy: pańcie po

pięćdziesiątce – kuleczkowate figurki na cienkich nóżkach, z wózekkami na zakupy, sekretarki w za krótkich spódnicach, kawiarniani lowelasi, znudzeni urzędnicy, starsi panowie oglądający się za nastolatkami. Scenki czasem bez słów, czasem z krótkimi komentarzami. Czyjeś myśli, zwierzenia, rozmowy, w nich ukryte ironia, uśmiech, czułość. Zabawne, nigdy złośliwe. Ten czuły obserwator ludzkich zachowań był melancholijnym optymistą i skłonny do żartów pesymistą. Filozofem, poetą. Za grosz goryczy, złośliwości. Zero wulgarności. Wieczna gotowość do zdziwienia nad głupim światem...

Każdy rysunek, nawet taki zdawałoby się machnięty bez wysiłku, to były tygodnie pracy. U tego perfekcjonisty każda z drobnutkich postaci coś wyraża. A jest ich czasem na rysunku kilkadziesiąt, nawet setki. Oto scena: ulicą idzie



Mikołajek, główny bohater serii dla dzieci, której autorami są René Goscinny i Jean-Jacques Sempé, jest znany na całym świecie. FOT. TRAX

manifestacja polityczna, tłum ludzi. Niosą transparenty: „Precz z nadużyciami!”, „Koniec z korupcją!”, „Chcemy zmiany!”. W środku tego tłumu maleńka postać z kartką na patyku i przywieszoną do niej rękawiczką. Napis: „Znalazłem rękawiczkę.”.

To cały Sempé: mały człowiek i jego mała sprawa kontra wielka polityka. „Moje kompozycje są duże, nie umiem się wyrażać w małych”. To dlatego nie interesuje go komiks – tam wszystko musi zamykać się w małym obrazku.

SMUTEK WOJNY I RODZINY

We wspomnieniu o Sempém w tygodniku „Paris Match” francuski publicysta Jean-Pierre Bouyxou pisze: „Całe życie zdawał się gonić jeden cel, który oddalał się, w miarę jak się przybliżał: odnaleźć związek z niewinnością dzieciństwa. Dzieciństwa, które – jak sam twierdził – zostało mu ukradzione, ale za którym zachował paradoksalną nostalgię.

„Miałem okropne, niegodne dzieciństwo i młodość. Nie jestem z tego zadowolony. To mnie naznaczyło. Mam do siebie pretensję, że aż tak bardzo mnie naznaczyło. Nigdy nie pozbywamy się dzieciństwa – mówił rysownik. – Próbuje je zagospodarować, ośwoić, uporządkować, trochę upiększyć. Ale to się nigdy nie udaje”.

Urodził się w roku 1932. W miasteczku Pessac, niedaleko Bordeaux mały chłopiec oglądał parady niemieckich wojsk i słyszał bombardowania. Ale jego smutek brał się nie tylko z wojny. Rodzina była rozbita: partner matki, komiwojażer, pił i wieczorem w domu robił awantury. „Całe dzieciństwo słyszałem, jak matka krzyczała na ojca, że za mało zarabia. U nas ciągle były kłótnie, bójkę, dług, brak pieniędzy, pospieszne przeprowadzki. Matka nie była zła, ale na czułości nie miała czasu”. Jedyne przyjemne chwile miał Jean-Jacques na koloniach, gdzie wysyłano go, żeby się go pozbyć.

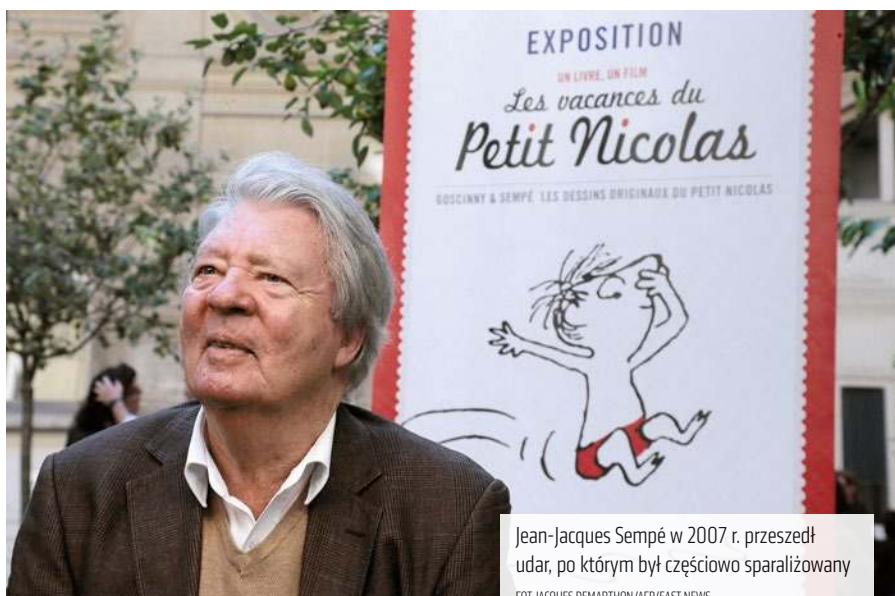
Po 70 latach wspominał: „Jako 14-latek zatrudniłem się u handlarza win. Przemierzałem Bordeaux na rowerze, dostarczając posegregowane próbki do laboratorium enologicznego. Ale przewróciłem się i w torbie wszystko się pomieszało. Więc ułożyłem buteleczki, jak umiałem, nic nikomu nie mówiąc. I nikt się nie połapał”.

Od kiedy skończył 12 lat, rysował cały czas. Najpierw dla siebie, ale w roku 1950 odważył się i zaniósł swój rysunek do największej bordskiej gazety „Sud Ouest”. Redaktorzy kupili od razu kilka do niedzielnego wydania. Najpierw autor podpisywał się DRO od angielskiego „to draw” – rysować, od roku 1951 publikował pod własnym nazwiskiem – Sempé. Tylko Sempé, bez imienia.

POCZĄTEK MIKOŁAJKA

W roku 1954 spotyka kogoś, kto ma odegrać ważną rolę w jego życiu i zostaje wielkim przyjacielem. To starszy o sześć lat René Goscinny. Współpracują przy historyjkach dla belgijskiego pisemka „Le Moustique” („Komar”). Bohaterem 28 opowiadań rysunkowo-tekstowych jest chłopiec o imieniu Nicolas. Współpraca z gazetą kończy się nieoczekiwanie, gdy Goscinny pokłóci się z wydawcą. Sempé solidarnie odchodzi razem z przyjacielem.

Ta niefortunnie zakończona sprawa daje jednak początek dużo większej. Sempé przypomina sobie, że pomysł tych opowiadań miał już parę lat wcześniej, na początku współpracy z „Sud Ouest”. Obaj z przyjacielem postanawiają do niego wrócić i razem zabierają się do roboty. Przez



Jean-Jacques Sempé w 2007 r. przeszedł udar, po którym był częściowo sparaliżowany
FOT. JACQUES DEMARTHON/AFP/EAST NEWS

10 lat powstaną 222 odcinki Mikołajka. Narrator, siedmioletni chłopiec, który w pierwszej osobie opowiada o zdarzeniach z życia domowego i szkolnego, staje się międzynarodowym bohaterem dziecięcej wyobraźni. Jego dom, szkoła, rodzina, ubranie, zajęcia tworzą dokładny i ciepły obraz francuskiej rzeczywistości końca lat 50. Rysunki Sempégo i tekst Goscinnego uzupełniają się, dając wrażenie, że jedno nie mogłoby istnieć bez drugich. Choć od pierwszych wydań minęło 60 lat, a scenaria życia się zmieniła, Mikołajki się nie zestarzały, są uniwersalne.

Te opowiadania to dla autorów sukces planetarny. Sempégo zaczynają sobie wrywać najważniejsze francuskie tygodniki i gazety: „L'Express”, „Le Nouvel Observateur”, „Paris Match”. Z zagranicy otrzymuje propozycję współpracy z „Punchem” i „Esquire'em”.

Ale jemu się nie spieszy. Nad każdym rysunkiem ten perfekcjonista pracuje tygodniami, czasem miesiącami. Czasem rozpoczęty szkic leży w szufladzie, zanim autor znajdzie pomysł zakończenia go pointą, dialogiem. Jego zmysł obserwacji jest niedościgniony.

W roku 1978, kilka miesięcy po śmierci Goscinnego, Sempé otrzymuje propozycję z amerykańskiego tygodnika „New Yorker”. Chodzi o rysunek na okładkę – „New Yorker” zamieszcza na okładce tylko rysunki, i to wyłącznie najlepszych autorów. Zrobić tam okładkę to wyróżnienie i solidne honorarium. Początek amerykańskiej przygody.

Jean-Jacques nie zna słowa po angielsku, ale jedzie do Ameryki. Ulice Manhattanu przemierza rowerem. Nigdy niczego nie fotografuje, nie robi szkiców przygotowywanych. Na jego rysunkach obiekty wyglądają tak, jak je zapamiętał.

W ciągu paru lat powstaje prawie 40 książek Sempégo. Od wydanego w 1962 r. „Rien n'est simple” („Nic nie jest proste”) aż do „Garder le cap” („Skupić się”) w roku 2020. Ale życie nie rozpieszcza rysownika. W 2007 r. przechodzi udar, po którym jest częściowo sparaliżowany. Odmawiając posłuszeństwa nogi, na szczęście prawa ręka, najważniejsze narzędzie pracy, pozostała sprawna. Jednak trzeba zrezygnować z ulubionych wędrówek po kawiarniach i piwiarniach Montparnasse. „Byłem wściekły, pokłóciłem się z Górą – mówił Jean-Jacques. – W którą zresztą nie wierzę, ale nigdy nic nie wiadomo”.

W 2020 r. w wieku 64 lat umiera jego syn z pierwszego małżeństwa o imieniu – jakże by inaczej – Nicolas. Sempé jest coraz bardziej samotny. Po kolei odchodzą przyjaciele: Goscinny, Jacques Tati, Michel Legrand, Wolinski (inny rysownik „Paris Matcha”). W mieszkaniu na Montparnasse bywają już tylko opiekunki i gosposie. Ale artysta nie przestaje pracować. Dwa razy w miesiącu dostarcza rysunek dla „Paris Match”.

Te rysunki, od których zaczynałam lekturę tygodnika, od jakiegoś czasu stawały się coraz bardziej melancholijne. Ich bohaterowie to już nie weseli bywalcy kawiarni czy towarzystwo w salonach XVI dzielnicy. To starzy ludzie i czuje się, że autorem także jest stary człowiek. Samotne postacie, ich długie, zbyt długie dialogi, czasem niezrozumiałe monologi. Choroba, oddalanie się od młodego życia, od świata...

Sempé zmarł w swoim domu letniskowym w Draguignan w południowej Francji. Nie zdążył nauczyć się gry na fortepianie ani w tenisa, o czym marzył.



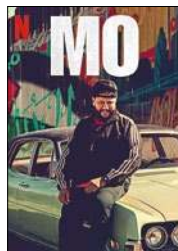
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

W Houston mamy problem



★★★★★
SEZON 1
„MO” („MO”)
USA 2022

wyst. Mo Amer,
Farah Bsieso, Teresa
Ruiz

Spora rzadkość w bibliotece Netflix: słodko-gorzki serial o normalnych ludziach z normalnymi problemami, w dodatku świetnie napisany i fenomenalnie zagrany. Stworzył go popularny amerykański komik Mo Amer, Palestyńczyk, który spędził dzieciństwo w Kuwejcie, a w roku 1991 wyemigrował z całą rodziną do Ameryki. Ponad 20 lat czekał na przyznanie azylu, wiódł przez długie lata żywot bezpaństwowca pozbawionego paszportu. W szkole Latynosi myśleli, że jest bardzo jasnym Murzynem, a Murzyni – że jest umiarkowanym nietypowym Latynosem. Pozostali podejrzewali, że może być arabskim terrorystą.

Tragikomiczne przeżycia muzułmanina zafascynowanego popkulturą, który stara się zachować własną tożsamość, a zarazem wtopić w nowe społeczeństwo, stały się podstawą odcinkowej opowieści, w której kłopot goni kłopot. Mo nie może legalnie pracować, sprzedaje więc podrabiane adidasy i torebki. Nie ma ubezpieczenia medycznego, więc postrzelony w supermarkecie zamiast do szpitala wędruje do szemranego właściciela salonu tatuażu, który po znajomości go zsyje. Prawniczka od prawa azylowego ma jego rodzinę w nosie, brat jest osobnikiem o mocno dysfunkcyjnej osobowości, a dziewczyna Mo to zagorzała katoliczka, Meksykanka,

która nawet zaciągnie go do spowiedzi w prawdziwym kościele.

Nieszczesny Mo rozdarty jest między obowiązkami wobec rodziny, religii i tradycji a wymogami współczesnego świata Zachodu, w którym łatwo się zakochał, bo uwielbia hip-hop, telefony komórkowe i w ogóle american way of life. Przede wszystkim reprezentuje jednak typ pechowca, który doskonale sprawdza się w komedii – zawsze chce dobrze, lecz zwykle przynosi to nieoczekiwane skutki. Ma też rys tragiczny, dręczy go poczucie winy wobec ojca, który poświęcił wszystko, by rodzina dostała nowe życie w nowym miejscu. Jak sprostać temu wszystkiemu, kiedy jest się już nawet nie obywatelem drugiej kategorii, ale po prostu bez kategorii? Zarówno realia, jak i emocje są tu bardzo prawdziwe, nic więc dziwnego, że szykuje się drugi sezon. A kto ciekaw jest komediowego stylu Mo Amera (który występował m.in. u boku Dave'a Chappelle'a), ten powinien obejrzeć jego stand-up nagrany dla Netflix'a „Mo Amer: Mohammed in Texas”. ©©



NOWE SERIALE: „MECENAS SHE-HULK”

Kilka kropel krwi sprawia, że krewna Hulka (to ten wielki, zielony z uniwersum Marvela) zyskuje jego moce. Pani mecenas nie zamierza jednak porzucać wymarzonego zawodu. Będzie dalej praktykować prawo, ale w korporacji, która otworzyła właśnie wydział obsługi prawnej dla superherosów (i superfotów). Pomysłcie: komiksowa

rozrywka, w której najważniejsze są nie ciosy wyprowadzane w ulicznej bijatyce, ale na sali sądowej. Zabawne to połączenie, i taki też jest nowy serial Disneya, mocno przy tym przesycony wątkami feministycznymi. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Mecenas She-Hulk”,
USA 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 6 „Rick i Morty”
 („Rick and Morty”), USA 2022



• reż. Robert Zemeckis
„Pinokio” („Pinocchio”),
USA 2022



• sezon 3 „Szadź”, Polska 2022



Nasza apokalipsa



„A więc wojna! Dziś wszystkie zagadnienia schodzą na plan dalszy” – usłyszeli rankiem 1 września posiadacze radioodbiorników. O zaskoczeniu nie mogło być mowy, od śmierci Piłsudskiego nawet dzieci wiedziały, że nad Polską zbierają się coraz ciemniejsze chmury. Pokusie zderzenia sielanki II RP z wojenno-okupacyjnym horrorem ulegli jednak prawie wszyscy. Dokument zaczyna się więc od występu chóru Juranda i passeggiaty eleganckiego towarzystwa na tle kolumnady Pałacu Saskiego w Warszawie. Ostatnie beztraskie wakacje wspominają ludzie, którzy w 1939 r. mieli kilka lub kilkanaście lat. Są wśród nich ludzie kina: Jerzy Hoffman, Janusz Majewski i Andrzej Mularczyk.



★★★★★
REŻ. GRZEGORZ CZERNIAK
„A WIĘC WOJNA! NIEZAPOMNIANE KADRY. OPOWIEŚĆ O CZASIE POKOJU I WOJNY”
POLSKA 2019

Dla nich było to pożegnanie z dzieciństwem, dla rodziców – apokalipsa połączona z utratą dorobku całego życia. Propagandowe zaklęcia („Mamy najlepszą konnicę świata!”) nie powstrzymały czołgów i samolotów Hitlera. Cywilom pozostała ucieczka na Wschód, prosto w objęcia Armii Czerwonej. Sceny z niemieckiego filmu „Feldzug in Polen” pokazują krajobraz po klęsce: spalone domy i wykołone pociągi, leje po bombach, trupy ludzi, koni i wojskowy złom zbite w jedną masę, drogi pełne porzuconych pojazdów oraz wspólną defiladę okupantów w Brześciu Litewskim. Od pół roku podobne obrazki pokazują w telewizji, tyle że w kolorze. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZIMA BEZ KOŃCA

KINO

Agata Buzek zwykle jest o klasę lepsza niż filmy, w których występuje. „Iluzja” podtrzymuje tę świecą tradycję. Nauczycielka, której córka zaginęła w tajemniczych okolicznościach, to rola w sam raz dla byłej premierówny. Jej twarz wyraża całą gamę emocji: od bezdennej rozpacz do totalnego zagubienia. Policja skłania się do umorzenia śledztwa, mąż też chciałby się już poddać i zacząć życie od nowa. Hanna wręcz przeciwnie: czepia się nadziei, gotowa podążać za najbardziej irracjonalnym tropem. Konsultacje z jasnowidzami, co prawda, mogłyby sobie darować, bo sama też ma dziwne wizje. Film, po skandynawsku mroczny, nie zachęca do zimowych wypraw nad Bałtyk i do Trójmiasta. Podgatunek „zdesperowany rodzic za-wstydzą zawodowego detektywa” zrodził dzieła bardziej żwawe tudzież frapujące w formie i treści, jednak rzadko zdarza się widzieć aktorstwo tak intensywne jak w przypadku „Iluzji”. ©©



wyst. Agata Buzek, Marcin Czarnik, Karol Bernacki

★★★★★
REŻ. MARTA MIROWICZ
„ILUZJA”
POLSKA 2022

LESZCZE I REKINY

HD max

Fama, że wszystko, czego Ricky Gervais dotknie, zamienia się w złoto (a raczej Złoty Glob), straciła na aktualności. Gdy kręcił „Statystów” był jednak w najwyższej formie. Na pierwszy rzut oka ów serial wydaje się typowym insiderskim projektem, satyrą na branżę telewizyjno-filmową. Szydzi się tu zarówno z grubych ryb, jak i z aktorskiego proletariatu, którego wkład w finalny kształt dzieła zazwyczaj ogranicza się do jednej sceny i linii tekstu. Bohaterowie wszelkimi sposobami próbują wkuć się w łaski reżyserów i producentów, ale finał jest zawsze taki sam: kompromitacja. Nawet wymarzony sukces zamienia się w pasmo upokorzeń. Brytyjskie gwiazdy (Kate Winslet, Orlando Bloom, Ian McKellen et consortes) bawią się w „Statystach” swym publicznym wizerunkiem. Nam pozostaje podziwiać sprawność wyspiarzy w ucłowieczaniu na ekranie – dużym i małym – najbardziej żalosnych kreatur. ©©



wyst. Ricky Gervais, Ashley Jensen, Stephen Merchant

★★★★★
REŻ. RICKY GERVAIS, STEPHEN MERCHANT
„STATYSTY” („EXTRAS”)
UK/USA
2005–2007

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „MARVEL'S SPIDER-MAN REMASTERED”

Kolejna ekskluzywna dla PlayStation gra, której zazdrościli posiadaczom konsoli od Sony gracze pecetowi i ci z teamu zielonych, trafia na PC. Trochę przyszło nam poczekać, na PS4 „Spider-Man” wyszedł w 2018 r. Czy dziś remaster tego tytułu bawi równie dobrze? A jakże! Już samo przemiesz-

czanie się człowiekiem pajakiem po mieście daje niesamowitą frajdę, dużo większą nawet niż spuszczenie łomotu przeciwnikom. Wyczuleni na graficzne fajerwerki pewnie będą lekko grymasić na niedociągnięcia w detalach, ale frajdy z przemierzania Nowego Jorku nad głowami



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przechodniów niedociągnięcia te nie pomniejszają. Frajdy, którą wyceniono na 259 zł. ©© *Radosław Wojtas*

• **Gatunek:** Akcja
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Insomniac Games, Nixxes Software; PlayStation PC LLC

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Katalońscy „Nędznicy”

Byłaby to jeszcze jedna, podobna do tysięcy, książka sensacyjno-kryminalna z wyrazistą postacią śledczego, wbrew wszelkim przeciwnościom, uparcie szukającego winnych popełnienia makabrycznej zbrodni, gdyby nie sprzężenie wszystkiego właściwie, co dzieje się w „Terra Alta” Cercasa, ze sławną powieścią Wiktora Hugo „Nędznicy”.

To w wyniku lektury „Nędzników” właśnie bohater powieści postanowił zostać policjantem, choć nic tego nie zapowiadało. Przeciwnie, do książki zajął w więzieniu, w którym odbywał karę za działalność w gangu narkotykowym. To tam skazany na dożywocie więzień zwany Francuzem zaraził go pasją czytania, przy okazji zauważając, że XIX-wieczne powieści są najlepsze, a wszystkie inne, napisane później, niewarte są uwagi. Melchior – bo tak ma na imię bohater powieści „Terra Alta” – poszerzył wprowadzić po latach krąg swych czytelniczych zainteresowań, a to o Camusa, a to znów o Pasternaka, twierdził jednak, że spośród utworów napisanych w XX w. najlepsze są te przypominające dzieła powstałe 100 lat wcześniej. I tam, w więzieniu Quatre Camins nieopodal Barcelony, dowiedział się, że „połowę książki wnosi pisarz, a połowę wnosisz ty”.

Uczuciem do powieści Wiktora Hugo zaraził partnerkę, swoją późniejszą żonę, która uległa jej czarowi, choć broniła się, jak długo mogła: „Jest sentymentalna, melodramatyczna, moralizatorska – wyliczała. – W sumie jest wszystkim tym, czego nie znoś. Ale nie mogłam przestać czytać. Na tym polega jej dziwność. Na tym, że bardziej niż powieści, które mi się podobają, przypomina rzeczywistość, która mi się nie podoba”.



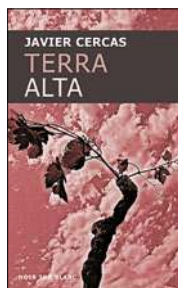
FOT. LEONARDO CENDAMO/GETTY IMAGES

W efekcie rozmawiali bez końca o Janie Valjeanie i jego wcieleniach – panu Madeleine i Fauchelevenie, o Fantynie i Kozecie, Mariuszu i Gavroche’u. I oczywiście o inspektorze Javercie, bo to on – już przy pierwszej lekturze „Nędzników” – najbardziej zafascynował Melchiora. Z Jeanem Valjeanem identyfikował się, odczuwał jego cierpienie, podzielał nienawiść, ale to, co poczuł do powieściowego inspektora, „okazało się czymś znacznie bardziej złożonym i subtelnym. [...] Javert był w powieści czarnym charakterem; autor starał się, by wzbudził obrzydzenie u czytelnika przez swą niewzruszoną, antypatyczną osobowość, skrajną praworządność i momentami wręcz diaboliczny fanatyzm. Było to oczywiste. Ale Melchior wiedział również, być może wbrew intencjom autora, że Javert ma też inne oblicze, i czuł, że w jego kurczowym trzymaniu się norm, w jego nieprzejednanej chęci zwalczania zła i przestrzegania prawa kryją się kryształowa wspaniałość

i czystość, idealistyczne, rycerskie zamiary, by chronić tych, którzy pozbawieni są ochrony, a mogą liczyć tylko na wymiar sprawiedliwości, pełne heroizmu przekonanie, że ktoś musi poświęcić swoją reputację i osobisty dobrobyt w imię dobrobytu powszechnego”.

Akcja powieści dzieje się w regionie znajdującym się zaledwie dwie i pół godziny jazdy samochodem od Barcelony, na południowych obrzeżach Katalonii przy granicy z Aragonią. To właśnie Terra Alta, gdzie ludzie wciąż żyją wspomnieniem bitwy nad Ebro, najbardziej krwawej w całej hiszpańskiej wojnie domowej, która sprawiła, że ta ziemia stała się jeszcze czarniejsza, jeszcze bardziej jałowa, niż była przedtem. To tam trafia Melchior, niejako zesłany z Barcelony, gdzie wstąpił się, powstrzymując atak czterech islamskich terrorystów, zabijając ich wszystkich. Powtarzał potem sobie, cytując Hugo, zdanie o człowieku, który czynił dobro kulami. W nowym miejscu, które miało zapewnić mu bezpieczeństwo, przekonał się, że była to złudna nadzieja, a i wywiedzione z literatury zasady nie wytrzymały prób najcięższych z możliwych.

Autor powieści „Terra Alta” jest już w Polsce nieźle znany. Oficyna Noir sur Blanc zdążyła wcześniej wydać cztery jego książki, włącznie z „Żołnierzami spod Salaminy”, za sprawą których ten mieszkający w Katalonii hiszpański pisarz zdobył uznanie krytyki i popularność wśród czytelników. A „Terra Alta” uhonorowana została Premią Planeta w 2019 r. I, jak to zwykle bywa, taki sukces musiał zaowocować nieuchronnym ciągiem dalszym. W przyszłym roku ukaże się polski przekład „Independencia: Terra Alta 2”. Będzie co czytać. A na razie próbuję przypomnieć sobie „Les Misérables”. To wielka literatura. ©©



★★★★★
JAVIER CERCAS
„TERRA ALTA”
NOIR SUR BLANC,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Baśń straszliwa

Najlepsze są zmyślenia, które wydarzyły się naprawdę. Estońska pisarka wysnuła powieść „Mała towarzyszka i dorośli” z własnych wspomnień. Zamiast jednak śmiertelnie serio przypominać „to widziałam”, „tamto mnie poruszyło”, zdecydowała się na ożywczy zabieg, który opowieść o ponurych latach komunizmu przesunął w kierunku czegoś w rodzaju „Dzieci z Bullerbyn” w świecie komunizmu.

Narratorka, kilkuletnia Leelo, postrzega świat z bezbrzeżną dziecięcą ufnością, przyjmując wszystko, co słyszy za dobrą monetę. A że akcja powieści rozgrywa się w okupowanej przez Sowietów Estonii (w dodatku w najcięższych latach 40. i 50. XX w.), opowiada o tym, że będzie doskonałą komunistką oraz układa wesołe wierszyki. „Enkawude po lesie, po lesie, po lesie. Ja się pytam, co niesie, co niesie, hej!” da się ładnie zaśpiewać na melodię „W lesie zielonym” – informuje nas na przykład.

Taka jest potęga niewinności. Bo przecież do śmiechu nikomu być nie powinno, ludzie znikali – wywożeni, mordowani, zamykani w więzieniach. Rodzina małej Leelo osuwała się w biedę, tracąc po kolei wszystko, na co pracowała przez lata. Leelo nie

rozumie słów „aresztować”, „amnestia”, „enkawude”, więc używa ich w taki sposób, w jaki sama wymyśli.

Efekt jest niezwykły. Powieść Tungal jest zarazem wstrząsająca i ponura, wskrzeszając czasy, gdy Sowietci zamieniali okupowane kraje w nieludzką ziemię. A zarazem przezbawna, wzruszająca i słodka, gdy czytamy o rodzinnych perypetiach i przygodach Leelo, gdy wchodzimy w jej świat i przyjmujemy jej styl myślenia oraz narracji. Do krainy, gdzie wszystko jest jednak prawdziwe: opowieści ojca i innych członków rodziny o złych rzeczach dziejących się na świecie oraz radiowe piosenki, które raz „opowiadały o tym, co piękne: o jaskółkach i ich wiosennym locie, o młodym strażniku granicznym, który pił wodę ze studni, o Sewastopolu, gdzie marynarze tańczą walca”, a innym razem były to „piękne i smutne

utwory sławiące Lenina, który brał dzieci na kolana, oraz Stalina, o którym drwale przy ognisku śpiewali precudne pieśni”.

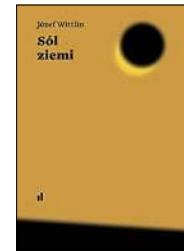
„Kim jesteśmy my, to wiedziałam, ale kim są ci oni, trudno mi było wówczas zrozumieć” – mówi nam Leelo. „Nie wiem, czy nawet oni, ci dorośli, to rozumieli!”. Niestety, niektórzy nie rozumieją do dziś. ©©



★★★★★
LEELO TUNGAL
„MAŁA
TOWARZYSZKA
I DOROŚLI”
KOLEGIUM
EUROPY
WSCHODNIEJ
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niedokończone arcydzieło; wydana w roku 1935 powieść miała otwierać trylogię „Powieść o cierpliwym piechurze”. Przełożona na wiele języków, w PRL długo zakazana. Edycja z obszernym wstępem Bogusława Bakuty.



JÓZEF WITTLIN
„SÓL ZIEMI”
INSTYTUT
LITERATURY

Klasyki nigdy za wiele, zwłaszcza takiej – kolejny nowy przekład słynnej powieści Orwella. Tłumaczenie: Maja Justyna, książka ukazuje się w serii „Wehikuł Czasu”, przypominającej ważne dokonania literatury fantastycznej.



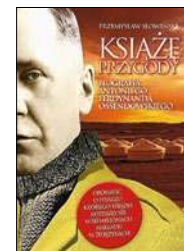
GEORGE ORWELL
„FOLWARK
ZWIERZĘCY”
REBIS

Dwutomowa historia rodu Targaryenów, czyli podstawa serialu „Ród Smoka”, czyli powrót do krainy Westeros, gdzie nieustannie trwa gra o tron, a na niebie panują smoki. Jak na podręcznik historii fikcyjnej – zajmująca lektura.



GEORGE R.R. MARTIN
„OGIEŃ I KREW”
ZYSK I S-KA

Barwna biografia legendy polskiej literatury popularnej, autora niemal 80 książek, w tym słynnej (i nienawidzonej przez komunistów) biografii Lenina czy wspomnień z czasu wojacki u boku adm. Koczała i barona Ungerna. ©©



PRZEMYSŁAW
SŁOWIŃSKI
„KSIĄŻĘ
PRZYGODY”
FRONDA

Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„C'IXI Z TROY”

Seria „Lanfeust z Troy” była jednym z największych przebojów francuskiego komiksu fantasy, nic więc dziwnego, że błyskawicznie doczekała się licznych kontynuacji. Znamy je wszystkie także z polskiego rynku: „Lanfeust w kosmosie”, „Odyseja Lanfeusta”, „Trolle z Troy”. Teraz przyszedł czas na zbiorcze wydanie trzech tomów opowieści o C'ixi z Troy, nieustraszonej wojownicze,



ARLESTON,
VATINE, FLOCH
„C'IXI Z TROY”
EGMONT 2022

której przeszłość kryje wiele tajemnic. W końcu nie zawsze była tak nieustraszona, a szczerze mówiąc, raczej mocno irytująca. Humor, przygoda i fantazja – tak jak w poprzednich odsłonach cyklu. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kobiety na plakaty

Zliczających ok. 2 tys. plakatów będących w zbiorach Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości wybrano 21. Wszystkie pochodzą z lat 1949–1956 i pokazują, w jaki sposób w okresie socrealizmu władze PRL wykorzystywały sztukę w celach propagandowych.

Bohaterkami wystawy czasowej „Sztuka w służbie ideologii. Wizerunek kobiety w plakacie socrealistycznym

PRL-u”, jak wskazuje sam jej tytuł, są właśnie kobiety. Prezentowane na propagandowych plakatach w różnych rolach: kobieta „równouprawniona”, „pracująca”, „zaangażowana”, no i oczywiście w roli, w której występowała najczęściej – matki.

Wystawę oglądać można w Galerii Plakatu z Okresu Socjalizmu przy ul. Słupskiej 62. Mieści się ona w będącej dziś pod opieką Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości willi, która powstała jako budynek maskujący wybudowany w latach 50. Przeciwnymu Schron dla Władz Miasta Poznania. Wystawę muzeum zorganizowało we współpracy z Uniwersytetem Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz. ©©

GDZIE? Poznań, Galeria Plakatu z Okresu Socjalizmu

KIEDY? do 23 października



FOT. WIELKOPOLSKIE MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI



FOT. MUZEUM SPORTU I TURYSTYKI

POLSKIE MUNDIALE

Nowa ekspozycja stała w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie poświęcona jest występom Polaków w finałach siatkarskich mistrzostw świata. Białe-czerwone koszulki, puchary, medale i inne eksponaty pochodzą ze zbiorów MSiT oraz Siatkarskiego Muzeum Volley Bajka. Pomysł na utworzenie ekspozycji zrodził się, gdy odebrano Rosji, która miała być w tym roku gospodarzem mistrzostw świata, prawo do organizowania imprezy, a Polska została jednym z państw gospodarzy. ©©

GDZIE? Warszawa, Muzeum Sportu i Turystyki

KIEDY? ekspozycja stała



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Spełnione życzenie

Bogini natchnionych wokaliz wróciła do współpracy z pochodzącym z Los Angeles kompozytorem i producentem nagrań Marcello De Francisci. Dwanaście lat temu nagrali wspólnie album „Departum”. Później współpracowali przy muzyce do filmów „Samsara” i „Niepokonana Jane”.

Termin łaciński „Exaudia” oznacza spełnienie przez monarchę życzenia obywatela jego królestwa, które ten składa podczas audencji. Album ten jest zaś muzyczną opowieścią o życzeniu, które spowodowało wydalenie w XVI-wiecznej Hiszpanii sefardyjskich Żydów.

To bardzo filmowy album. De Francisci przy komponowaniu muzyki, jak sam przyznaje, inspirował się ścieżką dźwiękową Hansa

Zimmera do „Incepcji”. „Chciałem uzyskać ciemniejszą i bardziej mroczną wersję” – tłumaczy Marcello. Tymczasem otwierająca album żałobna kompozycja „When the Light of Morning Comes” zdecydowanie wyraźniej nawiązuje do muzyki z „Blade Runnera” Vangelisa. Natomiast finałowy „Stay with Me” posiada charakterystyczny monumentalizm Zimmera. Utwór rozpoczyna się od wzniosłego, choć stonowanego śpiewu Gerrard na tle folkowej melodii. Kompozycja stopniowo przeradza się w arię. Dołączają smyczki, chór, a na koniec rozbrzmiewa perkusyjne szaleństwo. Zawarty na albumie oszałamiający pejzaż dźwiękowy doskonale pasuje do Lisy Gerrard. Są w jej śpiewie zarówno gotycki patos, jak i kobieca, poetycka ekspresja. ©©



★★★★★
LISA GERRARD/
MARCELLO
DE FRANCISCI
„EXAUDIA”
ATLANTIC CURVE



★★★★★
MARCUS KING
„YOUNG BLOOD”
AMERICAN
RECORDINGS

Marcus King z producentem Danem Auerbachem (Black Keys) postawili na wyrazisty blues-rockowy przekaz. Ciężkie, szufowane gitary doskonale współgrają z ostrym wokalem Kinga. Utwory trwają ok. 4 min, melodie wpadają w ucho, a zmiany brzmień z utworu na utwór nadają płycie rozmach.



★★★★★
MUSE
„WILL OF THE
PEOPLE”
WARNER

Kiedy rzeczywistość jest straszniejsza od gwiazdnych zagrożeń, zespół zmienił tematykę piosenek. Mimo to brzmią one jak stare. Mammy glamrockowy utwór tytułowy, „queenowate”, „Liberation”, rozdzierającą balladę i w finale nawiązanie do największych hitów zespołu. Nowe, a znane. ©©



Krzysztof Masłoń

Tęczą nad nami



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Doda szuka miłości, rolnicy żon, a tęczowe dzieci mają żal

Lato, lato, już po lecie, a zatem ze szklanego ekranu powiało nowym. Polsat, na ten przykład, od pewnego już czasu sygnalizujący wzbierającą w nim odwagę, do „Tańca z gwiazdami” zaangażował nawet parę jedнопłciową w składzie Jacek Jelonek i Michael Danilczuk. Po występie, który wzbudził entuzjazm Andrzeja Piasecznego, Danilczuk – dansior o światowym imieniu i nazwisku najbardziej popularnym na Podlasiu – orzekł, że „świetnie się bawiliśmy, wyglądało to smacznie i apetycznie”. Wprawdzie lepiej byłoby, gdyby ten popis tanecznego duetu pływającego w rytm jive’a od strony smakowej ocenił raczej Mateusz Gessler, nowy szef Polsatowego „Hell’s Kitchen”, ale nie wątpię, że i on pozytywnie odniósłby się także do tej, jakże postępowej inicjatywy telewizji z ulicy Ostrobramskiej.

Należy wierzyć, że podobnych działań będzie w rozpoczętym sezonie telewizyjnym więcej, taka jest bowiem potrzeba chwili. W dramatycznie brzmiących słowach ujął to, odbierając Medal Wolności Słowa nadany mu przez fundację Grand Press, TVN-owski dziennikarz Piotr Jacoń: „Nasze dzieci na co dzień – powiedział – muszą mieć bardzo dużo odwagi, żeby w ogóle w tym kraju żyć”. Rozwijając myśl, zaapelował o uprąwomocnienie małżeństw jedнопłciowych i umożliwienie takim parom adopcji dzieci. Rozumiem, że takim zaadoptowanym tęczowym dzieciom niepotrzebna już będzie odwa-

ga, by żyć „w tym kraju”. Tak ze 40 lat temu młódź tegoż kraju, który – przypomnę – nazywa się Polska, śpiewała wraz z zespołem Turbo przebój „Dorośle dzieci”. Po niewielkiej modyfikacji tekstu brzmiałby on dzisiaj tak: „Tęczowe dzieci mają żal za kiepski przepis na ten świat. / Tęczowe dzieci mają żal, że ktoś im tyle z życia skradł”.

Z innych, mniej może spektakularnych, ale z pewnością godnych zauważenia w tym miejscu nowych propozycji Polsatu na uznanie zasługuje odkurzenie niegdysiejszej skandalistki Doroty Rabczewskiej, zwanej Dodą, w „12 krokach do miłości”. W programie tym poszukuje ona nie męża – tradycyjne małżeństwo pozostawiając rolnikom, którzy poprzez telewizję publiczną szukają żon – ale najpraw-

dziwszej miłości. Tej, której nie znalazła wcześniej w swoich związkach, przeprowadza więc teraz casting na partnera na całe życie. O dziwo, okazuje się, że nie brakuje desperatów decydujących się na przystąpienie do takiej rywalizacji. Z wymagań postawionych przez Dodę kandydatom najbardziej spodobano mi się żądanie zaprezentowania zadbanego ubioru. Nie sprecyzowano tylko, czy implanty są dozwolone, a nawet pożądane, czy wręcz przeciwnie. Telewidzowie mają nad czym myśleć.

Ciekawe, że światopoglądy – zdawałoby się tak istotne w naszej podzielonej politycznej rzeczywistości – nie odgrywają w preferencjach Dody większej roli. Co prawda, wszyscy pamiętamy z filmu „Długi weekend” związek wojskowego kapelmistrza o PRL-owskim rodowo-

dzie z aktywistką Solidarności, ale to jednak była komedia, do tego jeszcze nakręcona przez Roberta Glińskiego w 2004 r., a więc w innej epoce. Jeśli już szukającą partnera Dodę interesuje w przedstawianych jej osobnikach cokolwiek innego poza zębami, to stan konta. I to mi się nawet podoba, bo szczerości w naszym życiu publicznym nigdy za wiele.

Jak już choćby z tych dostrzeżonych nowości wynika, telewizje wprowadzają nowe, bazując na starym, wypróbowanym i sprawdzonym. To dlatego na Woronicza celebrowano jubileusz „Pytania na śniadanie” niczym obchodzone też całkiem niedawno Święto Wojska Polskiego (widzowie prezenterów telewizji śniadaniowej kochają tak samo jak naród swoich obrońców), w Polsce o tym, że „Twoja twarz brzmi znajomo” wciąż zapewnia, skądinąd znajomy aż za bardzo, Michał Wiśniewski, a w TVN o tytuł MasterChefa walczy kobieta wszystkich możliwych talentów, czyli Anna Mucha.

Telewizja z ul. Wiertniczej nie wykorzystuje jednak, na co nieśmiało zwracam uwagę, talentów takiej potencjalnej gwiazdy mediów, jaką mógłby stać się Igor Tuleya, prawdziwy człowiek orkiestra, nieprzypadkowo uhonorowany Medalem Wolności Słowa właśnie w kategorii Instytucja. Czyż nie powinien on poprowadzić paradokumentalnego serialu pod nazwą „Sędzia Igor Zygmunt Tuleya” w miejsce opatrzonego już formatu o sędzinie Wesołowskiej? Przy tej sposobności wypuszczając serię celnych uderzeń w zniechęcony system paraliżujący w Polsce każdą wolną myśl? Nie zapomnijmy o proroczkach klasyków: „Nadejdzie jednak dzień zapłaty, / Sędziami wówczas będziemy my!”. Polska transseksualna, Polska tęczowa jest już na wyciągnięcie ręki. Chyba się popłaczę. ©©

RYSZARD GROMADZKI: Z sondażu Ogólnorosyjskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej wynika, że w sierpniu 75 proc. Rosjan popierało wojnę na Ukrainie, to o 10 punktów procentowych więcej, niż wskazywał wiosenny sondaż na ten temat. Rzeczywiście tak wielu zwykłym Rosjanom podoba się najazd na Ukrainę?

PIOTR SKWIECIŃSKI: Ten sondaż nie oddaje na pewno nastrojów społecznych w Rosji. W mojej ocenie grupa Rosjan popierająca bez zastrzeżeń wojnę na Ukrainie jest znacznie mniejsza, niż wykazują sondaże. Natomiast wśród tych, którzy udzielili twierdzącej opinii w tym badaniu, przeważają – jak sądzę – osoby, które nie mają emocjonalnego stosunku do tego, co się dzieje na Ukrainie. Popierają agresję, bo nie chcą się wychylać. Opuściłem Moskwę wraz z innymi polskimi dyplomatami w połowie kwietnia, a więc półtora miesiąca po rozpoczęciu wojny na Ukrainie. Nie zauważyłem w Moskwie większego entuzjazmu dla tej wojny. Dość powiedzieć, że po 24 lutego widziałem tylko jeden samochód z wyeksponowaną charakterystyczną „zetką”.

To zupełnie inna sytuacja od tej, która miała miejsce wiosną 2014 r., kiedy rosyjskie wojska zajęły Krym i wkroczyły do Donbasu. Wtedy można było zaobserwować coś w rodzaju patriotycznego uniesienia, przejawiającego się w manifestacjach, akcjach społecznych, noszeniu georgijewskich wstążek upamiętniających bohaterów wielkiej wojny ojczyznianej. Teraz tego nie ma.

Czy mimo braku tej nacjonalistycznej żarliwości można powiedzieć, że dla Rosjan wojna na Ukrainie to wojna o kontrolę nad matecznikiem ruskiej państwowości, o przyszłość imperium?

To wojna o granice „ruskiego mira”, rozumianego jako coś więcej niż imperium. To cała zorientowana antyzachodnio-cywilizacja pod przywództwem Rusi.

„Trzeci Rzym”...

Tak, to jedno z tych odniesień, w którym Moskwa przypisuje sobie wyjątkową, opatrnościową rolę, integrującą antyzachodni świat w odrębną cywilizację. W wizji Fiodora Tiutczewa ta cywilizacja obejmuje pokątną część globu. Obecność w niej Ukrainy jest warunkiem koniecznym zaistnienia takiej cywilizacji. Większość Rosjan nie akceptuje odrębnego państwa ukraińskiego. Zjednoczenie trzech wschodniosłowiańskich narodów to program minimum dla zwolenników tej idei.



Z Piotrem Skwecińskim, zastępcą dyrektora Departamentu Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej MSZ, byłym dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie rozmawia Ryszard Gromadzki

Inny świat



FOT. WOLFF/OLUSZKIEWICZ NEWS

Rozumiem, że wizja zorientowanej radykalnie antyzachodnio „rosyjskiej cywilizacji” jest żywa wśród części elit. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby przemawiała do masowej wyobraźni Rosjan...

Oczywiście. Do przeciętnych Rosjan tego rodzaju idee transmitowane są przez pośredników. Docierają do nich w zwulgaryzowanej przez propagandę wersji. Niemniej są obecne. Wielu Rosjan ma poczucie odrębności czy wyjątkowości swojej nacji, może nie tak silne jak Chińczycy, ale to jest odczuwalne. Ta wyjątkowość jest ufundowana w silnej kontrze do Zachodu. A propos propagandy, z badań opinii publikowanych ostatnio w Rosji wynika, że od 24 lutego spada oglądalność ogólnorosyjskich kanałów telewizyjnych i portali internetowych.

Z czego to wynika? Ze zmęczenia propagandą?

Nie podejmuję się interpretacji tych badań. Są zbyt świeże, wymagają użycia narzędzi, którymi nie dysponuję.

Czy zdefiniowanie Rosji Putina jako despotii kontrolowanej przez służby specjalne jest adekwatne?

Moim zdaniem nie. Jest oczywiste, że obecna elita władzy w Rosji w dużym stopniu wywodzi się ze służb specjalnych, a one same mają istotny wpływ na bieg spraw w Rosji. Istotny, ale nie decydujący. Rosyjska polityka zagraniczna i wewnętrzna jest wypadkową bardziej złożonych procesów i zależności. Ale też gry wpływów różnych grup i środowisk niezwiązanych z żadnymi służbami.

20 sierpnia w zamachu pod Moskwą zginęła Daria Dugina, córka Aleksandra Dugina, człowieka uchodzącego za ideologa imperialnej Rosji. Kto może stać za tym zamachem?

Rosyjska prokuratura, a za nią media, w związku z zamachem rozpowszechnia wersję o „ukraińskim śladzie” czy inspiracji z Estonii. Nie wiemy, dlaczego Daria Dugina zginęła, ale dopuszczam interpretację, że przyczyną zamachu mogła być rywalizacja o pieniądze, które defraudują współzawodniczące ze sobą rozmaite koterie, na które dzielą się tzw. środowiska patriotyczne (może tu chodzić np. o fundusze, którymi za pośrednictwem rozmaitych instytucji Rosja zasilą sprzyjające jej podmioty zachodnie). Zamach na córkę blisko związanego z Kremlm Dugina mógł być elementem rywalizacji i rozgrywek pomiędzy tymi grupami.

Pana zdaniem możliwy jest scenariusz, że za zamachem na córkę Dugina stały służby specjalne Kremla?

Takiego wariantu nie można z góry wykluczyć. Rodzi się pytanie, jakie przesłanki miałyby powodować służbami, jeśli to one stały za tym zamachem. Jednak nie lekceważyłbym interpretacji, o której wspominałem. Śmierć córki Aleksandra Dugina może być związana z rywalizacją nacjonalistycznych środowisk sponsorowanych przez Kreml.

Dlaczego w Rosji nie udało się stworzyć społeczeństwa obywatelskiego?

To temat rzeka. Przyczyn, dla których w Rosji nie powstało nigdy społeczeństwo obywatelskie, jest wiele. Zarówno tych historycznych, politycznych, jak i dotyczących psychologii społecznej.

Jednak po rewolucji 1905 r. załóżki społeczeństwa obywatelskiego na krótko zaistniały w rosyjskiej rzeczywistości?

No tak. Ale to był zaledwie zaczątek, który zdusiły rewolucja październikowa i komunistyczny terror.

A współcześnie antykorupcyjny ruch Aleksieja Nawalnego nie jest próbą stworzenia oddolnej inicjatywy obywatelskiej?

Z pewnością tak. Ale i ruch Nawalnego został w zasadzie zlikwidowany w efekcie represji, które spadły na jego lidera i czołowych działaczy. Zwracam uwagę, że w Rosji jest ogromny dysonans, jeśli mówimy o świadomości obywatelskiej pomiędzy dwoma stolicami, czyli Moskwą i Petersburgiem a resztą państwa. Elity, które mogłyby pociągnąć społeczeństwo, skupiają się w tych dwóch ośrodkach. W pozostałej części Rosji niezależne inicjatywy obywatelskie mają charakter wyspowy, ludzie działający niezależnie są izolowani. Filarem społeczeństwa obywatelskiego są wolne media. W Rosji od ponad 25 lat nie ma mowy o wolnych mediach. Cezurą był tu rok 1996 i wybory prezydenckie, w których duże szanse na zwycięstwo w drugiej turze miał lider komunistów Ziuganow. Wtedy główne rosyjskie media stworzyły wspólny front przeciw kandydatowi komunistów, w efekcie czego wybory wygrał Borys Jelcyn.

Odsunięcie groźby powrotu komunistów odbyło się jednak kosztem wiarygodności mediów, które pokazały wtedy swą demonstacyjną stronniczość, nie cofając się wręcz przed kłamstwami. Bardzo pomogło to Putinowi kilka lat później w zniszczeniu niezależności rosyjskich mediów – Rosjanie uznali je bowiem za skompromitowane i nie chcieli ich bronić.

Jeśli wsłuchać się w przekaz rosyjskiej propagandy od czasu rozpoczęcia wojny na Ukrainie, to Polska obok Stanów Zjednoczonych uchodziłaby za największego wroga w Rosji. Jak Rosjanie postrzegają teraz Polskę i Polaków?

Za czasów mojej bytności w Moskwie – w większości neutralnie albo obojętnie. Nie zauważyłem wrogości ze strony Rosjan wobec Polaków. Chociaż na pewno są środowiska, w których ta niechęć jest bardzo silna. Zupełnie inną kwestią jest sytuowanie Polski w rosyjskiej polityce, mediach i propagandzie. Tu kreowany jest bardzo negatywny obraz naszego kraju. Zresztą to zaczęło się kilka lat temu. Kurs wobec Polski uległ zaostrzeniu po zainicjowaniu przez Władimira Putina w 2019 r. „dyskusji historycznej”, która była rewizją interpretacji drugiej wojny światowej. Interpretacja historii w wydaniu Putina mocno uderzała w Polskę. Ten ostry antypolski kurs jest konsekwentnie realizowany do dziś.

Czy w Rosjanach pozostał jakiś sentyment do Polski? Mam na myśli przede wszystkim polską kulturę. W czasach późnego Związku Sowieckiego autentyczną estymą wśród Rosjan cieszyły się polskie kino, jazz. Status wielkich gwiazd estrady mieli Anna German, Czesław Niemen i inni polscy wykonawcy. Coś z tego zostało?

Jeśli tak, to przede wszystkim wśród tych, którzy pamiętają jeszcze prosperię z czasów Związku Sowieckiego w epoce Breżniewa w latach 70. XX w. Wielu starszych Rosjan z sentymentem wspomina ten okres względnego dobrostanu jak na realia ZSRS. Niektórzy polscy artyści wpisują się w jakiś sposób w klimat tamtych czasów.

Jaka będzie Rosja po zakończeniu ery Putina?

Nie będzie już putinowska, ale obawiam się, że nie będzie również antyputinowska. Przestrzegałbym przed optymistycznymi scenariuszami zakładającymi przeistoczenie Rosji w normalne, demokratyczne państwo. Nie wierzę w żadne nagłe przeobrażenie modelu, który przez ponad 20 lat budował Putin.

Nawet w wypadku rosyjskiej klęski na Ukrainie?

To musiałaby być naprawdę historyczna klęska. Coś znacznie bardziej spektakularnego niż wycofanie się Związku Sowieckiego z Afganistanu w 1988 r. W innym wypadku jest niewielka szansa na realne przemiany w Rosji, bez względu na to, kto będzie następcą Władimira Putina.

Marcin Rola nie tylko stracił kanał na YouTube, lecz także blokowano w ogóle jego portal w polskiej sieci

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Precz z realu



Łukasz Warzecha

Czasem władza po cichu kibicuje cenzorskim zapędom cyfrowych gigantów. Tak właśnie jest w przypadku telewizji Marcina Roli

Najlepszym probierzem poziomu wolności słowa nie jest los wyrazicieli narracji mieszczących się w głównym nurcie – obojętnie, czy jest to nurt bliski władzy czy opozycyjny. Te akurat opowieści mają się w Polsce dobrze. Zresztą w wielu kwestiach, wokół których obraca się życie publiczne, różnice między nimi są pozorne. Tak było z narracją epidemiczną, tak jest w dużej mierze z narracją klimatyczną i tak jest ze sprawą wojny na Ukrainie. O poziomie wolności słowa najlepiej świadczy to, co dzieje się ze środowiskami lub mediami, które głoszą poglądy niemieszczące się w głównym nurcie. W Polsce symptomatyczne jest to, co spotyka od kilku już lat internetową telewizję Marcina Roli – wRealu24.

Tutaj konieczne jest zastrzeżenie: trzeba oddzielić ocenę treści, które pojawiają się w medium Marcina Roli, od sprawy wolności słowa. Niestety, te kwestie w naszej plemiennej rzeczywistości

niemal zawsze się łączy. Publiczność uznaje w związku z tym, że jeśli ktoś wyraża nieodpowiadające jej poglądy, to nie ma się czym przejmować, gdy jego wolność słowa zostaje ograniczona. Ba, wywołuje to nawet entuzjazm. Problem wRealu24 polega na tym, że nie należy ani do plemienia władzy, ani do opozycji, więc z zamykania ust tej internetowej telewizji cieszą się oba plemiona.

Prawdą jest, że z wieloma tezami lub ze sposobem ich prezentacji przez wRealu24, przez samego Marcina Rolę czy dziennikarzy stacji, można się nie zgadzać. Gdybym miał taką zgodność w moim przypadku procentowo ocenić, byłoby to zapewne najwyżej ok. 30 proc. – a w niektórych sprawach zero. To jednak nie ma tutaj znaczenia. Nie mówimy o tym, czy się z Rolą zgadzamy, ale o tym, co z przygód jego stacji wynika dla wolności słowa w Polsce. Dobrze byłoby, gdyby jej zwolennicy – lub ci, którzy deklarują, że nimi są – umieli spojrzeć na sprawę, zawieszając własne zapatrywania w innych sprawach.

ATAK Z DWÓCH STRON

WRealu24 było atakowane z dwóch stron: po pierwsze – przez YouTube, na którym miało kanał; po drugie – przez organy polskiego państwa. Pierwszym etapem było trwałe zablokowanie w 2019 r. możliwości monetyzacji materiałów. Marcin Rola wskazuje, że

YT nie wypłacił stacji nawet ostatniej należnej transzy przychodów. Kasowanie monetyzacji jest jedną z najczęstszych metod swoistego mobbowania użytkowników przez cyfrowego giganta – podobne doświadczenia ma wielu internetowych twórców, w tym mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz. Wytyczne dotyczące zamieszczania reklam są przez YT co jakiś czas uzupełniane i doprecyzowywane, ale nie oznacza to, że są jasne i konkretne. Jakimi drogami chodzą tutaj algorytmy i ewentualnie weryfikatorzy, jeżeli dociera do nich odwołanie właściciela kanału – nie sposób stwierdzić. Tymczasem pieniądze z reklam są dla wielu twórców istotnym wpływem.

Kasowanie przez YT poszczególnych filmów, dotyczących pandemii, zdarzało się wRealu24 wielokrotnie. Dotyczyło to zresztą wielu innych twórców, kanałów czy profili na Facebooku od momentu, kiedy media społecznościowe przyjęły restrykcyjne wytyczne odnośnie do blokowania treści uznawanych przez nie za „sprzeczne z nauką”. W rzeczywistości promowana była w ten sposób jedyna słuszna narracja, odpowiadająca najbardziej epidemicznemu kursowi polityki epidemicznej oraz, pod pretekstem bezpieczeństwa, ograniczana była debata. Bany spadały zatem również na naukowców przedstawiających niezgodne z tą linią rezultaty badań.

„YouTube zablokował foliarskie fejki telewizji wRealu24” – z satysfakcją odnotowywał technologiczny portal Spider's Web (mający wyraźny lewicowy przechył) w grudniu 2020 r. piórem Magdaleny Fijołek, wspominając także, że YT wyłączył wówczas telewizji możliwość zamieszczania nowych treści. Spider's Web podpierał się przy tym tweetami internautów, którzy twierdzili, że „kwestionowanie i wyśmiewanie zasadności obostrzeń sanitarnych, szerzenie teorii spiskowych podważających zasadność takich działań w dobie pandemii jest niebezpieczne dla zdrowia Polaków”. Dziś wiemy, że kwestionowanie i wyśmiewanie absurdalnych restrykcji było całkowicie zasadne, a szkody, które te restrykcje poczyniły, widać w systemie edukacji, służbie zdrowia i poziomie inflacji, nie tylko zresztą w Polsce.

Kolejne uderzenie na telewizję Roli przyszło w momencie ataku Rosji na Ukrainę. Wówczas minister Janusz Cieszyński na Twitterze zaapelował: „Hej @Twitter, chyba już czas pożegnać @MarcinRola89 i resztę V kolumny”. To było posunięcie bezprecedensowe: sekretarz stanu w kancelarii premiera, odpowiadający za cyberbezpieczeństwo, wprost wezwał serwis społecznościowy do zastosowania zakazanej w Polsce poza stanami nadzwyczajnymi cenzury prewencyjnej wobec jednego z użytkowników. Jedynym kryterium były niezgodne z linią władzy poglądy. To był jednak dopiero początek.

SĄD KAPTUROWY

Wkrótce, na początku maja, dostawcy Internetu niespodziewanie zablokowali polskim użytkownikom dostęp do portalu telewizji wRealu24. Blokadę można było zresztą ominąć, używając VPN, czyli rozwiązania, które symuluje, że użytkownik łączy się z danym adresem z innego miejsca niż w rzeczywistości. To oznaczało, że bariera ustawiona jest jedynie dla polskich użytkowników.

Miał tu miejsce swoisty sąd kapturowy, bo nikt nikomu niczego nie wyjaśnił. Okazało się w końcu, że najpewniej zadziałała Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, opierając się na artykule 180 ustawy Prawo telekomunikacyjne, wprowadzonym do niej w momencie powstania tego aktu za rządów Leszka Millera. Mgliście i ogólnikowo sformułowany przepis brzmi: „Przedsiębiorca telekomunikacyjny jest obowiązany do

niezwłocznego blokowania połączeń telekomunikacyjnych lub przekazów informacji, na żądanie uprawnionych podmiotów, jeżeli połączenia te mogą zagrażać obronności, bezpieczeństwu państwa oraz bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu, albo do umożliwienia dokonania takiej blokady przez te podmioty”. W praktyce oznacza to, że można w Polsce wprowadzić cenzurę prewencyjną Internetu kuchennymi drzwiami.

Posłowie Konfederacji skierowali na początku maja do Mariusza Kamińskiego, ministra koordynatora ds. służb specjalnych, interpelację, w której pytali m.in., jakie były konkretne przesłanki wystąpienia o blokadę stron oraz na jakiej podstawie rząd uznał, że mogły one zagrażać bezpieczeństwu państwa. Pan minister odpowiedzi udzielił dopiero pod koniec lipca, niczego ona jednak do sprawy nie wniosła, bo powtarzała jedynie zapis ustawowy i zawierała dopisek, że „służby specjalne na bieżąco monitorują zagrożenia dla bezpieczeństwa informacyjnego Rzeczypospolitej Polskiej”. Przypadek wRealu24 pokazał zatem, że praktycznie każdy podmiot może spotkać procedura jak z „Procesu” Franza Kafki, przed którą nie ma się jak bronić. WRealu24 wniosła jednak w tej sprawie skargę do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Na rezultat trzeba poczekać.

Kolejnym ciosem, tym razem ponownie ze strony YT, stało się zablokowanie kilkanaście dni temu kanałów telewizji w tym serwisie. Marcin Rola stwierdza, że jego firma nie dostała w tej sprawie żadnego wyjaśnienia. Trudno powiedzieć, ile jest prawdy w przechwałkach grupy Akcja Demokracja, która oznajmiła, że zamknięcie kanałów wRealu24 to jej zasługa. „W lipcu jako Akcja Demokracja zdecydowaliśmy się masowo zgłaszać do Google treści udostępniane przez wRealu24. Do naszych aktywistów i aktywistek przesłaliśmy dokładną instrukcję dokonania zgłoszenia. Całość poparliśmy merytoryczną oceną eksperta, dr. Przemysława Witkowskiego” – napisała organizacja na swojej stronie. Przemysław Witkowski to aktywista powiązany z Krytyką Polityczną. Oświadczenie Akcji Demokracji mogło powstać na podobnej zasadzie co zgłoszenia organizacji ekstremistycznych po zamachu terrorystycznym, gdy te chcą sobie przypisać jego autorstwo, nawet jeżeli nie miały z nim nic wspólnego. Niezależnie od tego pokazuje to jednak kolejny bardzo groźny

dla wolności słowa mechanizm: myślące plemiennie duże grupy aktywistów są w stanie organizować kampanie na rzecz zamknięcia ust swoim ideowym przeciwnikom. Jak to często bywa z totalniami z ducha lewicowymi środowiskami, Akcja Demokracja deklaruje na swojej stronie coś dokładnie przeciwnego, niż to, co wynika z jej działań: „Wspieramy wolność indywidualną, przeciwdziałanie przemocy w życiu prywatnym i publicznym oraz ochronę przed wszelkiego rodzaju dyskryminacją. Wolność nie może być wyłącznie przywilejem większości. [...] Pasjonuje nas wzmacnianie wolności wypowiedzi, zgromadzeń i zachęcanie innych do aktywności społecznej”. Jak widać, dotyczy to jedynie tych, którzy wyznają słuszne poglądy. Innym wolność nie przysługuje.

OSTATECZNE POŻEGNANIE

Najpewniej jest to ostateczne pożegnanie telewizji Marcina Roli z cyfrowym gigantem, będącym własnością spółki Alphabet. wRealu24 ma szczęśliwie rezerwowany kanał komunikacji z odbiorcami w postaci własnego serwisu wideo BanBye (czyli w swobodnym tłumaczeniu „Żegnajcie, blokady”). BanBye na pierwszy rzut oka wygląda nieźle – z pewnością jest bardziej dopracowany niż inne rodzime inicjatywy technologiczne, sprawiające wrażenie samizdatu. Nie ma jednak co udawać, że technicznie, a przede wszystkim pod względem zasięgu, mógłby konkurować z YT. Na razie Rola jest ostrożnie optymistyczny, jeśli idzie o sytuację jego firmy, ale zaznacza, że prawdziwym testem będą wrzesień i październik.

Niedawno miałem okazję brać udział w bardzo ciekawej debacie o relacjach pomiędzy cyfrowymi gigantami a państwem, zorganizowanej przez Klub Jagielloński. Jednym z tematów była wolność słowa. Choć w założeniu debaty tkwiła sugestia, że państwa z cyfrowymi korporacjami są raczej w sporze, to postawiłem tezę, że w przypadku uderzenia w wolność słowa bywają przypadki, gdy interes polityczny rządzących idzie w parze z ideologiczną linią firm takich jak Google czy Facebook. A wtedy, nawet jeśli formalnie pojawia się spór, jest on w dużej mierze udawany, w istocie zaś rządzący po cichu kibicują cenzorskim zapędom cyfrowych gigantów. Przykład wRealu24 pokazuje to wyraźnie.



Sebastian Ligarski

To ona odrzuciła zomowcom pocisk gazowy podczas demonstracji przeciw władzom stanu wojennego

Wwielu miastach w Polsce 31 sierpnia 1982 r. odbyły się demonstracje przeciwko władzom stanu wojennego. Społeczeństwo wezwane apelem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności z 28 lipca wyszło na ulice w pokojowych manifestach nie tylko w dużych miastach zwanych bastionami Solidarności, lecz także w mniejszych aglomeracjach. To tam doszło do najbrutalniejszych akcji milicji, w wyniku których zginęło najwięcej osób.

Symbolem stał się Lubin, gdzie zomowcy urządzili polowanie na mieszkańców, zabijając trzy osoby i kilkadziesiąt osób raniąc. Z tej manifestacji najbardziej znane są zdjęcia Krzysztofa Raczkowiaka przedstawiające czterech mężczyzn niosących ранego Michała Adamowicza i wkładających go do samochodu osobowego. W archiwach zachowało się też nagranie Wojciecha Wójcika utrwalające moment przejechania przez milicijną ciężarówkę Jarosława Hyka we Wrocławiu. I taką fotografię symbol ma także Koszalin. Jerzy Patan, fotograf przez lata związany z „Głosem Koszalińskim” i „Głosem Pomorza”, uchwycił niezwykle dynamiczny moment odwagi ubranej na białą kobiety, która pod katedrą w Koszalinie odrzuciła w stronę zomowców wystrzelony nieopodał niej pocisk gazowy. Tą kobietą była Zofia Pietkiewicz.

ZOFIA Z KOWNA

Zofia Pietkiewicz urodziła się 31 grudnia 1931 r. w Kownie. Jej matka, Wiktorja, została aresztowana przez NKWD po wkroczeniu Sowietów na Litwę. Jak opowiadała Zofia, mama zdążyła ją jeszcze ukryć u swoich krewnych. Ciocia, która się nią opiekowała, również cudem uniknęła aresztowania przez Sowietów, w ostatniej chwili opuszczając swój dom. Cała rodzina uciekła z miasta i przeniosła się do Wilna, skąd po zakończeniu wojny została przesiedlona do Polski, do Sianowa pod Koszalinem. Zofia trafiła do sierocińca PCK w Koszalinie, gdzie przebywała do 1948 r. Szczęśliwie jednak okazało się, że



Zofia Pietkiewicz odrzucająca pocisk gazowy w stronę ZOMO, Koszalin, 31 sierpnia 1982 r. FOT. JERZY PATAN

mama Zofii przeżyła wojnę, i obu udało się odnaleźć.

Zofia skończyła studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, gdzie została magistrem rolnictwa. Zatrudnienie znalazła w Wojewódzkim Biurze Geodezji i Terenów Zielonych w Koszalinie. Przez cały czas opiekowała się swoją schorowaną matką. Po powstaniu NSZZ „Solidarność” współorganizowała Komitet Założycielski nowych związków w swoim miejscu pracy, a po wyborach została przewodniczącą Komisji Zakładowej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego najaktywniejszych działaczy związku z Koszalina internowano i osadzono w ośrodku odosobnienia w Wierzbrowie Pomorskim i Darłowie, z innymi przeprowadzono rozmowy ostrzegawcze lub ich aresztowano. Tym, którzy pozostali na wolności, udało się z czasem zbudować struktury podziemne. Zofia Pietkiewicz zaangażowała się w działalność kolporterską oraz

wydawniczą. Ponieważ pisała też wiersze, jeden z nich poświęciła zamordowanemu w kopalni Wujek, pochodzącemu z Koszalina, Janowi Stawisińskiemu. Jego grób stał się miejscem spotkań koszalińskiej opozycji. Brała też udział w demonstracjach przeciwko władzy. Jedną z nich skończyła się dla niej więzieniem.

KOSZALIN NA ULICY

28 lipca 1982 r. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna po gorących dyskusjach wezwała Polaków do demonstracji 31 sierpnia, w rocznicę porozumienia podpisanego w Gdańsku w 1980 r., pod hasłami odwieszenia NSZZ „Solidarność” i zwrócenia wolności wszystkim uwięzionym za poglądy polityczne.

W całej Polsce funkcjonariusze SB odbyli tysiące rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych, wytypowano, a następnie internowano lub aresztowano (niektóre z nich po raz kolejny) osoby mogące kierować

przygotowaniami do obchodów rocznicy oraz samymi manifestacjami.

31 sierpnia 1982 r. w Koszalinie doszło do pokojowej demonstracji. Na plac Bojowników PPR z każdą chwilą przybywało coraz więcej osób, pomimo zamknięcia okolicznych ulic dla ruchu. W szczytowym momencie w manifestacji brało udział ponad 3 tys. osób.

Około godz. 18.20 rozpoczęto pacyfikację demonstracji przez oddziały ZOMO, ROMO, WOP i SB. Jak pisała potem solidarnościowa prasa podziemna: „Zachowanie sił porządkowych nie daje się niczym uzasadnić; nie było ani celowe, ani konieczne obrzucanie ludzi gazem i petardami czy okładanie pałkami. Nie zachodziło nigdzie zagrożenie życia czy mienia. [...] Kiedy uzbrojeni po zęby stróże porządku publicznego znaleźli się oko w oko z... powietrzem, z pustą jezdnią, rozległy się śmiechy i gwizdy. To dopiero rozwścieczyło i dodało animuszu [...]. Ruszyli więc do ataku z pełnym arsenałem »środków porozumienia społecznego« na ludzi zgromadzonych w pobliżu kościoła [katedry], gdzie wcześniej zepchnięto część manifestantów z placu [Bojowników] PPR. [...] Gazy łzawiące, petardy rozrywające oraz inną nowoczesną broń uliczną rzucono na chybił trafił: przed siebie i za siebie, w górę i w dół, na puste podwórka, ulice i alejki parkowe”.

Jak pisał historyk Przemysław Benken: „Podczas pacyfikowania demonstracji 60 osób schroniło się w katedrze, gdzie miała się odbyć wspomniana już wyżej uroczysta Msza św. Jeden z milicjantów wrzucił za uciekającymi do przedsionka świątyni petardę, która miała zranić dwóch młodych mężczyzn. Odprawiający nabożeństwo ks. Borzyszkowski zwrócił się wówczas do osób wiernych: »Nie wznoscie okrzyków »gestapowcy«, bo gestapowcy nogą czuć się poniżeni i obrażeni. Oni nie wrzucali petard do własnych świątyń i nie pałowali własnego społeczeństwa«”.

Zofia Pietkiewicz tego dnia ułożyła z polnych kwiatów krzyż pod katedrą. Dostała się tam pomimo obstawy milicyjnej, gdyż powiedziała milicjantom, że idzie na mszę, i nie zdążyli jej zatrzymać. Jak relacjonowała po latach dziennikarce „Głosu Pomorza”: „Pod katedrą w akcji było ZOMO. Fruwały petardy. Do kościoła też wrzucili, proboszcz skrócił modlitwę. Przy krzyżu z kwiatów śpiewałam pieśń Solidarności. Po nabożeństwie z ulicy Asnyka wyjechała zakratowana nysa. Dwóch panów zaproponowało mi, że

mnie podwiozą, powiedziałam: »Dziękuję, wolę pieszo«. Wepchnęli mnie do środka. Krzyknęłam: »Ratunku, bandyci!« i to ich bardzo rozzłościło. Z nami było dwóch chłopaków, jeden ciężko kontuzjowany. Z tyłu nadjechała druga nysa, przerzucili nas do aresztu na Jedności. Na początku dostałam w twarz. Nie chciałam oddać znaczka Solidarności. Później zawieźli mnie na Słowackiego. Tam spędziłam dwa dni”. W swoich wspomnieniach z tamtego dnia nie wspominała jednak o odrzuceniu funkcjonariuszom ZOMO petardy z gazem łzawiącym, co zostało uwiecznione na zdjęciach.

Sąd rejonowy pod przewodnictwem sędziego Waldemara Płóciennika (obecnie przewodniczący Wydziału II Izby Karnej Sądu Najwyższego), z oskarżenia prokuratora Romualda Michaluka, uznał ją winną zarzucanego czynu, że „w dniu 31 sierpnia 1982 roku w Koszalinie w trakcie nielegalnie zorganizowanej akcji protestacyjnej, znieważała podczas i w związku z pełnieniem obowiązków służbowych interweniujących funkcjonariuszy MO [...], wyzywając ich słowami powszechnie uznanymi za obelżywe, a więc dopuściła się czynu określonego w art. 236 k.k.”, i skazał na osiem miesięcy pozbawienia wolności, wymierzył też 1,8 tys. zł opłaty sądowej od orzeczonej kary oraz obciążył kosztami postępowania sądowego.

INTONOWAŁA I SKANDOWAŁA

W uzasadnieniu wyroku sędzia napisał, że Pietkiewicz „jako pierwsza intonowała pieśni narodowe i religijne oraz o charakterze dziękczynnym wobec Solidarności [...]”. Skandowała też jako pierwsza okrzyki, hasła oraz wyzwiska pod adresem stojących pod sklepem »Jubiler« funkcjonariuszy MO m.in. »esesmani«, »bandyci«. Zebrani ludzie powtarzali za nią okrzyki i wyzwiska. Po rozejściu się tłumu oskarżona udała się w kierunku ulicy Młyńskiej i przy skrzyżowaniu tej ulicy z ul. Zawiszy Czarnego została zatrzymana przez radiowóz MO. Mimo dwukrotnego wezwania do wejścia do wnętrza radiowozu oskarżona odmówiła kategorycznie, a po umieszczeniu jej tam siłą obrzuciła funkcjonariuszy takimi wyzwiskami jak: »esesmani, chamy, bydlaki, sk-syny«, następnie zaś usiłowała wymóc uwolnienie, powołując się na siwe włosy”. Sędzia uznał również, że kara „spełni należyty rolę w ramach prewencji ogólnej, szczególnie ważnej w chwili obecnej z uwagi na skomplikowaną sytuację społeczną”.

O procesie i wyroku Pietkiewicz po latach tak pisała „Głos Pomorza”: „Proces odbywał się przy zamkniętych drzwiach. Zaprotestowała, że nie ma obrońcy. Dali jej czas na znalezienie adwokata. Mecenas miał prawo porozmawiać z nią w cztery oczy. Powiedział, że będzie źle, że grozi jej od dwóch do trzech lat. Dostała »tylko« osiem miesięcy. Mecenas podjął się rewizji. Znowu trafiła na Słowackiego, powiedzieli, że na dwa tygodnie może iść do domu – uregulować swoje sprawy. – Nazajutrz poszłam do pracy i koledy poradzili mi, żebym zrobiła obdukcję lekarską. Lekarz wypisał mi zwolnienie na dwa tygodnie. Gdy pakowałam się do domu, koleżanki zaszeptaly: »Zosiu, ktoś do ciebie«. W drzwiach stało dwóch panów. Kazali mi się zabierać do sądu po wyrok i na Młyńską – relacjonuje. Po rewizji umieszczono ją na »prześciółce« – dwóch połączonych celach. Potem trafiła do więzienia w Fordonie”.

Adwokat Pietkiewicz wniósł rewizję do Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie, który pod przewodnictwem sędziego Ignacego Józwiaka skrócił jej wyrok z ośmiu do czterech miesięcy. W tym czasie Pietkiewicz przebywała już w jednym z najcięższych więzień kobiecych w Polsce – w Fordonie w Bydgoszczy. Tam została umieszczona w celi z więźniarkami kryminalnymi. Poprosiła kierownictwo placówki o przeniesienie jej do celi, gdzie uwspiono skazanych za sprawy polityczne. Jak wspominała: „Tam szyłam czapki, milicyjne chyba. W celi było mało sympatycznie, tam siedziały kobiety z ciężkimi wyrokami. Przełożona celi była bardzo źle do mnie nastawiona. Nie pasowałam do nich”.

Mimo swych 80 lat regularnie do Bydgoszczy przyjeżdżała Wiktoria Pietkiewicz, przywoziła córce żywność i dodawała otuchy. Zofia Pietkiewicz opuściła Fordon 31 grudnia 1982 r., dokładnie w dniu swoich 51. urodzin. Wróciła do domu, ale nie zaznała spokoju. Przez kilka lat nie mogła znaleźć pracy, była stale inwigilowana przez Służbę Bezpieczeństwa w Koszalinie w sprawie pod kryptonimem Kobra.

W czerwcu 1989 r. była członkiem Miejskiej Komitetu Obywatelskiego w Koszalinie. Później zaangażowała się w działalność Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym. Zmarła w zapomnieniu 22 listopada 2004 r., pochowana została na cmentarzu w Sianowie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Obcy wróg



Internowani w brytyjskim obozie napychają worki słomą, na których będą spali, 21 maja 1940 r. FOT. FOX PHOTOS/GETTY IMAGE



Paweł Porański

W dziewięciu obozach dla mężczyzn i jednym dla kobiet i nieletnich przetrzymywano 14 tys. internowanych. Rząd brytyjski internował tam w czasie drugiej wojny światowej uchodźców

Plotka rozpoczęła się od relacji, którą usłyszała reporterka „Daily Express” Hilde Marchant od jednego z marynarzy. Dwa dni wcześniej pełnił on służbę na okręcie pasażerskim wychodzącym z Rotterdamu. Statek był przepełniony Brytyjczykami uchodź-

cymi z Holandii, którą w maju 1940 r. zaatakowały Niemcy. Stojąc na pokładzie okrętu, zauważył on desant niemieckich spadochroniarzy. Reporterka początkowo nie mogła uwierzyć, ale marynarz upierał się, że skoczki uzbrowieni w pistolety maszynowe byli ubrani po cywilnemu.

Inny świadek relacjonował: „Kiedy spadochroniarze wylądowali, z zapleczy i piwnic wyłoniли się mężczyźni i kobiety ubrani w niemieckie mundury. Poznaliśmy ich, to byli uciekinierzy z Niemiec, których przyjęliśmy kilka miesięcy wcześniej, a teraz okazali się uśpionymi agentami wroga”.

Trzeciego dnia inwazji „Daily Express” opublikował artykuł Marchant pod znamiennym tytułem „Niemcy zrzućli kobiety spadochroniarzy dla zmylenia obrońców”. Artykuł Marchant wywołał lawinę podobnych relacji w prasie

– o podstępnych emigrantach, którzy zdradzili swoich dobroczyńców.

SPIRALA STRACHU

Histerię medialną uwiarygodnił swoim raportem poseł brytyjski przy rządzie Holandii sir Neville Bland. Jako naoczny świadek natychmiast sporządził on raport zatytułowany „Zagrożenie piątą kolumną było oczywiste i przerażające”. Nieważne, jak „pozornie mili i lojalni wydają się emigranci, w rzeczywistości stanowią oni realne i śmiertelne zagrożenie”. Kiedy padnie sygnał do inwazji na Brytanię – dodawał Bland – „w całym kraju pojawią się wysłannicy potwora, którzy rozpoczną dywersję i ataki na ludność cywilną”. Podsumowując, „nie możemy podjąć takiego ryzyka. Wszyscy Niemcy i Austriacy powinni być niezwłocznie internowani”.

Raport Blanda szybko stał się znany posłom w Londynie. Wkrótce wnioski

z raportu przedstawiła na swojej antenie BBC. Od tego momentu nastąpiła całkowita zmiana stosunku brytyjskiej opinii publicznej do uchodźców. Już od inwazji na Norwegię prasa krytykowała rząd. „Czas działać tu i teraz” – grzmiał tytuł artykułu G. Warda Price’a w „Daily Mail” z 24 maja 1940 r. „Wszystkich uchodźców trzeba bezwzględnie wysłać do odległych zakątków kraju i trzymać pod ścisłym nadzorem”. „Nie zdajecie sobie sprawy, że każdy Niemiec jest szpiegiem” – pisał Price.

Oczywiście Hitler miał swoich zwolenników w Wielkiej Brytanii. Ale czy na pewno wśród uchodźców? 23 maja policja aresztowała Oswalda Mosleya i jego 35 towarzyszy z Brytyjskiej Unii Faszystowskiej. Mosley został internowany i osadzony w areszcie domowym w swoim rodzinnym majątku.

Peter Fleischmann był młodym żydowskim uciekinierem z Niemiec. Jego rodzice, dziennikarze antyfaszystowskiej gazety, zginęli w wypadku samochodowym. Chłopca, którego poszukiwało gestapo, ukrywała w swojej piwnicy przez kilka miesięcy ich była pomoc domowa. W grudniu 1938 r. pojawiła się szansa na ucieczkę z Niemiec. Naziści zgodzili się wypuścić z kraju 10 tys. sierot żydowskich w ramach akcji „Kindertransport”. I tak prawie 17-letni Peter Fleischmann trafił do Manchesteru, gdzie znalazł pracę w zakładzie fotograficznym. Od listopada 1939 r. rząd brytyjski ustanowił specjalne trybunały, które miały sprawdzać lojalność uchodźców i przyznawać im prawo pobytu. Ponad 50 tys. osób przeszło pozytywnie weryfikację i miało nadzieję na bezpieczne życie w Wielkiej Brytanii.

INTERNOWANIE

Na pierwszym posiedzeniu nowego gabinetu Winstona Churchilla podjęto decyzję o internowaniu uchodźców – wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat żyjących w hrabstwach na wybrzeżu Wielkiej Brytanii, określając ich jako: obcy wróg – enemy alien. 12 maja 1940 r. rozpoczęła się fala aresztowań, tylko tego dnia uwięziono, a następnie przekazano władzom wojskowym 2 tys. osób. Do końca maja strefę ochronną rozszerzono na całe terytorium Wielkiej Brytanii. „Internowanie jest w najlepszym interesie samych uchodźców – argumentował Churchill. – Nastawienie opinii publicznej w tym kraju jest takie, że taka osoba pozostawiona na wolności byłaby w wielkim niebezpieczeństwie”.

O ironio losu, ten sam argument zastosowali Niemcy, aresztując przeciwników hitleryzmu. Naziści w swojej nowomowie używali eufemizmu „Schutzhäft”, który można przetłumaczyć jako areszt ochronny. W przemówieniu z 4 czerwca 1940 r. Winston Churchill poinformował Izbę Gmin o nowym rozporządzeniu mającym na celu „zdławienie żelazną ręką wszelkiej aktywności piątej kolumny”. Churchill zdawał sobie sprawę, że nowe prawo dotknie „wielu ludzi, którzy są zawziętymi przeciwnikami Hitlera”. „Nie jesteśmy w stanie ich oddzielić od potencjalnych sabotażystów”.

Wczesnym rankiem 5 czerwca aresztowano Petera Fleischmanna. Był on jednym z 90 uchodźców aresztowanych tego dnia w Salford. Internowanym nie przysługiwały żadne prawa: nie postawiono im żadnych zarzutów, odmówiono im prawa do stanięcia przed sądem i procesu.

Aresztowanych w północno-zachodniej Anglii przewieziono do stworzonego naprędce obozu w opuszczonej tkalni Warth Mill. Kilka lat wcześniej budynek został porzucony przez właścicieli. Halę opuszczono w pośpiechu, podłogi częściowo drewniane, a częściowo brukowane pokrywały śliskie plamy oleju maszynowego. Ze ścian i z sufitów zwisały się porzucone pasy transmisyjne oraz szkielety nie do końca zdemontowanych maszyn. Letnia mżawka swobodnie przenikała do wnętrza budynku przez strzaskany szklany dach.

Aresztantów dowożono koleją do stacji Bury, a następnie prowadzono do obozu drogą Manchester Road. Jeden z pierwszych internowanych, pastor Peter Katz, tak wspominał po latach: „Byliśmy prowadzeni jak więźniowie wojenni... czułem się głęboko upokorzony”.

Peter Fleischmann przybył do obozu kilka dni później. Dobytek każdego nowego więźnia rewidowano. Nie szukano broni, a rzeczy wartościowych. Dokładnie tak jak w niemieckich obozach rozkradano własność internowanych. Brytyjscy oficerowie i żołnierze bez skrupowania rozdzielali między siebie czekoladę czy papierosy. „Prywatyzowano” również inne przedmioty: książki, maszyny do pisania i papier.

Warunki sanitarne w obozie były fatalne. Dwa tysiące internowanych miało do swojej dyspozycji 18 kranów z bieżącą wodą, jedną łazienkę oraz jedno puste pomieszczenie, które zaadaptowano na pralnię. Nikt nie zadbał o mydło czy

miejsce na suszarnię. W budynku nie było kanalizacji, postawiono więc duży namiot za budynkiem, a 60 wiader miało zapewnić namiastkę latryny.

Niemieccy lekarze, których było kilkunastu pośród internowanych, zaczęli obawiać się epidemii. Przygotowano petycję do komendanta obozu, mjr. Alfreda Braybrooka. Skarga nie zmieniła sytuacji więźniów. Emerytowany profesor uniwersytetu we Frankfurcie Simon Isaac, który podczas wielkiej wojny służył w szpitalu polowym na froncie wschodnim, tak opisał warunki w obozie: „Nigdy nie widziałem miejsca mniej zdadnego na zakwaterowanie istot ludzkich”.

Wielu internowanych przestało postrzegać Wielką Brytanię jako cywilizowany kraj. Głodowe racje żywnościowe, fatalne warunki sanitarne skłoniły wielu do porównywania Warth Mill do niemieckich obozów pracy. Po wojnie ministerstwo informacji ujawniło, że dwie osoby nie wytrzymały psychicznie tych warunków i popełniły samobójstwo w obozie.

OBOZY NA WYSPIE MAN

Stopniowo przenoszono internowanych do obozów na wyspie Man. Pensjonaty czasowe, w których ich zakwaterowano, wydały się im rajem na ziemi. Życie obozowe na wyspie Man, chociaż za kolczastymi drutami, stopniowo się normowało i bardziej przypominało życie w oflagu, czyli obozie dla jeńców-oficerów. Zezwolono więźniom na utworzenie teatru, odbywały się koncerty, wydawano też tygodnik. Relatywnie dużą liczbę internowanych stanowili artyści i naukowcy. W obozach często odbywały się odczyty i warsztaty sztuk pięknych. Peter Fleischmann trafił do obozu Hutchinson i tam stopniowo spełniał swoje marzenie o edukacji artystycznej.

Obozy na wyspie Man funkcjonowały od 27 maja 1940 r. do 5 września 1945 r. W dziewięciu obozach dla mężczyzn i jednym dla kobiet i nieletnich przetrzymywano 14 tys. internowanych. Rząd brytyjski nigdy nie zdobył się na publiczne przeprosiny. W swoim wystąpieniu w Izbie Gmin minister spraw wewnętrznych sir John Anderson jednym zdaniem skwitował całą sytuację: „Stały się rzeczy okropne i godne pożałowania”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem z książki Simona Parkina „The Island of Extraordinary Captives” opublikowanej przez Sceptre.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Imperatyw antykomunizmu

Ależ prof. Grzegorz Łukomski robi wspaniałą robotę! To już kolejna – bardzo ciekawa – książka tego autora na temat Józefa Mackiewicza. Najważniejszego pisarza mojego życia.

Profesor Łukomski swoją nową pracę poświęcił publicystyce Józefa Mackiewicza. A także toczonym przez niego polemikom i sporom, m.in. z szefem Radia Wolna Europa, Janem Nowakiem-Jeziorskim. Ten ostatni – co tu dużo pisać – zachowywał się wobec Mackiewicza w sposób skandaliczny.

Profesor Łukomski słusznie nazywa Mackiewicza „intelektualistą stygmatyzowanym”. Pisarz miał bowiem odwagę głosić poglądy niepopularne wśród rodaków. Brzydził się instynktem stadnym, był urodzonym indywidualistą. Za co oczywiście od kochanych rodaków zbierał cięgi.

Mackiewicz – w przeciwieństwie do wierzchołki Armii Krajowej – uważał, że Związek Sowiecki stanowi większe zagrożenie niż Niemcy. Jak bowiem pisał, „niemiecka okupacja robi z nas bohaterów, a sowiecka gówno”.

„System bolszewicki wytworzył taki koszmar – podkreślał – jakiego nie znaliśmy dzieje ludzkości. Próżno by porównywać go do systemu hitlerowskiego. Porównany mógłby być tylko wtedy, gdyby

na przykład Żydzi pędzeni do gazu w obozach koncentracyjnych dziękowali SS-mańskim oprawcom za sprawiedliwość. System, w którym skazańcy dziękują oprawcom za los, który ich spotka, i zwracają się publicznie z przemówieniami wychwalającymi ten los stworzył dopiero system bolszewicki. Najbardziej szatański z ludzkich systemów na globie”.

Bardzo ciekawy jest rozdział książki poświęcony pismu „Alarm”, które Mackiewicz wydawał w Warszawie w 1944 r., w przededniu powstania. Pisarz próbował w nim ostrzec opinię publiczną przed nadciągającym ze Wschodu niebezpieczeństwem. Było to oczywiście wołanie na puszczy. AK szykowała się do walki z Niemcami.

„Niemcy przegrali wojnę – dowodził Mackiewicz. – Bolszewicy ją wygrywają. Niemcy odchodzą. Bolszewicy przychodzą. I dlatego, w tej ostatniej jeszcze chwili, póki nie jest za późno, wzywamy do mobilizacji przeciw bolszewikom wszystkie siły i wszystkie warstwy narodu polskiego. Jest to sprawa nadrzędna. Stojąca ponad rozgrywki partyjne i rozgrywki dyplomatyczne”.



★★★★★

GRZEGORZ ŁUKOMSKI
„JÓZEF MACKIEWICZ (1902–1985). ANTYKOMUNIZM JAKO IMPERATYW KATEGORYCZNY”
LTW

Czesław Miłosz wspominał później, że w 1944 r. wszyscy patrzyli na Mackiewicza jak na wariata. A to on miał rację. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Hrabina Cosel”

Niezwycie popularna produkcja telewizyjna była jednocześnie jednym z najkrótszych seriali historycznych, gdyż liczyła zaledwie trzy odcinki. Jerzy Antczak nakręcił ją w zaledwie 36 dni, co jak na obyczaje epoki PRL oznaczało niezwykle krótki okres zdjęciowy (premiera: 6 września 1968 r.). Serial nie kosztował

to nie potrafił nad nim zaplanować i jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zdenerwowany aktor kategorycznie odmówił dalszych zdjęć, wobec tego postanowiono filmować, sadzając go na beczkowie i koncentrując się wyłącznie na zbliżeniach, a resztę miał załatwić dubler. Jednak członkowie ekipy postanowili zrobić dowcip Dmochowskiemu i Antczakowi i rano podstawili na planie beczkowóz na wodę, a beczkę asenizacyjną, do tego w ogóle nieumytą. Gdy zirytowany aktor odmówił pracy, dopiero wówczas dowcipnisie przywołali właściwy beczkowóz.

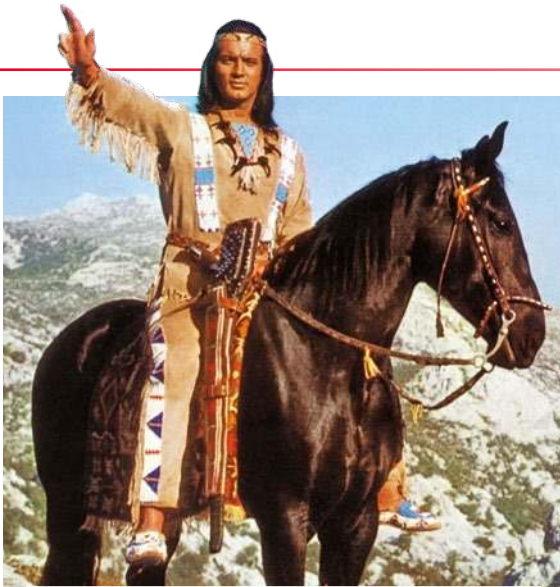
Problemów nie było natomiast z Danielem Olbrychskim (król Szwecji, Karol XII), który bez problemu sam wyreżyserował i zagrał efektowną scenę upadku z konia podczas musztry żołnierzy...

Natomiast innym problemem Antczaka był udział jego żony, Jadwigi Barańskiej. Niektórzy krytycy uważali, że reżyser nie miał prawa zatrudniać partnerki, a Zygmunt Kałużyński podawał w wątpliwość nawet urodę Barańskiej, twierdząc, że oryginalna hrabina Cosel była znacznie piękniejsza. Wiedząc jednak kreacja Barańskiej się podobała, aktorka dostała też bardzo egotyczne wyróżnienie, na Festiwalu Filmowym w Phnom Penh w Kambodży przyznano jej Złotego Aspara za najlepszą rolę kobiecą. Niestety, nagroda nigdy nie trafiła do Barańskiej, gdyż w Kambodży wybuchła rewolucja i nikt nie miał już głowy do spraw filmowych... ©©

Jerzy Antczak nakręcił ten serial historyczny w zaledwie 36 dni

też zbyt wiele, dlatego nazywano go „najtańszym filmem wysokobudżetowym” w dziejach polskiego kina. W zamian jednak Antczakowi udało się uzyskać zgodę na kręcenie na terenie pałacu w Łańcutu, co było pierwszym takim przypadkiem w naszym kraju. Do tego sporo ujęć powstało na zamku w Książu na Dolnym Śląsku, którego pomieszczenia doprowadzono do porządku... siłami ekipy filmowej.

Nie obyło się jednak bez problemów, a jednym z najważniejszych był odtwórca roli Augusta II, Marcin Dmochowski. Ten ogromny mężczyzna (blisko 2 m wzrostu) bał się bowiem koni, a scenarzysta przewidywał kilka scen z udziałem wierzchowców. Reżyser namówił go jednak na kilka lekcji jazdy konnej, co nie przyniosło efektów. Chociaż bowiem na planie dostał bardzo łagodnego wierzchowca,



WINNETOU ZAKAZANY, BO „RASISTOWSKI”

Niemieckie wydawnictwo Ravensburger Verlag wycofało część książek z serii „Winnetou”. W tym kraju pojawiło się bowiem wiele dyskusji w sieci o tym, że książki niemieckiego pisarza – Karola Maya – powielają rasistowskie stereotypy mające korzenie kolonialne. „Nigdy nie było naszą intencją zranienie uczuć innych ludzi tymi tytułami. Nasi redaktorzy intensywnie pamiętają o takich tematach jak różnorodność czy przywłaszczanie kulturowe” – zakomunikowało wydawnictwo.

FOT. AP ARCHIVE/LINE TEXT BILDARCHIV/EAST NEWS

EUTANAZJA, CZYLI POMOC

Pewien weteran kanadyjskich sił zbrojnych, który cierpi na zespół stresu pourazowego (PTSD), szukał pomocy w rządowej instytucji Veterans Affairs Canada. Tam zaoferowano mu pomoc medyczną w formie gwarantującej pozbycie się wszystkich problemów zdrowotnych – eutanazję. Weteran się oburzył, a po nagłośnieniu sprawy przez media VAC przyznał, że sprawa „pomocy medycznej przy umieraniu” została niewłaściwie omówiona z mężczyzną.

UKARANI ZA BRZYDKIE ILUSTRACJE

Ilustracje przedstawiające dzieci w chińskim podręczniku dla szkół podstawowych – używanym od 10 lat – uznano za mało estetyczne. Dzieci mają np. małe oczy i wysokie czoła, stroją dziwne miny. Chińskie ministerstwo edukacji ogłosiło, że rysunki umieszczono w podręczniku przez „zaniedbanie obowiązków” i ukarano za to 27 osób z Ludowego Wydawnictwa Edukacyjnego, w tym jego prezesa.

STANY BEZ SKAZANYCH

Polski wątek w zagranicznej sprawie. Jak podał „SE”, Stany Zjednoczone odmówiły wydania wizy pracowniczej polskiej gwiazdzie estrady. Z tego powodu Beata Kozidrak nie mogła wystąpić na Festiwalu Polonaise w Arlington Heights w Chicago. Otóż USA może odmówić wizy, gdy wnioskujący ma na koncie prawomocne skazanie za przestępstwo. A tak się składa, że pani Beata została skazana za przestępstwo prowadzenia pojazdu pod wpływem alkoholu.

BÓJKA PILOTÓW

Tuż po starcie samolotu Air France – lecącego z Genewy do Paryża – dwóch pilotów pobiło się w kokpicie pasażerskiej maszyny. Interweniowała pozostała część załogi samolotu i do końca przelotu jedna osoba z personelu czuwała nad krewkami pilotami. Piloci zostali zawieszni w obowiązkach. Tuż przed tym incydentem francuska agencja bezpieczeństwa lotniczego BEA opublikowała raport wskazujący, że niektórzy piloci Air France nie przestrzegają procedur bezpieczeństwa. © ©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Niemcy się boją. **Bardzo**

Tak złych nastrojów w Niemczech jak obecnie nie było od bardzo dawna. Wskaźnik nastrojów GfK na wrzesień wyniósł –36,5 pkt wobec –30,9 pkt miesiąc wcześniej. To najgorszy wynik od 1991 r., odkąd takie dane są gromadzone. Według badania Deutsche Forschungsgemeinschaft nastroje konsumentów są najgorsze co najmniej od 2005 r. Pesymistami są też niemieccy przedsiębiorcy, a z raportów IFO wynika, że większy pesymizm w tej grupie badanych panował jedynie w kwietniu 2020 r. (gdy świat drżał przed pandemią COVID-19) oraz w grudniu roku 2008, czyli podczas

globalnego kryzysu gospodarczego. Bardzo źle wygląda też indeks Instytutu ZEW, ilustrujący nastroje niemieckich finansistów, który przyjął najniższą wartość od 2011 r.

Przyszłość w czarnych barwach widzą również niemieccy politycy, którzy bardzo mocno się boją, że zimą w ich kraju zabraknie gazu. Od 1 września władze nakazały więc niemieckim obywatelom myć ręce zimną wodą oraz pływać w nieogrzewanych basenach.

Niemieccy kierowcy wpadli również w panikę tuż przed końcem sierpnia. Na stacjach benzynowych ustawiały się tego dnia gigantyczne kolejki, ponieważ

1 września skończył się trzymiesięczny okres obowiązywania odpowiednika polskiej tarczy antyinflacyjnej, a nakładane na paliwa podatki wróciły do dawnej wysokości. Zgodnie z przewidywaniami od 1 września cena paliwa wystrzeliła w górę. Na wielu stacjach przekracza już poziom 2 euro (9,43 zł) za litr. Zdaniem analityków może zaś przebić granicę 3 euro (14,1 zł) za litr.

Strach Niemców to zła wiadomość dla Polaków. Stracić mogą zwłaszcza firmy eksportujące towary za Odrę. To zaś zwiększa ryzyko głębokiej recesji nad Wisłą i zmiany trendu na rynku pracy. © ©

Ukraina w planach Putina



Maciej Pieczyński

Rosja jest właściwie gotowa do aneksji zarówno terenów podbitych po 24 lutego, jak i donbaskich „republik”, których niepodległość wcześniej sama uznała. Jednak niepowodzenia na froncie i brak poparcia ludności sprawiają, że referendum w tej sprawie jest ciągle odkładane na później

Pod koniec sierpnia armia ukraińska rozpoczęła jednak kontrofensywę w obwodzie chersońskim. Sama stolica obwodu w momencie publikacji tego numeru „Do Rzeczy” może już być wyzwolona lub być areną ciężkich walk. W tych warunkach przeprowadzenie pseudoreferendum w sprawie przyłącze-

nia do Rosji może być mocno utrudnione. Jeśli odbędzie się w planowanym terminie 11 września, to okupanci będą prawdopodobnie chodzić od domu do domu z przenośnymi urnami do głosowania, aby zapewnić sobie frekwencję wśród mieszkańców, którym trudniej będzie odmówić udziału. Kreml jest technicznie,

ideologicznie i organizacyjnie gotowy do przeprowadzenia głosowania w sprzyjających okolicznościach. Nie udało się zakładać początkowo „demilitaryzacja” i „denazyfikacja” całego kraju, czyli de facto jego podbój, ale te regiony Ukrainy, które Rosji udało się jak dotąd zająć, w planach Putina zajmują konkretne miejsce. Oto, jakie są te plany.

WŁADZE OBWODU

Po 24 lutego Putin zdjął hybrydowe białe rękawiczki, aby uderzyć na Ukrainę z otwartą przyłbicą. Pomylił się, licząc, że Rosjanie zostaną powitani jak „wyzwoliciele”, a „kijowska junta” rozsypie się niczym domek z kart. To jednak nie oznacza, że Kreml nieodwracalnie odrzucił grę pozorów. Gdy stosunkowo szybko Rosjanie



FOT. KREMLIN.RU

ługańskich separatystów. Obwodami zaporoskim oraz chersońskim zarządzają odpowiednio Jewhen Balicki oraz Wołodymyr Saldo, byli lokalni działacze ugrupowań prorosyjskich. Saldo dodatkowo trzykrotnie wygrał wybory na mera Chersonia. W kremlowskich mediach te okupacyjne struktury przedstawiane są jako „władze obwodu”. Oczywiście legalne i reprezentujące interesy mieszkańców regionu. Gdy np. RIA Nowosti w tytule artykułu wspomina gubernatora obwodu chersońskiego czy zaporoskiego, zawsze ma na myśli przedstawiciela władz prorosyjskich. Mimo że Rosja nie kontroluje w stu procentach żadnego z regionów, poza ługańskim.

Zamiast republik są więc obwody. Te zaś Moskwa razem z istniejącymi od 2014 r. republikami postanowiła włączyć w skład Federacji Rosyjskiej, najlepiej na podstawie „referendum”, aby pokazać, że to sami mieszkańcy chcą do Rosji, a nie odwrotnie. O planach przeprowadzenia głosowania jako pierwsi informowali właśnie przedstawiciele kolaboracyjnych władz. Rzecz jasna, celem było stworzenie iluzji, że to inicjatywa „wyzwolonych” spod „nazi-stowskiej okupacji” rosyjskojęzycznych Ukraińców. „Gubernator obwodu zaporoskiego podpisał dekret o przeprowadzeniu referendum” – informowała agencja RIA Nowosti. Kolaboranci z administracji obwodu chersońskiego zaproponowali, by głosowanie przeprowadzić równocześnie we wszystkich obwodach. W ługańskiej Republice Ludowej w połowie lipca ogłoszono utworzenie sztabu przygotowującego referendum. O podobnych planach poinformowano w Donieckiej Republice Ludowej. Rosja okupuje również niewielkie obszary obwodów charkowskiego i mikołajowskiego. W tych przypadkach referendum nie wchodziło i nie wchodzi w grę. Część obwodu mikołajowskiego administracyjnie podlega władzom okupacyjnym w Chersoniu. Z kolei rosyjski namiestnik na Charkowszczyźnie otwarcie przyznał, że zbyt mała część regionu została „wyzwolona”, by urządzać tam głosowanie.

Już pod koniec kwietnia niezależny rosyjski portal Meduza pisał o przygotowaniach do aneksji. Według informatora z bliskiego otoczenia Kremla już w połowie maja miały się odbyć referenda w sprawie przynależności DRL i ŁRL do Rosji oraz w sprawie utworzenia – wtedy jeszcze poważnie rozważanej – Chersońskiej RL. Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło. W końcu stanęło na tym, że zarów-

W każdym obwodzie, którego chociaż skrawek ziemi okupują rosyjskie wojska, Rosjanie utworzyli administracje cywilno-wojskowe

no republiki, jak i zajęte obwody mają o swoim losie zdecydować 11 września, czyli w tzw. jednym dniu głosowania, kiedy to w wielu regionach Rosji odbędą się wybory do władz samorządowych.

Według informacji Meduzy w połowie lipca na zajętych terenach obwodów chersońskiego i zaporoskiego okupanci przeprowadzili wewnętrzny sondaż, który miał dać prawdziwą odpowiedź na pytanie o skalę poparcia dla Moskwy. Za przyłączeniem do Rosji opowiedziało się mniej więcej 30 proc. pytanych. Taki sam był odsetek zwolenników pozostania obwodów w granicach Ukrainy. Pozostali respondenci nie mieli zdania. Biorąc pod uwagę fakt, że odpowiadali na pytania przedstawicieli okupanta, nieomal pod lufami karabinów, wyniki nie są dla Moskwy zadowalające.

NIEBEZPIECZNA KOLABORACJA

Rosjanie zajęli teren, stłumili opór, ale entuzjazmu dla swojego panowania nadal nie potrafią wywołać. Znaleźli się kolaboranci chętni na eksponowanie na stanowiska, ale generalnie miejscowi nie palą się do pracy w administracji okupacyjnej. I to nie tylko z powodów ideowych, patriotycznych, lecz także pragmatycznych. Nie wiadomo przecież, jak długo Rosjanie będą panować na zajętych po 24 lutego terenach, a w przypadku ewentualnego wyzwolenia kolaboranci odpowiedzą za zdradę. Współpraca z okupantem już teraz może być niebezpieczna. Partyzanci polują na kolaborantów, organizują zamachy na członków komisji, przygotowujących referenda. Sprowadzani są urzędnicy z Rosji. Zarówno z powodu braków kadrowych, jak i w ramach przygotowań do aneksji.

Gdy w maju władze na Kremlu ustalały orientacyjną datę 11 września, były przekonane, że już na długo przed tym terminem pod okupacją znajdzie się cały obwód doniecki, co pozwoli spokojnie przygotować referendum. Kolejny raz jednak Putin nie docenił oporu Ukraińców. O tym, jak niepowodzenia na froncie

zajęli niemal cały obwód chersoński wraz ze stolicą, coraz głośniejsze mówiło się o planach powołania na tym właśnie terenie nowej republiki ludowej. Jednak nastroje proukraińskie okazały się zbyt silne, a skala kolaboracji zbyt mała, by mieć pewność, iż taki scenariusz nie skończy się propagandową kompromitacją. Chersońska Republika Ludowa pozostała jedynie w sferze medialnych spekulacji. Rosjanie nie udają, że budują nowe „państwa”. W każdym obwodzie, którego chociaż skrawek ziemi okupują, utworzyli administracje cywilno-wojskowe. Na ich czele stoją miejscowi Ukraińcy, co ma podkreślić „wyzwoleniczy” charakter „operacji specjalnej”.

Szef charkowskiej administracji Witalij Hanczew to były pułkownik ukraińskiej armii, który w 2014 r. przeszedł na stronę

wpłynęły na korektę planów, pisała 18 sierpnia Meduza, powołując się na informatorów z administracji prezydenta. Otoczenie Putina bardzo nie chce po raz kolejny zmieniać terminu referendum. Przedstawiciele prorosyjskich administracji obwodów zaporoskiego i chersońskiego oraz dwóch republik ludowych już podpisali stosowne dokumenty, a na terenach okupowanych rozpoczęła się już kampania billboardowa zachęająca do głosowania. Dlatego pojawił się pomysł, by np. przyłączyć do Rosji tylko 60 proc. obwodu donieckiego (czyli tyle, ile Rosjanie zajęli), a potem dalsze tereny anektować już bez referendum.

Rozważane jest też przeniesienie głosowań na zimę. Z nadzieją, że do końca roku przynajmniej obwód doniecki będzie w całości okupowany, a resztę zdobyć terytorialnych uda się obronić. Prorosyjskie władze zaczęły nawet przygotowywać mieszkańców do takiego scenariusza. Przywódca ŁRL Leonid Pasiecznik oświadczył, że referendum w jego republice odbędzie się dopiero po „wyzwoleniu” całości obwodu donieckiego. Tymczasem Daria Garmonienko z „Niezawisimej Gazety” zauważa, że właśnie region ługański jest najlepiej przygotowany do realizacji głosowania. Obwód w całości znajduje się pod kontrolą Rosji, jest też odpowiednio przygotowany aparat państwowy. Również wiceszefowa chersońskiej administracji Jekaterina Gubariewa w programie Sołowiowa opowiedziała się za organizacją jednego referendum dla wszystkich obwodów dopiero po „wyzwoleniu” całości ich terytoriów.

wyższe stanowiska w okupacyjnej administracji, zajmowane dotychczas przez miejscowych, coraz częściej są przejmowane przez urzędników przywiezionych z Rosji. Ci ostatni nazywani są „Waregami” – przez analogię do skandynawskiego ludu, którego władca według autora „Powieści minionych lat” został zaproszony przez wschodniosłowiańskie plemiona do panowania nad nimi. Kreml nie ufa kolaborantom, woli, żeby finanse dla zdobytych terenów przechodziły przez ręce swoich, a nie obcych. Co prawda, praca na terenach przyfrontowych jest niebezpieczna, ale do brze płatna – w Donbasie nawet dwa razy więcej niż w Rosji. Ponadto to może być również szybka ścieżka kariery. Łatwiej być zauważonym i docenionym na terenach okupowanych – tam skupia się bowiem większość uwagi władcy Kremla, ostatnio zainteresowanego bardziej Ukrainą niż sytuacją wewnętrzną.

WATAŻKOWIE SPOD CIEMNEJ GWIAZDY

Wiele wskazuje na to, że swoje stanowiska stracić mogą również przywódcy ludowych republik – Denis Puszylin i Leonid Pasiecznik. Wiadomo bowiem, że dopóki te parapaństwa były formalnie niezależne, dopóty ich separatystyczne władze nie tylko nacjonalizowały wszystko, co się da, ściągając de facto haracz z mieszkańców, lecz także rozkładały pomoc finansową z Rosji. Gdy republiki z czarnych geopolitycznych dziur przeobrażą się w podmioty Federacji Rosyjskiej, Moskwa nie będzie powierzać

– Mariupolem, Kraj Chabarowski – Debalcewem, obwód nowosybirski – powiatem biełowodzkim w obwodzie ługańskim. Przedstawiciele rosyjskich regionów w parlamencie otrzymają natomiast zadanie zharmonizowania prawa w Rosji i na nowo zaanektowanych terenach.

Wołodimir Zełenski zapowiedział, że jeśli Moskwa przeprowadzi referenda, to zamknie w ten sposób możliwości rozmów z Kijowem. Trudno sobie również wyobrazić, aby Zachód takie działania zaakceptował. Jeśli w ogóle dojdzie do głosowania, to przybliżone wyniki znane są już teraz. Putin ogłosi, że absolutna większość mieszkańców „wyzwolonych od nazizmu” terenów zadecydowała o „ponownym zjednoczeniu” z Rosją. Ponownym, bo przecież władca Kremla nie uznaje odrębności narodu ukraińskiego. Znamienna jest jego opinia, którą miał wygłosić w toku dyskusji nad hasłem promującym referendum. Ludzie Kirijenki opracowali koncepcję „Nowej Rosji”, zgodnie z którą kremłowska propaganda przekonywałaby, że nowe ziemie ubogacą i wzmocnią kraj. Putinowi takie ujęcie tematu się nie spodobało. Bo jego zdaniem Rosja nie zdobywa niczego nowego, tylko „odzyskuje” to, co do niej należało. Dlatego też mieszkańcy okupowanych terenów agitowani są przez okupantów hasłami „Razem z Rosją” oraz „Jeden naród”. I nawet jeśli większość z nich nie pójdzie do urn, to i tak „oficjalny” wynik będzie dla Putina satysfakcjonujący.

Pozostaje przeszkoda militarna. Ukraińcy coraz śmielej atakują tyły wroga w obwodzie chersońskim czy na Krymie. Linia frontu jednak od dłuższego czasu jest w miarę stabilna. Trudno sobie wyobrazić, że w ciągu kilku najbliższych miesięcy Ukraińcy odzyskają dostęp do Morza Azowskiego, nie mówiąc już o praktycznie nierealnym odbiciu Krymu. Ale również trudno sobie wyobrazić przeprowadzenie referendum nie tyle pod lufami automatów, ile pod ostrzałem przeciwnika. Nawet jeśli Rosjanie zdecydują się zorganizować głosowania w części, a nie w całości obwodów, mogą one w wielu miejscach po prostu nie dojść do skutku. Może być też tak, że już po przeprowadzeniu referendum dana miejscowość, która zdążyła się „wypowiedzieć” – rzecz jasna, na korzyść Rosji – została wyzwolona przez Ukraińców. A i perspektywa zbliżającej się ofensywy Sił Zbrojnych Ukrainy z pewnością może zadziałać demobilizująco, nawet na te ok. 30 proc. mieszkańców, którzy rzekomo pragną być Rosjanami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na zajętych terenach Kreml nie jest na tyle zakorzeniony, by przeprowadzić niebawem referendum, ale za to czuje się na tyle pewnie, by zaplanować odbudowę ze zniszczeń wojennych

O tym, że Rosja jest zdeterminowana, by anektować okupowane tereny, świadczy to, jakiej komórce Administracji Prezydenta FR powierzono kuratelę nad nimi. Do kwietnia funkcję tę sprawował wiceszef AP Dmitrij Kozak, odpowiadający m.in. za współpracę przygraniczną czy kontakty międzyregionalne. Obecnie kuratorem ziem okupowanych jest inny wiceszef AP – Siergiej Kirijenko, kierujący wydziałem polityki wewnętrznej. Tym samym niepodległość ludowych republik, w której obronie formalnie Putin rozpoczął „operację specjalną”, przestała istnieć. Ponadto

swoich pieniędzy na odbudowę regionów lokalnym watażkom spod ciemnej gwiazdy. Przepływy finansowe będą bardziej kontrolowane przez okupanta.

No właśnie – na zajętych terenach Kreml nie jest na tyle zakorzeniony, by przeprowadzić niebawem referendum, ale za to czuje się na tyle pewnie, by zaplanować odbudowę ze zniszczeń wojennych. Putin zadecydował, że za odtworzenie infrastruktury będą odpowiadać konkretne regiony rosyjskie (jest ich ponad 40). Między innymi Moskwa „zaopiekuje się” Donieckiem i Ługańskiem, Petersburg

Dolina Poległych – świętych i zbrodniarzy



Małgorzata Wołczyk
z Hiszpanii

Z niewielkim ryzykiem można wysunąć tezę, że nie ma w Europie miejsca, które prowokowałoby więcej kontrowersji i kłótni niż to, które oglądać można u stóp najwyższego na świecie krzyża, wpisanego zresztą do Księgi rekordów Guinnessa z racji swych spektakularnych rozmiarów. Czy to miejsce czeka zniszczenie?



Dzięki ogromnemu krzyżowi opactwo benedyktyńskie w Dolinie Poległych widoczne jest z odległości kilkudziesięciu kilometrów, co z kolei doprowadza lewicę hiszpańską do okresowych ataków furii. Nic w tym dziwnego – zapiekłym ideologom wszystko się wciąga z generałem Franco kojarzy, a już zwłaszcza krzyż – symbol Męki Pańskiej. Wystarczy 40 minut jazdy autem z Madrytu w północno-zachodnim kierunku, aby ujrzeć na tle gór Sierra de Guadarrama sylwetkę krzyża idealnie wkomponowaną w pejzaż. To miejsce jest jednak sącząca się raną narodową Hiszpanii i – jak nieskromnie zakładam – jestem jedyną w Polsce osobą (lub jedną z kilku), która ma kwalifikacje odpowiednie, aby o niej opowiadać. Odwiedziłam to miejsce dwukrotnie, od paru lat utrzymuję serdeczny kontakt z przeorem bazyliki – o. Santiago Canterą – i zgromadziłam sporą literaturę przedmiotu.

Każdy rzetelny artykuł o Dolinie Poległych powinien zaczynać się od zdania: wszystko, co zazwyczaj czyta się o niej, to stek kłamstw i manipulacji, które narzuciła lewica hiszpańska, pisząc na nowo historię kraju. Nieważne zatem, czy o ekshumacji mumii Franco z bazyliki pisała przed trzema laty „Rzeczpospolita” czy „Wyborcza”, mogliśmy przeczytać te same bzdury, które prezentowały nam podręczniki do historii w latach komunizmu. W ostatnim czasie w Hiszpanii ukazały się książki i publikacje, które na bazie otwartych archiwów, dokumentów i świadectw ludzi epoki wykazały fałsz propagandy o Dolinie Poległych jako „mauzoleum faszystowskim” powstałym w „reżimie klerykalnym”.

Socjalistyczno-komunistyczny rząd Hiszpanii nie może się jednak pogodzić z prawdą, więc sam pracowicie utrwała czarną legendę, a mainstream europejski ją powiela. Wszystko po to, aby stworzyć uzasadnienie dla zburzenia krzyża, wygnania wspólnoty benedyktynów, zdemolowania bazyliki i przekształcenia jej w jakieś nieokreślone „Muzeum pamięci demokratycznej” (czytaj: demokracji ludowej na modłę obecnej koalicji, czyli rządzącej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej z Partią Komunistyczną i Podemos).

KONIEC Z KŁAMSTWAMI!

Również w Polsce, zwłaszcza przez „postępców” ślepo ufających zachodnim publikacjom, powtarzane jak mantra są te same kłamstwa. Pora wreszcie się z nimi rozprawić:

1) Dolina Poległych NIE została zbudowana jako „grobowiec faraonów” dla gen. Franco, co więcej – ten nawet nie planował, aby spoczęły tam jego doczesne szczątki, bo myślał o skromnym grobie rodzinnym. Za sprawą decyzji króla Juana Carlosa pośpiesznie poczyniono prace, aby pochówku dokonać w bazylice, w skromnym grobie z jedynym napisem: „Francisco Franco”. Żadnych formuł pochwalnych, żadnego „Generalísimo”, choć przecież był zwycięzcą wojny, dyktatorem, fundatorem bazyliki.

Przeznaczenie kompleksu było bowiem zupełnie inne: wystarczy znać dekret erekcyjny z 1957 r., który ustanowił Fundację Świętego Krzyża Doliny Poległych, a już w pierwszym akapicie, po przywołaniu „ewangelicznego przebaczenia”, stwierdza się wyraźnie, że „musi to być pomnik wszystkich poległych, nad których ofiarą triumfuje krzyż pokoju i przebaczenia”. Dolina Poległych jest więc miejscem narodowego pojednania, a nie jakimś „mauzoleum”. Jak mówi mi przeor Cantera: „Choć prawdą jest, że została zbudowana przez zwycięzców, to idea wskazuje na pojednanie, a rolę wspólnoty benedyktyńskiej jest codzienna modlitwa za poległych z obu stron konfliktu: narodowców i republikanów. Modlimy się zresztą za wszystkie ofiary pochowane też na innych cmentarzach Hiszpanii. Codziennie prosimy też o pokój”. (Od czasu agresji rosyjskiej przeor Cantera wielokrotnie informował mnie, że mnisi nie ustają w modlitwie o pokój na Ukrainie).

Nie ma na świecie innego miejsca, które leczy narodową ranę w sposób tak godny i zjawiskowy artystycznie. Źródła podają, że Franco już w czasie wojny mocno przeżywał to pęknięcie w narodzie. W końcu sam był wcześniej republikańskim generałem, dlatego absolutny priorytet miała dla niego idea pogodzenia kraju, w którym brat zabijał brata, sąsiad – sąsiada, a parafianin gwałcił zakonnicę lub zadawał księżom tortury, jakich nie znało gestapo.

Lewica, zwłaszcza od czasu premiera Zapatero, żywi się jednak konfliktem, wskrzeszaniem demonów wojny i dlatego od kiedy jest u władzy, szuka pomsty za przegraną wojnę. Solą w oku jest więc dla niej Dolina Poległych, choć już w chwili powstania pomnika cały cywilizowany świat, a nawet media wrogie dyktaturze, tj. „The New York Times”, docenił wyjątkowy gest: „Generał Franco zaoferował gałązkę oliwną pokoju milionom Hiszpanów, którzy w latach 1936–1939 walczyli u boku pokonanego rządu republikańskiego”.



Przeor bazyliki, o. Santiago Cantera

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

Ktokolwiek miał okazję zwiedzić to wyjątkowe miejsce, musi pozostać pod wrażeniem nie tylko monumentalnego pejzażu, lecz także sakralnej atmosfery, którą przez dekady stworzyli mnisi benedyktyńscy. Ani majestatyczny, choć ascetyczny, kościół wykuty w skale, ani tym bardziej jego otoczenie nie mają nic z „mauzoleum”. Urzekają nadzwyczajny spokój, cisza i świadomość, że każdego dnia mnisi modlą się w intencji wszystkich ofiar wojny. Trzeba dodać, że mnisi prowadzą też „escolanía”, czyli szkołę chorału gregoriańskiego dla chłopców, która odnosi spore sukcesy, zapewniając im kształcenie, internat, a ich rodziny spędzają tam mnóstwo czasu w rodzinnej atmosferze.

2) Nie, Dolina Poległych absolutnie NIE została wzniesiona „niewolniczą, przymusową pracą więźniów politycznych”. To jedna z największych bzdur, która krąży w przestrzeni publicznej. Pracowali tam zarówno zwykli robotnicy, jak i więźniowie, którzy nawet biegali o przeniesienie do Doliny, bo każda dniówka skracala wyrok (po paru latach pracy okazywało się, że z wyroku 30 lat zostawało im pięć, które „odsiedzieli”, pomagając przy budowie). Co więcej, przez 19 lat trwania prac tylko przez siedem lat pracowali tam więźniowie, i to nie tyle „polityczni”, ile skazani za „zbrodnie krwi”, czyli mordy i tortury. Zwyczajowa liczba więźniów oscylowała wokół 20 tys., ale propaganda krzyczy, że było ich 200 tys. Nie wspomina też nic o tym, że mieli zagwarantowane dni wolne, urlop zdrowotny, czasem otrzymywali też jakieś skromne kieszonkowe, a rodziny mogły ich odwiedzać.

3) Nie, nie jest prawdą, że przy wykonywaniu bazyliki w skałach „zginęły tysiące więźniów”. Oficjalne dane wahają się od 14 do 26 zgonów jako następstw nieszczęśliwych wypadków. Zresztą niestety we wszystkich kopalniach tamtego okresu ludzie zmagali się z pyłicą, która w dłuższej perspektywie spowodowała śmierć 70 osób tam pracujących.

4) Kłamstwa dotyczą też źródła finansowania kompleksu. Franco od początku nie brał pod uwagę obciążania budżetu państwa po stratach wojennych. Budowę sfinansowano z reszty Funduszu Sił Narodowych. Ponadto co roku 5 maja organizowano specjalną loterię, aby dokończyć budowę. Oczywiście było wiele datków od osób prywatnych.

PONIŻENIE PO ŚMIERCI

Kampanię oszczerstw na temat Doliny Poległych rozpoczęto dekady temu, od kiedy lewica narzucała narrację. To miało też ułatwić barbarzyński akt ekshumacji i profanacji zwłok gen. Franco 24 października 2019 r. (zdarzenie opisałam w „Do Rzeczy” nr 44/2019). Całe to brutalne w formie i treści zdarzenie transmitowano w hiszpańskiej telewizji publicznej jako zwycięstwo demokracji nad faszyzmem, a polskie media pilnie kopiowały ten entuzjastyczny ton rozprawienia się z generałem, który notabene uratował katolików hiszpańskich od systematycznej zagłady, a samą Hiszpanię od losu satelickiej republiki sowieckiej, do której przygotowywali ją republikanie dowodzeni przez radykalne skrzydło komunistów i socjalistów.

O samym procedurze „wygrzebania” z ziemi mumii Franco, przy którym nie było już kamer, a pozwolono asystować zaledwie paru osobom, też wiem z bezpośredniej relacji świadka, ale niestety nie wolno mi ujawniać zatrważających detali.

Proceder zresztą obfitował w poniżanie nie tylko zmarłego przed 44 laty naczelnika kraju, lecz także jego najbliższej rodziny, której roszczeń do decydowania o miejscu pochówku zmarłego nie uznał żaden trybunał. Francis Franco, wnuk dyktatora, oświadczył, że po przeniesieniu zwłok służby rządowe zamknęły ich w krypcie grobowca w Mingorrubio, pod pretekstem „sprawdzenia”, czy nie nagrali ceremonii na telefonach. „Zamknęły drzwi i nie wypuszczali” – żalił się. Jeśli ekshumacja Franco, przeprowadzona w tak barbarzyński sposób, wywołała ból i gorycz wielu katolików oraz wszystkich przyzwyczajonych ludzi, to niestety stało się to

przy niepojętej zgodzie Watykanu i hierarchów hiszpańskich, którzy zamilkli w tak newralgicznym czasie. Zresztą to już znana przypadłość obecnej hierarchii Kościoła hiszpańskiego: milczenie lub uległość. (Próbowałam uzyskać zgodę na wywiad w tej sprawie z sekretarzem episkopatu czy arcybiskupem Madrytu, ale konsekwentnie odmawiano mi tego zaszczytu).

JAKA JEST PRAWDA?

Pora jednak uczciwie omówić racje drugiej strony i błędy poczynione przez prawą stronę, które mszczą się na niej do dziś. Wielu katolików hiszpańskich uważa, że decyzja Franco o pochówku przywódcy Falangi – José Antonio Primo de Rivero (z którym zresztą wybitnie nie sympatyzował) – była ogromnym błędem. Zarzuty o przekształcenie Kościoła w mauzoleum odwiedzane przez faszystów hiszpańskich mają więc pewną podstawę i tzw. rojos (czerwoni) mają powody, by odrzucać pomnik pamięci, gdy honorowe miejsce zajmuje w nim zamordowany przez nich jeszcze przed wybuchem wojny znienawidzony José Antonio.

Jakkolwiek pamiętać trzeba, że faszyzm hiszpański był na tyle wyjątkowy, że faszyści – jak to się zwykło mawiać – szli zwartym szykiem w pielgrzymkach do sanktuariów.

Przed wszystkim jednak w roku wybuchu wojny domowej falanga miała znikome poparcie w wyborach (0,7 proc.), więc nie można utożsamiać strony narodowej z faszystami. Zdarza się, że w Dolinie schodzą się czciciele falangi, ale przeor bazyliki nie pozwala na obecność jej symboli czy flag. Mnie samej jako Polce trudno jest zaakceptować gest uniesionej dłoni w salucie faszystowskim, który, owszem, zabroniony jest w Niemczech czy we Włoszech, ale nie w Hiszpanii. Trudno też zaakceptować wiele faktów o współpracy między frankistami a Hitlerem (zwłaszcza prym wiódł tu szwagier Franco, jego pronazistowski minister – Ramón Serrano-Súner). Gdy się czyta o wspólnych rozmowach, fetach na cześć Himmlera w Barcelonie w 1940 r., trudno zrozumieć tę kordialność arcykatolików z nazistami, choć oczywiście Hiszpania do końca zachowała neutralność i nie uległa żądaniom Hitlera przystąpienia do wojny.

Szokiem dla przeciętnego patrioty polskiego, który przywykł szanować frankistów jako pogromców komunistów i wroga Rosji, może być ten fragment z rzetelnie wydanej w 2006 r. serii centro-

wego wówczas „El Mundo” poświęconej frankizmowi: „Mimo tęsknoty za pokojem preferencje gazet hiszpańskich są jasne: uważa się, że Hitler swoją interwencją w Polsce odparł agresję, której załazek tkwił w niesprawiedliwym traktacie wersalskim. To rząd brytyjski jest winny wmanewrowania Polski do wojny, aby pod pretekstem pomocy Polakom zaatakować Niemcy. Dzienniki chwalą Niemcy za to, że są „krajem totalitarnym i hierarchicznym”, w którym decyzje podejmowane są nieubłaganie, bez tej niestabilności charakterystycznej dla demokracji. [...] Wbrew pozorom nie ma w Hiszpanii krytyki inwazji ZSRS na Polskę 17 września 1939 r.”

To dlatego również dziś większość frankistów kibicuje Rosji i uważa, że jak zwykle w historii świata wszystkiemu winni są synowie Albionu i Jankesi, którzy sprowokowali biedną Rosję. Cokolwiek by mówić o odmianie „katolickiej” faszyzmu hiszpańskiego, zachowuje ona charakterystyczny rys – bardziej niż komunistów czy masonów nienawidzą demokracji liberalnej.

WIDMO ZNISZCZENIA

Jeśli zakusy rządu Pedra Sáncheza, aby zniszczyć to miejsce i przekształcić w rodzaj lewicowego „parku tematycznego”, jeszcze się nie zmateriałyzyowały, to – jak mówi mi przeor Cantera – stało się to paradoksalnie „dzięki” pandemii, która wstrzymała ferwor zniszczenia. Niestety, w lipcu Kongres zatwierdził Ustawę o pamięci demokratycznej, która czeka na decyzję senatu w celu ostatecznego zatwierdzenia. Lewica świętuje niedawne głosowanie, a centrum i prawica oplakują otwarcie starych blizn, zaleczonych przy Transición, na której przecież wzorowała się w pewnym stopniu Polska w 1989 r. Ustawa wywołała polityczne trzęsienie ziemi, a deputowany VOX Francisco J. Contreras powiedział, że to „wskrzeszanie ducha Kaina”. Przy wielu orwellowskich – jak się mówi – zapisach tej ustawy wymierzona jest też w Dolinę Poległych. Krótko mówiąc – zniszczy ją, i to nie tylko bazylikę i jej przestrzeń sakralną, lecz także zdemontuje największy na świecie krzyż. Zaczyna się ekshumacje zmarłych w celu identyfikowania republikańskich ofiar dyktatury, a więc demolowanie ścian bazyliki, w których złożone są 34 tys. ofiar hiszpańskiej wojny domowej z obu stron konfliktu (niektóre szacunki mówią o 60 tys.). Kościół uznał już 66 z nich za

męczenników, a trzy kolejne czekają na uznanie. Jest też ponad 40 Sług Bożych, których proces beatyfikacyjny jest w toku, dlatego ten kościół już zowią „bazyliką męczenników”. Takie „grzebanie” wśród relikwii lub ich profanacja w celu wydobycia innych zmarłych muszą oburzać katolików. Procesy gnilne naruszyły drewniane skrzynie, a kości zmarłych się przemieszały, jest więc niemal niemożliwa ekshumacja indywidualnych osób, choć obiecuje to nowe prawo.

Ustawa spowoduje wygnanie mnichów benedyktyńskich, opiekunów bazyliki od 1958 r. Nastąpi zmiana nazwy na Dolinę Cuelgamuros (od nazwy miejsca). Tak oto socjalistyczno-komunistyczny rząd „wygra” wojnę domową po 83 latach od jej zakończenia. Przeor Santiago Cantera (ur. 1972 r., były profesor uniwersytecki, mediewista, teolog) jest jednak wybitnym przykładem Bożego człowieka. Skromny, cichy, szczupłutki, a zawsze ogromnego ducha i odwagi. Zwykle z figlarnym uśmiechem na twarzy, bo optymizm i dobroduszość to jego znak „firmowy”. Mimo przejść z obecnym rządem zachowuje jak zawsze wiarę w opiekę Protektora silniejszego od wszystkich liderów tego świata.

Warto na koniec zacytować opinię „statystycznego” katolika, choć ta Hiszpanka jest akurat wyjątkową panią profesor o sporych zasługach dla Kościoła, ale chce pozostać anonimowa:

„Urodziłam się w Madrycie w 1954 r., dorastałam niejako obok Doliny, więc jestem świadoma jej roli jako miejsca pojednania.

Pięćdziesiąt lat później wywołuje we mnie uczucie smutku, z jednej strony z powodu zaniedbań arcybiskupstwa Madrytu w odrestaurowaniu wspinających dzieł sztuki oraz odmowy obrony samego istnienia tego miejsca zgody narodowej.

Stało się tak, ponieważ polityka zajęła miejsce, którego wcześniej tu nie miała. Z jednej strony lewica wciąż wskrzesza Franco i skłóca naród, otwierając zabliznione rany, a z drugiej skrajna prawica podnosi największe larum w obronie bazyliki, powołując się na katolicyzm, którego większość nie praktykuje, ale bierze tylko na sztandary. Z tego powodu arcybiskupstwo zachowuje postawę zdystansowaną, aby przypadkiem nie zostać zakwalifikowanym do obozu »faszystów«, zapominając, że bazylika nie rozumie polityki i że większość pielgrzymów, którzy tam idą, szuka po prostu modlitwy i pokoju”.



Teresa Stylińska

Chociaż w samej Wielkiej Brytanii monarchii nic nie zagraża, bo zwolennicy republiki są nieliczni i więcej niż słabi, to w wielu z tych krajów Commonwealthu, w których głową państwa pozostaje brytyjska królowa, nastroje republikańskie przybierają na sile

Widać to doskonale zwłaszcza na Karaibach, gdzie – jak zauważył Gaston Browne, szef rządu Antigui i Barbudy – każda z miejscowych monarchii chce stać się republiką, a także po drugiej stronie globu, w Australii. Jej nowy premier Anthony Albanese, lider Partii Pracy, choć rządy sprawuje zaledwie od końca maja, to już zdążył powołać pełnomocnika ds. republiki.

Republikanizm w Commonwealcie – Wspólnocie Narodów, skupionej wokół Wielkiej Brytanii, dawnej metropolii kolonialnej – nie ma jednej przyczyny. Australijscy antymonarchiści odwołują się do rygorystycznie pojmowanej idei suwerenności. Czy to dobrze, pytają, że na czele państwa stoi ktoś – dziś królowa Elżbieta, jutro król Karol – kto rezyduje na końcu świata, w Londynie? Czy Australia powinna obchodzić urodziny monarchy, który jest od niej odległy? Czy powinna być podporządkowana Wielkiej Brytanii w sferze szeroko pojmowanej kultury? Na przykład w prezentowaniu historii z punktu widzenia Brytyjczyków, a nie Aborygenów. Oczywiście, że nie.

W Australii oczekiwania narzuca teraźniejszość. Na Karaibach jest inaczej. Liczy się przeszłość i to w niej należy doszukiwać się źródła nastrojów republikańskich. Zwolennicy ustanowienia republiki jak jeden mąż wypominają Brytyjczykom krzywdy, których ich przodkowie doznali w czasach kolonialnych. Na takie pojmowanie wzajemnych stosunków ewidentnie wpłynął ruch Black Lives Matter, który nie tylko wydobył na powierzchnię wszelkie żale, lecz także ułatwił sprecyzowanie oczekiwań: Brytyjczycy powinni nie tylko przeprosić za przeszłość, lecz także poczuwać się

Księżę i księżna Cambridge w marcu obecnego roku odwiedzili Belize, Jamajkę i Bahamy. Członkowie rodziny królewskiej nie zabierają głosu na temat aspiracji republikańskich państw Commonwealthu, bo jest to poza zakresem ich uprawnień

FOT. SAMIR HUSSEIN/POOL/WIREIMAGE/GETTY IMAGES



Na drodze do republiki

do wypłacenia odszkodowań. Bo bez dochodów z kolonii Wielka Brytania nie stałaby się przecież potężna i bogata.

PIĘTNAŚCIE MONARCHII

Republikańskie zamiary niektórych państw Commonwealthu nie stały się jednak tematem szczytu tej organizacji, który odbył się pod koniec czerwca w Kigali, stolicy Rwandy. Premierzy państw Wspólnoty skoncentrowali się na jej sprawach wewnętrznych, wśród których jak zwykle

dominowały kwestie ekonomiczne. Nawet wojna ukraińska i związane z tym zagrożenie brakiem żywności, szczególnie w Afryce, nie były pierwszoplanową kwestią, przynajmniej w wymiarze oficjalnym (bo trudno sobie wyobrazić, by nie poruszano jej w kuluarach). Trend republikański, jeśli w międzyczasie przybierze na sile, to musi cierpliwie czekać na następny szczyt za dwa lata.

Commonwealth, przypomnijmy, skupia głównie, choć nie wyłącznie dawne

kolonie brytyjskie. Pole współpracy stanowi przede wszystkim gospodarka, nawet jeśli Wspólnota musi niekiedy wkroczyć na inne pola, wtedy zwłaszcza, gdy wynikają konflikty lub gdy któreś z państw członkowskich narusza standardy demokracji. Do Wspólnoty, po sfinalizowanym w Kigali przyjęciu Togo i Gabonu (które nie były koloniami brytyjskimi), należy 56 państw. W 15 z nich, na czele z Wielką Brytanią oczywiście, głową państwa jest brytyjska królowa Elżbieta II. W tym gronie są trzy kraje duże i ważne – Kanada, Australia i Nowa Zelandia; reszta to niewielkie państewka Karaibów i strefy Pacyfiku, żyjące głównie z turystyki, rolnictwa i sprzedawania obywatelstwa.

Pożegnanie z monarchią to temat jeszcze nie gorący, ale już zauważalny za sprawą dwóch wydarzeń. Pierwsze to zmiana ustroju Barbadosu, który ogłosił się republiką w listopadzie ubiegłego roku, przecierając drogę potencjalnym następcom. Drugie – niedawna wizyta księcia Williama i jego żony Kate w trzech państwach karaibskich: Belize, Jamajce i Bahamach. Podróż obfitowała w sytuacje bardzo dla gości kłopotliwe, nie brakowało też niedopracowanych punktów programu, trudno się zatem dziwić, że uznano ją za prawdziwą katastrofę. Władze Jamajki i Belize, nie zważając na rangę gości i okoliczności (podróż odbywała się w ramach uczczenia w całym Commonwealcie platynowego jubileuszu królowej), nie wprost wprowadziły, ale czytelnie dały do zrozumienia, że mają poważne republikańskie plany. Tylko na Bahamach temat się nie pojawił.

Na domiar złego przebieg podróży tylko zaoznił nastroje. Bo choć książę William wyraził ubolewanie z powodu niewolnictwa i kolonializmu, to gdy angielscy plantatorzy z Karaibów bogacili się dzięki pracy niewolników, nie wystąpił z formalnymi przeprosinami i nie obiecał odszkodowania – jak oczekiwali gospodarze. Ruch BLM uciłł dziś wprawdzie i nie wyprowadza już ludzi na ulice, przeorał jednak sferę ducha, kształtując oczekiwania mieszkańców dawnych kolonii.

WIELKA IMPERIALNA RODZINA

Katalizatorów republikanizmu jest zatem wiele, działa też jednak czynnik o potencjale hamującym: to królowa Elżbieta. Politycy z aspiracjami repu-

blikańskimi – podszytymi być może osobistymi ambicjami, bo rola prezydenta bywa kusząca – mogą się hamować dopóty, dopóki Elżbieta żyje. Formalnie jest ona głową Wspólnoty, choć w pełnienu obowiązków od paru lat wyręcza ją książę Karol. Nie o to jednak chodzi. Dla królowej Commonwealth nie jest pustym słowem. Ci, którzy ją znają, twierdzą, że dawne brytyjskie kolonie są równie drogie jej sercu jak sama Wielka Brytania.

Elżbieta dała temu wyraz już bardzo dawno temu, w dniu swych 21. urodzin, zanim jeszcze wstąpiła na tron. „Całe swe życie, czy będzie ono długie czy krótkie, poświęcę służbie dla was i dla wielkiej imperialnej rodziny, do której wszyscy należymy” – powiedziała, a fakt, że deklaracja ta padła nie w Londynie, a w Kapsztadzie, przydał jej wyrazistości.

Przy okazji jubileuszu 70-lecia wstąpienia Elżbiety na tron te słowa stały się przypominano, kładąc nacisk na słowo „służba” – bo ono najlepiej pokazuje, jak monarchini pojmuje swe miejsce w życiu kraju i narodu. Tymczasem nie mniej ważne jest odniesienie do „wielkiej imperialnej rodziny”. W 1947 r., gdy księżniczka Elżbieta wygłaszała swe credo, imperium brytyjskie dopiero zaczynało się rozpadać. Imperialną rodzinę łączyły z Wielką Brytanią więzy o wiele mocniejsze niż dzisiaj, z drugiej jednak strony o wiele silniejsze były także siły odśrodkowe. Żadna, nawet najbardziej szczerza i gorąca deklaracja nie mogła tego procesu powstrzymać. Chociaż jednak przez ostatnich 75 lat rodzina imperialna radykalnie się zmieniła, to w luźnej formie Wspólnoty – której początki sięgają 1926 r. – istnieje przecież nadal. A zaangażowanie królowej, choć nie odgrywa ona roli politycznej, było, w opinii znawców tematu, nie bez znaczenia.

Ani królowa, ani członkowie rodziny nie zabierają głosu na temat aspiracji republikańskich państw Commonwealthu. Nie mogą wyrażać dezaprobaty czy choćby tylko rozczarowania, bo jest to poza zakresem ich uprawnień. Mogą jedynie obserwować, co się dzieje, i życzyć republikom – zarówno świeżo powstałym, jak i potencjalnym – sukcesów na nowej drodze. Tak też czynią. Królowa, w depeszy gratulacyjnej do Sandry Mason, pierwszej prezydent Barbadosu, życzyła mieszkańcom nowej republiki „szczęścia, pokoju i dobrobytu”. Książę Karol zaś, który osobiście brał udział w uroczysto-

ści zaprzysiężenia pani Mason, zgodnie z duchem czasu podkreślił, iż „niewolnictwo to plama na brytyjskiej historii”.

GŁOSOWANIE W CIEMNO

Do 2030 r. w regionie Karaibów powstanie osiem nowych republik, bo wszystkie karaibskie monarchie z Commonwealthu zdetronizują królową – twierdzi Ronald Sanders, ambasador Antigui i Barbudy w USA. W ten sposób, zauważa, zniknie anachronizm, jakim jest brytyjski monarcha w roli suwerena. Dodajmy, że ponieważ chodzi o państewka bez większego, poza turystycznym, znaczenia, decyzja każdego z nich to raczej ciekawostka i przejaw trendu niż wydarzenie, które może wpłynąć na losy regionu.

Co ciekawe, z sondaży przeprowadzanych na Barbadosie w czasie, gdy ukonstytuowała się republika, wynika, że większość mieszkańców nie widziała potrzeby jej wprowadzenia. Gdyby zdecydowano w referendum, Barbados być może byłby nadal monarchią. Dodajmy, że jedyne jak dotąd karaibskie referendum w sprawie wprowadzenia republiki, które w 2009 r. odbyło się w Saint Vincent i Grenadynach, przyniosło wynik negatywny.

Tak samo zakończyły się przymiarki w Australii. W referendum z 1999 r. 55 proc. Australijczyków opowiedziało się za monarchią. Republikanie pocieszają się, że ponieśli porażkę tylko dlatego, że nie sprecyzowano, jak zorganizowana będzie republika, jak wybierany będzie prezydent i jakie uzyska on uprawnienia. Obywatele głosowali więc w ciemno, bez wiedzy, jak ma wyglądać przyszłość.

Premier Anthony Albanese, aktywista prorepublikański, na pewno zadba o to, by nie popełniono tego samego błędu. Tempo, w jakim wprowadził ideę republiki do programu działań rządu, pokazuje, jak bardzo leży mu to na sercu. Z badań opinii publicznej wynika zresztą, że republikańców w Australii przybywa. Rozstanie z monarchią akceptuje już ponad 60 proc. pytanym. Czy zatem na drodze do republiki Australia może wyprzedzić państwa karaibskie?

Jest jeszcze jeden aspekt: odejście królowej. Nierazadka jest opinia, że ból i żałoba po jej śmierci mogą znacząco podnieść przywiązanie do monarchii. Choć może być i tak, że wraz z nią odejdzie ostatni łącznik – zarówno monarchia, jak i wspólna przeszłość. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Detailing

– kraina
wielkich
możliwości



– Detailing to specyficzny sektor usług. Robimy coś wyjątkowego, coś, dzięki czemu auta naszych klientów są inne, wyjątkowe, coś, co zachwyca, ale detailing to nie tylko estetyka. To także zabezpieczanie samochodu na przyszłość, czyli bardzo dobra inwestycja – mówi Maciej Souczek z Souczek Detailing

Miesiące przygotowań i... stało się. Souczek Detailing od kilku tygodni ma nową siedzibę. Przeprowadzka dała wam w kość?

Mało powiedziane! Zdecydowaliśmy, że zrealizujemy przeprowadzkę bez przerywania działania firmy. Przeprowadzaliśmy się po godzinach albo w nielicznych wolnych chwilach i muszę przyznać, że wolałbym szybko tego nie powtarzać. Na szczęście nie będzie takiej potrzeby, bo nowa siedziba jest idealna. Wszystko działa dokładnie tak, jak to sobie zaplanowaliśmy, a nawet lepiej.

Projekt był bardzo odważny. Wszystko się sprawdza?

Oczywiście. Mierzyliśmy wysoko, ale po tak wielu latach w branży doskonale wiedzieliśmy, co jest nam potrzebne. Najlepszym strzałem okazało się oczywiście podzielenie hali na oddzielne sekcje. VIP myjnia, oklejanie i detailing. Każda czynność odbywa się w optymalnych warunkach, a absolutna sterylność przestrzeni oklejania samochodów, np. foliami do zmiany koloru czy foliami ochronnymi PPF, pozwala osiągnąć optymalny efekt nawet w przypadku najbardziej skomplikowanych prac.

Nowa siedziba to zrealizowane marzenie. Co dalej?

To oczywiste. Idziemy dalej. Od dłuższego czasu współpracujemy np. z marką GSWF, czołowym producentem folii ochronnych na świecie. Mój plan to stworzenie jedynej, na ten moment, autoryzowanego centrum marki. Wspólne szkolenia, możliwość pokazania klientom na żywo, jak działa folia ochronna, możliwość wycinania na ploterze wykrojników i sprzedaż innym firmom. To wszystko przed nami. Pod marką GSWF będziemy także, już wkrótce, jednym z niewielu w Polsce studiów oferujących zmianę koloru auta za pomocą folii ochronnych. Metamorfoza i ochrona w jednym. Idealne rozwiązanie. Ciągłe pracujemy także nad rozwojem naszej linii powłok ceramicznych GENESIS. GENESIS SYMPHONY, GENESIS HARMONY i GENESIS KRYPTONITE – powłoka do zadań specjalnych. Z nową linią kosmetyków ruszamy na podbój Polski, a później Europy.

Nowa siedziba, nowa marka. Maciej Souczek potrafi siedzieć beczynninie?

Potrafi siedzieć beczynninie, ale nie potrafi stać w miejscu. Potrzebuje ciągłego rozwoju. Może dlatego tak bardzo pociąga

mnie detailing. To dążenie do doskonałości. W każdym detalu.

A niepewna sytuacja na rynku? Rosnące ceny powodują, że wielu z nas ogranicza wydatki. Ten trend widać także w detailingu?

Powiem tak: wiele obiecywaliśmy sobie po nowej siedzibie, ale efekt przerósł nasze oczekiwania, także pod względem liczby nowych klientów. Nasz kalendarz jest zapisany na dwa miesiące w przód. Docierają do mnie sygnały, że są firmy, które nie mają podobnej stabilizacji, ale ja nie martwię się o przyszłość, bo detailing to specyficzny sektor usług. Robimy coś wyjątkowego, coś, co zachwyca, ale detailing to nie tylko estetyka, lecz także zabezpieczanie.

Inwestycja?

I to dobra. Inwestujemy w nasz samochód, w jego idealny stan. Każdy, kto choć odrobinę interesuje się motoryzacją, wie, że lakiery, którymi pokrywane są dziś nowe auta, nie mają odporności swoich poprzedników. To samo dotyczy tapicerki. Jeśli nie zadbasz o lakier czy tapicerkę swojego nowego auta dziś, to bardzo szybko zobaczysz efekty. Na szczęście mamy folie ochronne i powłoki ceramiczne, które dają nam znacznie więcej niż tylko doskonały efekt wizualny. Zachowanie auta, możliwe najdłużej, w idealnym stanie to inwestycja, dlatego jestem dobrej myśli, jeśli chodzi o przyszłość detailingu, a w szczególności firm, które dobrze wykonują swoją pracę. Takich jak Souczek Detailing.



SOUCZEK
DETAILING

**LUKSUSOWY
SALON
PIELEGNACJI
I PERSONALIZACJI
AUT**



**NAJWIĘKSZE METAMORFOZY
W POLSCE!**

Średnia 21, 25-650 Kielce



Piotr Włoczyk

Rosja przekonuje cały świat, że świetnie sobie radzi z sankcjami. W rzeczywistości jednak wielki program „zastąpienia importu” okazuje się niewydolny, kolejne sektory gospodarki dogorywają, a inżynierowie muszą sięgać po rozwiązania z lat 80.

Lada Granta to marzenie milionów Rosjan i hit sprzedaży koncernu AwtoWAZ. Do wiosny to miejskie auto było wyposażone w systemy bezpieczeństwa i udogodnienia, które uważane są za standard w dzisiejszej motoryzacji. Inwazja na Ukrainę i potężne zachodnie sankcje sprawiły jednak, że Granta niemal z dnia na dzień cofnęła się pod względem wyposażenia o kilka dekad. Zniknęły poduszki powietrzne, ABS, napinacze pasów bezpieczeństwa, a silniki zamiast normy Euro 4 spełniają już tylko limity wyznaczone przez wprowadzoną w latach 90. normę Euro 2 (rosyjskie władze tuż po inwazji obniżyły standardy emisji spalin, by ratować swój przemysł motoryzacyjny).

Pod koniec sierpnia AwtoWAZ ogłosił wprawdzie, że znów będzie montował w grantach poduszki powietrzne, ale eksperci nie mają wątpliwości, że to tylko punktowy „sukces” i bez zachodniego wsparcia rosyjscy producenci samochodów będą zmuszeni produkować auta w technologii niewiele w gruncie rzeczy różniącej się od schyłkowego Sojuza.

„Musimy produkować jak najwięcej naszych popularnych, tanich aut. Takich, których produkcja nie zależy od komponentów pochodzących z importu – ogłosił Maksym Sokołow, prezes AwtoWAZ. – Aby osiągnąć ten efekt, nasza firma – wraz z federalnymi oraz lokalnymi władzami – aktywnie angażuje się w rozwijanie konkurencyjności rosyjskich dostawców części”. Równocześnie jednak Sokołow przyznał, że sankcje



Rosja zgniatana sankcjami



Ukrainę zakład ten dawał zatrudnienie przeszło 3 tys. ludzi.

OSZCZĘDZAJCIE HAMULCE

Nie lepiej jest w branży lotniczej, która z tych samych powodów również znalazła się na krawędzi. Dotyczy to nie tylko produkcji, lecz także serwisowania maszyn, które już latają w barwach rosyjskich linii lotniczych.

W świecie awiacji głośno było ostatnio o nietypowym zaleceniu, które dostali rosyjscy przewoźnicy powietrzeni: oszczędzajcie hamulce i podczas lądowania połączcie raczej na odwróconym ciągu silników. W specjalnej instrukcji dla pilotów ujęto to dyplomatycznie: „Proszę zwracać uwagę na przejściową politykę oszczędzania paliwa i bardziej ekonomicznego wykorzystania zasobów samolotowych”. Z kolei kontrolerzy lotów zostali poproszeni o uwzględnienie tych wytycznych w lotniskowych grafikach, by maszyny miały nieco więcej czasu na lądowanie.

Oleg Prichodko, zastępca szefa największego rosyjskiego związku zawodowego pracowników lotnictwa, uspokajał po tym komunikacie, że w żaden sposób nie wpływa on na bezpieczeństwo podróży. „Jeżeli pas startowy jest wystarczająco długi, naprawdę nie trzeba używać hamulców. Samolot tak czy inaczej zatrzyma się na końcu pasa, czy to na skutek użycia hamulca aerodynamicznego, odwróconego ciągu, czy jeszcze innych rzeczy. Tu po prostu chodzi o racjonalne wykorzystanie dostępnych zasobów” – powiedział Prichodko.

Jurij Borisow, do lipca tego roku rosyjski wicepremier, który odpowiadał za sektor lotniczy w Rosji, stwierdził, że jeżeli sankcje nie zostaną zniesione, to branża ta może się cieszyć zachodnimi samolotami – a te stanowią zdecydowaną większość rosyjskiej floty samolotów cywilnych – maksymalnie pięć lat. Potem kanibalizacja części zamiennych doprowadzi do kompletnego uziemienia wszystkich maszyn.

Na razie wygląda na to, że „uziemia” – i to na długo – zostanie też słynna już Armata, którą Rosjanie od dekady straszili Zachód. T-14 miał być najnowocześniejszym czołgiem na świecie, który miał być zabójcą Abramsów i Leopardów. Pokazana publicznie po raz pierwszy na paradzie w Moskwie w 2015 r. Armata

poważnie skomplikowały produkcję aut. Prezes AwtoWAZ nie byłby zresztą w stanie pudrować rzeczywistości, ponieważ suche statystyki mówią same za siebie.

W lipcu wyprodukowano w Rosji 19 tys. samochodów osobowych, co stanowi ledwie 20 proc. produkcji z lipca 2021 r. Gdy wiosną Władimir Putin łąał szefów rosyjskich firm motoryzacyjnych za 90 proc. spadek liczby wytwarzanych samochodów, zobowiązał ich do błyskawicznego naprawienia tej sytuacji. Jak widać, nawet groźby ze strony prezydenta Rosji nie były w stanie poprawić statystyk. Zatrzymanie dostaw zachodnich

komponentów dusi rosyjską motoryzację i wszystko wskazuje na to, że w przyszłym roku tamtejszą branżę samochodową czeka prawdziwa katastrofa. O ile bowiem Chińczycy z chęcią sprzedają Rosjanom gotowe samochody, o tyle nie palą się już tak do przekazywania komponentów i technologii, obawiając się wtórnych sankcji Zachodu.

Dramatyczny spadek produkcji aut musiał się w końcu skończyć masowymi zwolnieniami pracowników AwtoWAZ. Kierownictwo firmy ogłosiło właśnie, że jest zmuszone pożegnać się z 90 proc. pracowników wielkiej fabryki w Iżewsku. Tymczasem przed inwazją na

FOT. ADBE STOCK

■ miała mieć ogromną przewagę nad przeciwnikami przede wszystkim w czasie nocnych walk. Rosjanie podkreślali, że zaprojektowany w latach 70. Abrams nie będzie miał żadnych szans w starciu z ich potężnym T-14.

Minister obrony Siergiej Szojgu ogłosił rok temu, że w 2022 r. ruszy seryjna produkcja armat. Tak się jednak nie stanie. Olbrzymie zakłady Uralwagonzawod w Niżnym Tagile nie mają po prostu w magazynach wystarczającej liczby zaawansowanych komponentów, by ruszyć z seryjną produkcją „superczołgu” Putina. Okazuje się, że bez zachodnich części nowoczesne rosyjskie uzbrojenie nie ma szans pojawić się na liniach produkcyjnych.

W rosyjskich siłach zbrojnych problem ten dotyczy również marynarki wojennej, której program modernizacji także zagrożony jest przez zachodnie sankcje. Wielka stocznia we Władywostoku już ogłosiła, że w związku z „problemami gospodarczymi” musiała wstrzymać prace nad dwoma nowoczesnymi okrętami raketowymi, ale brak dostępu do kluczowych komponentów zmusił też stocznię do przerwania budowy dwóch tankowców.

PIRACKIE PROGRAMY

Olbrzymim problemem dla całego rosyjskiego przemysłu, z którym bardzo trudno będzie sobie poradzić, jest odciecie tego kraju od zachodniego oprogramowania. Komputery sterujące skomplikowanymi procesami technologicznymi w rosyjskich fabrykach od kilku miesięcy odcięte są od aktualizacji. Dotyczy to również perły w koronie rosyjskiej gospodarki, czyli branży naftowej.

Jak przyznał niedawno wiceminister energetyki Paweł Sorokin, w sektorze naftowym rodzime oprogramowanie stanowi zaledwie 10 proc. W czasie wystąpienia na tegorocznym Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Petersburgu Sorokin podkreślił też, że poza palącym problemem z oprogramowaniem zagrożeniem dla produkcji ropy i gazu jest też odciecie od specjalistycznych maszyn. „Bardzo wyrafinowane oprogramowanie do badań sejsmicznych, modelowania warstw, wiercenia i szczelinowania hydraulicznego nie będzie potrzebne, jeśli nie będziemy mieli sprzętu niezbędnego do przeprowadzenia tych procesów” – powiedział Sorokin.

Problem z oprogramowaniem najbardziej dotkliwy jest dla rosyjskich elektrowni atomowych. Rosatom – ope-

rator tych siłowni – ogłosił właśnie, że przejście na rodzime oprogramowanie będzie absolutnym priorytetem i stanie się to do 2024 r. Generalnie jednak rosyjska gospodarka będzie miała olbrzymi problem z przestawieniem się na własne oprogramowanie. Różnica w jakości tych produktów jest bowiem olbrzymia.

Zakłady Uralwagonzawod nie mają wystarczającej liczby komponentów, by ruszyć z seryjną produkcją Armaty, czyli „superczołgu” Putina

„Rosyjskie odpowiedniki w tej dziedzinie są znacznie słabsze, a potrzeby są ogromne – powiedziała »Bloomberg« Elena Semenowskaja, analityczka International Data Group zajmująca się Rosją. – Na razie jednak strategia opiera się na piractwie i przestarzałych kopiach, co jest ślepą uliczką i nie jest bezpieczne”.

Sami Rosjanie widzą, że ogłoszony szumnie przez Kreml plan „zastępowania importu” nie ma dużych szans na powodzenie. Andriej Kliszas, przewodniczący komitetu Rady Federacji ds. ustawodawstwa konstytucyjnego, przyznał niedawno, że ten program „całkowicie się nie powiodł”.

„Poza brawurowymi raportami wydziałów sektorowych nie ma nic. Nasi obywatele widzą to zarówno w towarach konsumpcyjnych w sklepach, jak i w wielu innych obszarach” – napisał Kliszas w mediach społecznościowych.

CÓRKA PUTINA NA ŁOWACH

Aby ratować rosyjską gospodarkę przed utonięciem, Władimir Putin postanowił zaangażować własną córkę. W lipcu 35-letnia Katerina Tichonowa została wyznaczona przez Rosyjski Związek Przemysłowców i Przedsiębiorców na wiceprzewodniczącą specjalnej rady nadzorującej „zastępowanie importu” oraz do koordynowania „importu równoległego” (omijanie sankcji). Chodzi o decyzję Kremla z marca, która przewiduje ściąganie koniecznych produktów z zagranicy również bez zgody ich producentów. Tichonowa ma także nadzorować wytworzenie w Rosji zamienników produktów, których w żaden sposób – nawet drogą okrężną przez kraje trzecie – nie będzie

można sprowadzić do kraju. Mowa m.in. o technologiach podwójnego przeznaczenia, na które bardzo liczy rosyjska armia.

Jest to zadanie iście tytaniczne, jeżeli będziemy pamiętali, że Rosja pobiła wszelkie rekordy pod względem restrykcji eksportowych. Grupa analityczna Castellum, której eksperci śledzą sankcje nakładane na różne państwa świata, obliczyła, że o ile do 24 lutego tego roku Rosja została obłożona 2697 sankcjami, o tyle po inwazji liczba ta wzrosła do blisko 12 tys. Państwo to stało się tym samym najbardziej ukaranym gospodarczo państwem w historii, zostawiając daleko w tyle Iran (3,7 tys. sankcji), Syrię i Koreę Północną (odpowiednio 2,6 tys. oraz 2,1 tys.).

Niewiele wskazuje, by misja córki Putina zakończyła się sukcesem. Mimo przechwałek Kremla, że Rosja jest sankcjoodporna, jej gospodarka w rzeczywistości wykrwawia się w coraz szybszym tempie.

Lipiec przyniósł pierwsze naprawdę dramatyczne – z punktu widzenia Putina – dane na temat kondycji rosyjskich finansów. O ile Kreml utrzymuje, że bezrobocie cały czas jest właściwie na takim samym poziomie, to jednak w lipcu wpływy z podatku dochodowego zanotowały potężne tąpnięcie – w porównaniu z zeszłym rokiem wpływy z tego tytułu były mniejsze o jedną trzecią. Jeżeli wszyscy wciąż mają pracę, to skąd takie dane?

Chociaż sankcje faktycznie nie uderzyły w Rosję tak szybko, jak to przewidywało początkowo wielu ekspertów, to jednak upadek rosyjskiej gospodarki jest coraz bardziej widoczny.

W opublikowanym w lipcu raporcie na temat skuteczności sankcji eksperci z Uniwersytetu Yale ocenili, że „rosyjska produkcja gwałtownie wyhamowała bez perspektywy na odrobienie strat biznesowych”, a kondycja rosyjskiego budżetu „jest w rzeczywistości w dużo gorszym stanie, niż to się powszechnie wydaje”. Ekonomisci z Yale uważają, że jeżeli Zachód nie ugnie się i utrzyma sankcje, to Rosja „nie ma szans zawrócić znad gospodarczej zapaści”.

„Pesymistycznie brzmiące nagłówki, przekonujące, że rosyjska gospodarka odbija się od dna, nie wytrzymują zderzenia z faktami. Te są jednoznaczne: pod każdym względem rosyjska gospodarka chyli się ku upadkowi i to nie jest czas, by naciskać hamulec” – piszą autorzy raportu, przekonując, że właśnie teraz należy wcisnąć sankcyjny „gaz” do dechy.

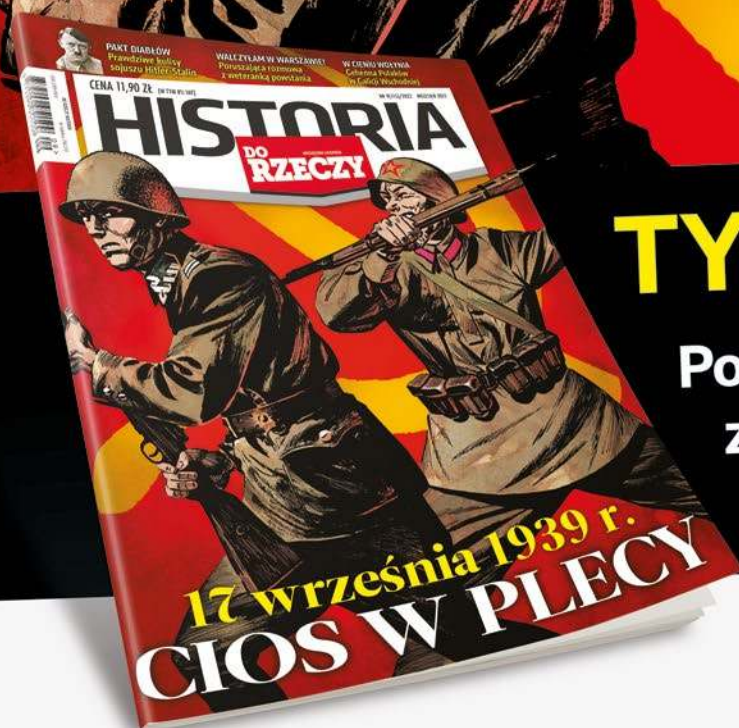
© 2022 Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Poruszająca rozmowa
z weteranką Powstania
Warszawskiego



- Ian Ona Johnson – Diabelski pakt Hitler-Stalin
Maciej Rosalak – Wojna Polski z Sowietami
Tomasz Stańczyk – Zbrodnie 17 września
Arkadiusz Karbowski – UPA kontra Węgrzy
Piotr Zychowicz – Ludobójstwo Polaków w Galicji
Sławomir Koper – Emila Plater bez retuszu
Leszek Lubicki – Zamach stanu Piastów
Rafał A. Ziemkiewicz – Paradoks Rockefellera

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Inflacja. 16 proc.
czy 3 proc.?

W odpowiedzi na zarzuty o za wysoką inflację w Polsce, kierowane pod adresem władz – rządu i NBP – zazwyczaj w odpowiedzi słyszymy: „A w ...” – tu pada nazwa któregoś z państw, przeważnie potężniejszego od Polski, w którym inflacja też nie jest dziś niska – „... również szaleje inflacja”, co ma wystarczyć za całe wyjaśnienie, dlaczego u nas jest tak źle.

No cóż, to oczywiście prawda, ale – jak to się mówi – „nie cała”. Rzecz jasna, dużo lepiej będzie wiadomo, w jakim stopniu jest to „niecała prawda”, dopiero za co najmniej kilkanaście miesięcy, gdy wszystkie dane – w odniesieniu do interesujących nas państw – będą już dostępne. Wszelako i bez tego już dziś wiemy, że istnieją państwa, także w Europie, które choć również borykają się z inflacją najwyższą od wielu lat, to jednak wciąż relatywnie niską – nieporównywalną z tą, z którą boryka się Polska. Choćby Szwajcaria, która w lipcu miała inflację na poziomie 3,4 proc., gdy Polska – 15,6 proc. (a dziś już 16,1 proc.). Albo Malta. Albo Chiny. Albo Japonia. Albo Arabia Saudyjska. A to – istnienie państw, które znacznie lepiej radzą sobie z inflacją – niezbitcie dowodzi, że nie ma niczego takiego jak inflacyjny czy wręcz hiperinflacyjny determinizm.

A to właśnie – istnieje nie owego inflacyjnego, a zwłaszcza hiperinflacyjnego determinizmu – próbują nam wmówić ci, którzy w Polsce – z beznadziejnym skutkiem – odpowiadają za poziom

inflacji i swą nieudolnością – zaniechaniami lub/i celowymi działaniami – przyczynili się i wciąż przyczyniają do jej tak wielkiego wystrzału. Starają się w ten sposób za wszelką cenę zrzucić całą winę z siebie, przerzucając ją a to na Putina i jego wojnę na Ukrainie, a to na UE i jej idiotyczną politykę klimatyczno-energetyczną.

A przecież gdyby nie niewątpliwy, twórczy wkład monetarno-fiskalnych władz Polski (rządu i NBP), także nas prześladowałaby inflacja nie taka – przekraczająca już 16 proc., lecz np. taka nieprzekraczająca 7 proc. – jak we Francji czy ledwo przekraczająca 6 proc. – jak na Malcie. Albo – ok. 8 proc. – jak w Niemczech.

A to przecież – choć wielu polityków windujących inflację na nienotowane u nas od ćwierćwiecza poziomy nie chce tego przyjąć do wiadomości – Polakom robi różnicę, i to wielką różnicę, czy muszą sobie radzić z inflacją w wysokości 8 proc. czy 16,1 proc.

Na – chwilowe – pocieszenie można jednak dodać, że twórczy wkład monetarno-fiskalnych władz Polski na razie nie zaowocował wzrostem naszej inflacji ponad 20 proc., jak to już się stało w Estonii, na Litwie i na Łotwie. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, bo przecież nasza machina monetarno-fiskalna wciąż pracuje na najwyższych obrotach: Rada Polityki Pieniężnej już przebąkuje o końcu podwyżek stóp procentowych NBP, a rząd nie ustaje w zalaniu Polski strumieniami inflacyjnej gotówki. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Aborcja?
A co z TK?

Pamiętają państwo jeszcze słynne zdjęcie Donalda Tuska, wykonane w 2007 r., gdy Platforma walczyła o przejęcie władzy? W kadrze zmieścili się oboje państwo Tuski oraz ich córka Katarzyna. Centralne miejsce zajmuje stół, który wygląda jak mały ołtarzyk: duży krzyżyk i kilka świętych obrazków. Szkoda, że nikt nie zapytał o to zdjęcie przewodniczącego PO na Campusie Polska Przyszłości, ale cóż – większość publiczności w 2007 r. miała trzy, cztery lata.

W sprawach ideologicznych natomiast Platforma konsekwentnie dopycha do ściany Lewicę Włodzimierza Czarzastego

Ta dewocja jest już nieaktualna. Jeszcze rok temu przewodniczący PO krytykował Sławomira Nitrasa za sygnalizowanie zamiaru opiółowania katolików, a dzisiaj już sam wyciąga nie mały pilniczek, ale wielką piłę i przedstawia swoją partię na jednoznacznie lewicowej torze. I to w obu dziedzinach: gospodarki i światopoglądu.

W gospodarce Tusk i Trzaskowski dbają, żeby niczym nie różnić się od PiS. Wszyst-

kie korzyści socjalne mają być zachowane, a ludziom trzeba pomagać – zapewniał w czasie Campusu Polska Przyszłości Trzaskowski. To samo mówi Tusk, który jako jedyny sposób na inflację przedstawia pokonanie PiS i wyrzucenie Adama Glapińskiego z NBP. Od liberalizmu się wręcz odżegnuje.

W sprawach ideologicznych natomiast Platforma również konsekwentnie dopycha do ściany Lewicę Włodzimierza Czarzastego, który nie ma już właściwie czym oddychać. Najpierw PiS odebrał mu część socjalną jego programu, teraz PO odbiera część światopoglądową. Ten proces symbolicznie dokończył Tusk, deklarując na imprezie Trzaskowskiego, że na listach Platformy nie znajdzie się nikt, kto nie poprze postulatu aborcji na życzenie do trzeciego miesiąca.

Tusk zapomniał tylko, że zburzenie kompromisu aborcyjnego nastąpiło w wyniku wyroku TK. A ponieważ wyrok dotyczył jednego z wyjątków od zakazu dotychczasowego, więc tym bardziej można założyć, że trybunał zakwestionowałby proponowaną przez Tuska liberalizację. I to nie tylko ten, bo linia orzecznicza TK w tym względzie sięga trybunału jeszcze z czasów prof. Zolla. Być może więc kalkulacja jest taka, żeby ustawę zaproponować, a potem zwalić winę na TK za jej upadek. Wziąwszy pod uwagę Tuskową giętkość, nie byłoby to zaskakujące. ©

Biała flaga rządu dla programów mieszkaniowych



Piotr Hofman

Na rynek mieszkaniowy musimy patrzeć jak na jeden ze strategicznych obszarów gospodarczych państwa, takich jak komunikacja, energetyka czy zbrojeniówka. Bez mieszkań państwo nie będzie się w stanie rozwijać. Nadal będziemy mieć również poważne problemy natury demograficznej. Tymczasem można odnieść wrażenie, że rząd w kwestii strategii mieszkaniowej wywiesił białą flagę.

W Polsce według różnych szacunków brakuje ok. 2,5–3 mln mieszkań. Pod tym względem od lat jesteśmy na szarym końcu Unii Europejskiej. Jeśli chodzi o inne wskaźniki dotyczące rynku mieszkaniowego, tutaj również odstajemy od średniej unijnej. Do tego dochodzi kilka milionów uchodźców z Ukrainy, z których część zapewne w Polsce zostanie. Trzeba więc zrobić wszystko, by wzmocnić rynek mieszkaniowy.

SYSTEMOWE WSPARCIE

Żeby państwo mogło wspierać rynek mieszkaniowy, powinno wdrażać skuteczne programy. Pamięamy programy „Mieszkanie Plus” czy „Mieszkanie dla Rozwoju”. Trzeba sobie jednak jasno powiedzieć, że skończyły się one całkowitą klęską. Z zapowiedzi o wybudowaniu stu tysięcy mieszkań rocznie nie wyszło nic. Kolejny program, który miał dać impuls zwiększający możliwość zakupu mieszkań przez Polaków, program będący jednym z filarów Polskiego Ładu, czyli tzw. wspar-

cie dla wkładu własnego, podobną klapą zakończył się jeszcze szybciej niż poprzednie. Obecna wysokość stóp procentowych sprawia, że nikt w zasadzie nie jest w stanie z tego programu skorzystać.

Trudno nie odnieść wrażenia, że te niepowodzenia sprawiły, iż w kwestii strategii mieszkaniowej, która powinna być przecież jednym z najistotniejszych elementów polityki demograficznej, rząd wywiesił białą flagę. Nie ma pomysłu, nie ma kadr. To niedobrze.

SPADEK INWESTYCJI

O sensowną strategię mieszkaniową aż się prosi właśnie teraz, kiedy nie tylko branża deweloperska, lecz także cały sektor budowlany znalazły się na poważnym zakręcie. Najpierw pandemia, a teraz wojna za naszą wschodnią granicą, do tego najwyższa od dwóch dekad inflacja i radykalny wzrost cen materiałów budowlanych, nośników energii – to wszystko spowodowało zdecydowany spadek inwestycji mieszkaniowych w całym kraju. W pierwszym kwartale 2022 r. w stosunku do pierwszego kwartału 2021 r. nastąpiło zmniejszenie rozpoczynanych projektów budowlanych o 20 proc. O ok. 45 proc. spadła zdolność kredytowa przeciętnego Polaka. Ekspertcy prognozują, że do końca roku spadnie ona o ponad 50 proc. Już te dwa symptomy pokazują, że nie jest dobrze.

DŁUGOTRWĄŁE PROCEDURY

I tu jest miejsce dla odpowiednich działań rządu. Strategię mieszkaniową należałoby rozpocząć od zdecydowanego zwiększenia dostępności gruntów budowlanych, co niemal natychmiast spowoduje spadek ich cen, a także od radykalnego uproszczenia procedur administracyjnych. Spójrzmy na poniższy przykład.

Załóżmy, że kupiliśmy działkę nieobjętą miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego – ma ona ok. 5–8 tys. mkw., planujemy wybudować na niej budynek z 200 mieszkaniami. Roz-

poczynamy inwestycję w styczniu 2022 r. Na decyzję środowiskową czekamy minimum dziewięć miesięcy. Decyzja o warunkach zabudowy to kolejne dziewięć miesięcy. Następnie jest przygotowanie projektu, co trwa minimum cztery miesiące. Składamy wreszcie wniosek o pozwolenie na budowę – na rozpatrzenie tego wniosku są ustawowo dwa miesiące, ale nikt z nas w tak krótkim czasie pozwolenia nie dostał. Tutaj trzeba przyjąć minimum sześć miesięcy. To wszystko składa się na blisko trzy lata i to pod warunkiem, że na każdym z tych etapów obejdzie się bez protestów sąsiadów. Tyle trwa proces przygotowania inwestycji mieszkaniowej w Polsce. Ta przewlekłość procedur powoduje wyższe ceny mieszkań, bo odsetki za kredyt na zakup nieruchomości trzeba płacić. Dochodzą koszty projektu, przygotowania inwestycji, ubezpieczenia itp.

NASZE ULICE, WASZE KAMIENCE?

Tymczasem zamiast działań zmierzających w tym kierunku ustawodawca na siłę zaczyna wprowadzać ułatwienia dla rozwoju sektora instytucjonalnego wynajmu. Na siłę, bo ułatwienia te dedykowane są niestety pod wielkie zagraniczne podmioty – fundusze i grupy deweloperskie, które kapitałowo są w stanie prowadzić inwestycje pod kilkakrotnie wyższe koszty niż mieszkańcy na wynajem. To bardzo niebezpieczna droga, która może prowadzić do tego, że rynek wynajmu w Polsce zostanie całkowicie zdominowany przez zagraniczne podmioty. Mówiąc wprost, Polacy będą mieszkali niby u siebie, ale we własności należącej do obcego kapitału. Nie chcemy przecież powrotu hasła: „Nasze ulice, wasze kamienice”.

Sama idea rynku najmu instytucjonalnego jest oczywiście warta realizacji. Działania rządu powinny jednak zmierzać do wypracowania takiego modelu, który sprawi, że korzyści płynące z rozwoju tej gałęzi gospodarki przypadną w udziale przede wszystkim polskim inwestorom.

Podźwignęliśmy lasy po



Wojna sieje zniszczenie na każdym froncie. Najeźdźcy anektują kolejne tereny, w tym leśne, z których mogą zrabować cenne dobra. Zatrzymany wojną rozkwit polskiego leśnictwa jest już tylko przykrym wspomnieniem. Konsekwentna praca leśników zaowocowała podwojeniem powierzchni terenów leśnych

Gdy 1 września 1939 r. wybuchła druga wojna światowa, lasy pokrywają 22 proc. Polski. Kraj ma, co prawda, inne granice, a największe puszcze Wileńszczyzny, Polesia i Karpat 17 września zajmuje Armia Czerwona. Sowieci wysyłają pierwszym transportem polskich leśników na Sybir, Niemcy jedynie degradują. Obcy zwierzchnicy na czele administracji leśnej kierują się zasadą, by ciąć jak najwięcej.

– Okupanci zachowują się trochę jak w zamorskich koloniach. Z jednej strony deklarują, że Polski już nie ma, w częściach zostaje włączona do III Rzeszy i ZSRS, ale z drugiej prowadzą intensywną eksploatację, bo nie wiadomo, jak długo będzie im sprzyjała fortuna – wyja-

śnia obrazowo Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Drewno jest paliwem dla maszyny wojennej. W wydaniu niemieckim bardzo dosłownie – to za okupacji upowszechniają się samochodowe silniki na tzw. holzgaz, gaz drzewny, uzyskiwany w dołączanych do pojazdów generatorach. W samym dystrykcie warszawskim Niemcy wycinają ok. ośmiokrotnie więcej drewna, niż pozwalały na to przedwojenne plany.

Tak jak podczas każdego konfliktu i upadku władzy do niszczenia lasów przykładają ręce ludność cywilna. Wojenna nędza narusza hamulce moralne, ale nie bez znaczenia jest sytuacja wywołana przez wojnę. Kryzys ekonomiczny po-

tęgają drakońskie kontyngenty, reglamentacja i przerwane łańcuchy dostaw. Trudno w takich warunkach marznąć. Szczególnie podczas pierwszej okupacyjnej zimy, gdy temperatura spadła do rekordowych –40 st. C. Mieszkańcy przedwojennej Polski ruszają po opał.

W jednym z nadleśnictw na prawym brzegu Wisły pisano wówczas o „tysiącach kradzieży leśnych” i „wyrzebionych do cna drzewostanach”: „W tym dziele zniszczenia największą rolę odegrali mieszkańcy robotniczych osiedli, położonych przy cegielniach w Markach, Pustelniku itp.”.

– Trzeba mieć też świadomość, że podkrađając opał z lasów, Polacy nie mieli wyjścia i mogli robić to z przekonaniem, że to czyn na szkodę Niemców – interpretuje obecny zwierzchnik Lasów Państwowych.

O okolicach Warszawy wspominamy nie bez powodu, bo tutaj w 1944 r., a potem w zimowej ofensywie 1945 r. toczyły się wyjątkowo zażarte walki. Jak wyglądają podwarszawskie lasy na koniec wojny? Posłużmy się sprawozdaniem z kwietnia 1945 r.: „Lasy Nadleśnictwa Nieporęt



[rejon położony na północnym wchodzie od stolicy – przyp. red.] wskutek walk trwających przez pół roku i przebiegających przez nie frontu są w 50 proc. zniszczone. Całe drzewostany zostały wycięte, pozostawiono w lesie blisko metrowej wysokości pnie i wierzchy ściętych drzew. Z reszty drzew porobiono bunkry i zasieki. Poza tym lasy te są na trzech czwartych powierzchni zaminowane i wskutek tego niedostępne. Taki stan lasów, o ile nie nastąpi uprzątnięcie ich w najbliższym czasie, grozi inwazją owadów szkodliwych i wielkim niebezpieczeństwem pożarów leśnych. Gaszenie pożarów w warunkach, kiedy las jest zaminowany, a w lesie tym leży mnóstwo amunicji rozrzuconej, jest nie do pomyślenia.

W tym samym czasie w sąsiednim Nadleśnictwie Drewnica leśnicy szacują rosnące na pniu zasoby drzewne. I wychodzi im, że to... niespełna 10 proc. stanu z lat 30. To tak, jakby w lesie zostało tylko co 10. drzewo!

Ale to jeszcze nie koniec. Wokół Warszawy i wzdłuż linii Wisły stacjonuje mnóstwo

wojska. Żołnierze postępują w myśl zasady, że nie czas żałować róż, kiedy płoną lasy. Armia ze Wschodu drewnem się grzeje, buduje z niego mosty i... je przepija: „Drewno pobrane niechybnie przez wojsko z lasu państwowego znajduje nabywców, jako opał, pośród okolicznych spekulantów produkujących masowo nielegalnie bimbler” – tak w 1945 r. sprawozdawał nadleśniczy z podwarszawskiej Jabłonny.

– Wojenna sytuacja lasów niespecjalnie utrwała się w pamięci. I nic dziwnego. Ludność naszego kraju ucierpiała tak bardzo, zniszczone zostały całe miasta, fundamentalne dzieła kultury. Te zniszczenia przysłoniły straty przyrodnicze – wyjaśnia Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

W 1946 r. przeprowadzona została ogólnopolska akcja szacowania strat wojennych w polskich lasach. Przeprowadzono ją na ok. 85 proc. terenu kraju. Na skutek nadmiernej eksploatacji drzewostanów, degradacji gleb leśnych, zaniedbań sanitarnych itd. straty zostały wycenione na ok. 2,4 mld dolarów amerykańskich. Szkody pośrednie ówczesne Biuro Odszkodowań Wojennych oszacowało na ok. 2 mld dol. Łącznie więc, uwzględniając w tym również straty na Ziemiach Odzyskanych, wielkość szkód w polskich lasach sięgała ok. 5 mld dol.!

– Nikt nigdy tej kwoty nie zobaczył. A zniszczenia trzeba było naprawić. Koszty ponieśli Polacy i Lasy Państwowe – mówi Gzowski.

Ustalenia, które odbyły się ponad głowami Polaków, zmieniły granice naszego kraju. Nowa Polska była pokryta lasami w 20,8 proc.

– Owszem, utracone puszcze na wschodzie zrekompensowały nam lasy w Lubuskiem, na Mazurach i Pomorzu. Ale nie zapominajmy, że za te tereny zapłaciliśmy Sowiecom kontrybucję w węglu, za którego tonę płacili śmieszne 1,2 dol. – mówi szef Lasów Państwowych. – Urodziłem się i kilkadziesiąt lat przepracowałem na Górnym Śląsku. Tam dobrze o tym pamiętamy, a także o tym, że Sowieci, rabując wyposażenie zakładów przemysłowych, ogołocili też tartaki i zakłady drzewne.

Przez kolejne dekady powojenne trwała wielka akcja przywracania lasu. Bywały lata, że w skali kraju obsadzano 500 km kw. To półtora razy więcej, niż zajmuje obecny Kampinoski Park Narodowy (wtedy jeszcze zarządzany przez nadleśnictwo Lasów Państwowych). Drzewa trzeba sadzić w pośpiechu. Ogołocione.

Dziś Polska jest pokryta lasami w 29,6 proc. Ich powierzchnię udało się powiększyć o ok. połowę stanu wyjściowego z czasów zakończenia wojny. Ale wzrosła nie tylko powierzchnia pokryta drzewostanem, wtedy silnie przerzedzonym i młodym – od zakończenia wojny polskie lasy są starsze i jest w nich więcej drzew. Tę ogromną zmianę opisuje parametr określany jako zasobność – to liczba metrów sześciennych drewna na jednostce powierzchni. W 1946 r. w Lasach Państwowych było to 129 m sześć./ha. Obecnie zbliża się do 300 m sześć./ha. Przyjmując, że jedno leśne drzewo zawiera w sobie 0,33 m sześć. drewna, to w 1946 r. na każdego z mieszkańców naszego kraju wypadało ich 88. Dziś, choć liczba ludności wzrosła, jest to 162. Każde z tych drzew to stale zwiększający pojemność akumulator CO₂.

Polscy leśnicy zapłacili ogromną daninę krwi na frontach drugiej wojny światowej, a przede wszystkim angażując się w podziemny ruch oporu. Symbolem tej ofiary jest postać Adama Loreta, pierwszego dyrektora Lasów Państwowych. Aresztowany przez Sowieców wkrótce po ich wkroczeniu do Polski został zgładzony w niewyjaśnionych okolicznościach

Od zakończenia drugiej wojny światowej w lasach w zarządzie Lasów Państwowych nieprzerwanie prowadzi się gospodarkę leśną. Jedne drzewa się ścina, a w ich miejsce sadi kolejne. Las trwa. Jak to się dzieje mimo tego, że drewno jest stale użytkowane?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Pozyskując drewno, wystarczy nie przekraczać tej ilości, która przyrasta. My dzisiaj użytkujemy dwie trzecie rocznego przyrostu. Jego trzecia część zostaje w lesie i powiększa zasoby. Dla przyszłych pokoleń – wyjaśnia dyrektor Kubica.



Z prof. Bożeną Karolewicz,
prezesem Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: W ostatnich latach mamy do czynienia z wyzwaniami: pandemia COVID-19, wojna na Ukrainie. Pierwszy raz zobaczyliśmy, że z powodu przerwania łańcucha dostaw może okresowo brakować w aptekach leków. Czy te wydarzenia zmieniły akcenty, jeśli chodzi o politykę zdrowotną i politykę lekową w systemie bezpieczeństwa UE?

PROF. BOŻENA KAROLEWICZ: Strategia farmaceutyczna UE ma uniezależnić Europę od importowanych leków i substancji czynnych, a także rozwiązać problem wpływu ich wytwarzania na środowisko naturalne. Polityka lekowa pojawia się w europejskiej strategii farmaceutycznej jako filar systemu bezpieczeństwa. Ważne jest maksymalne zaspokojenie potrzeb terapeutycznych pacjentów, jednak akcenty zostały tak poprzesuwane, żeby wzmocnić konkurencyjność leków generycznych i biopodobnych. Dzięki temu można zapewnić pacjentom dostęp do leków wysokiej jakości, a jednocześnie przystępnych cenowo. Pacjent zyskuje możliwość stosowania leku, a jednocześnie mogą pojawić się oszczędności w systemie ochrony zdrowia. Mamy starzejące się społeczeństwo, dlatego obciążenie systemu ochrony zdrowia będzie się zwiększało.

W czasie pandemii uświadomiliśmy sobie, jak bardzo jesteśmy uzależnieni zarówno od importu produktów leczniczych, jak i substancji czynnych czy pomocniczych. Obecnie ok. 30 proc. leków wydawanych w apteczkę pochodzi z Polski.

Czy to dużo w porównaniu z innymi krajami?

Wszystkie kraje europejskie są uzależnione od rynków wschodnich, zwłaszcza jeśli chodzi o substancje czynne. Europejska strategia farmaceutyczna ma służyć temu, żeby budować bezpieczeństwo lekowe, przystosować systemy ochrony zdrowia do zmian, wspierać konkurencyjność producentów, zapewnić pacjentom większy dostęp do leków, reagować na sytuacje kryzysowe, dbać o bezpieczeństwo dostaw. Silny sektor leków generycznych sprzyja innowacyjności i temu, żeby bezpieczne, skuteczne i wysokiej jakości produkty lecznicze o nowych cechach funkcjonalnych były dostępne dla pacjentów, w celu zapewnienia prawidłowej opieki zdrowotnej.

Europejska strategia zakłada dziś wsparcie produkcji leków generycznych?

Leki generyczne i biopodobne zajmują ważne miejsce w strategii. Wzmocnie-

nie konkurencyjności w tych obszarach jest bardzo ważne, żeby zabezpieczyć potrzeby pacjentów. Trzeba równolegle wspierać innowacyjność we wszystkich gałęziach produkcji leków, zarówno oryginalnych, jak i generycznych.

Wytworzenie nowego, oryginalnego leku trwa wiele lat, wymaga ogromnych nakładów finansowych i nie zawsze kończy się sukcesem. Wspieranie badań i rozwoju w zakresie produkcji leków powinno obejmować prace nad lekami oryginalnymi, generycznymi oraz biopodobnymi. Takie podejście wyczerpuje oczekiwania polskiego systemu ochrony zdrowia, a także polityki Unii Europejskiej.

Są europejskie fundusze, z których pieniądze mają być przeznaczone na wsparcie projektów

Leki generyczne są często innowacyjne



FOT. ADRIAN STOK

badawczo-rozwojowych. To m.in. Fundusze Europejskie dla Innowacyjnej Gospodarki (2022–2027), z których mają być dofinansowywane innowacyjne projekty badawczo-rozwojowe. Czy z tych funduszy można wspierać produkcję leków generycznych w Polsce?

Oczywiście. Lek generyczny może być innowacją. Fundusze Europejskie dla Innowacyjnej Gospodarki zakładają różne formy wsparcia. Jeśli firmy generyczne będą starać się o te fundusze, to mogą aplikować o granty dotyczące rozwijania produkcji, wprowadzania nowych postaci leków z daną substancją czynną (np. o przedłużonym sposobie uwalniania substancji czynnej; postaci złożone), a także substancji czynnych w nowych formulacjach niedostępnych do tej pory czy otrzymanych z wykorzystaniem

nowych substancji pomocniczych, bo przecież lek to nie jest tylko substancja czynna. W tych programach są przewidziane środki na wspieranie produkcji, finansowanie badań i rozwoju tzw. produktów krytycznych, a są nimi właśnie leki generyczne, które mają zapewnić pacjentom nieprzerwaną możliwość terapii.

W powszechnym rozumieniu lek „innowacyjny” to lek nowy, oryginalny. Innowacją jest też generyk?

Oczywiście, co zostało doskonale wyjaśnione w podręczniku „Oslo Manual 2018”. Innowacja powinna być oceniona przede wszystkim przez pryzmat potrzeb pacjenta. Innowacyjne mogą być zarówno leki nowe, oryginalne, jak i generyczne.

Lek oryginalny nie zawsze jest innowacyjny, nie do końca można utożsamiać innowacyjność z oryginalnością. Produkt oryginalny nie ma na rynku swojego odpowiednika, ma unikatową strukturę chemiczną, często opatentowaną. Pojawiają się jednak leki, które mają podobną strukturę chemiczną, są z tej samej grupy, o tym samym mechanizmie działania (czasami nazywamy je lekami „me too”). Są to leki oryginalne, ale niekoniecznie w pierwszej ocenie wykazują cechy innowacyjności. Przykładem mogą być leki przeciwcukrzycowe z grupy flozyn, z których pierwszym lekiem uznanym za oryginalny i innowacyjny jest dapagliflozyna. Pojawienie się empagliflozyny o analogicznym mechanizmie działania poprawiło przystępność cenową tej grupy leków i przełożyło się w efekcie na szerszą dostępność, korzystną z punktu widzenia pacjenta i systemu opieki zdrowotnej. A jak wspominałam wcześniej, przystępność cenowa jest jedną z cech innowacyjnego produktu.

Innowacyjność oznacza, że produkt jest nowy albo ulepszony w stosunku do istniejącego. W przypadku leku generycznego innowacyjność może przejawiać się w postaci korzyści dla pacjenta: ma nowe cechy funkcjonalne, które poprawiają dostępność, skuteczność leczenia, sprzyjają przestrzeganiu zaleceń terapeutycznych.

Jakie cechy leku generycznego pozwalają mówić, że jest on innowacyjny?

Na przykład ma wygodniejszy schemat dawkowania (wystarczy go podawać raz dziennie zamiast trzy razy), wygodniejszą formę przyjmowania (np. dla

dzieci w syropie, a nie w tabletkach). Innowacją są też leki złożone, składające się z dwóch albo nawet trzech substancji czynnych. Opracowanie takiego leku trwa nawet kilka lat i jest często trudnym technologicznie wyzwaniem. Nie jest łatwo opracować technologię wytwarzania i wdrożyć lek złożony z dwóch, trzech substancji czynnych.

Może się wydawać, że wystarczy zbadać, co jest w tabletkach, i ją skopiować albo połączyć dwie tabletki w jedną z dwiema substancjami czynnymi...

Nie, to bardzo skomplikowany proces. Zmiana jednej substancji pomocniczej w leku to czasami trzy lata pracy, a konieczna jest jeszcze rejestracja. Lek to nie jest taki sam produkt jak każdy inny. To produkt o najwyższej jakości i najwyższym poziomie bezpieczeństwa. Lek generyczny podlega takim samym regulacjom jak oryginalny, choć oczywiście, w przypadku leku oryginalnego, dochodzą jeszcze badania przedkliniczne.

Czy o innowacji w leku generycznym można mówić też wtedy, gdy jest tańszy?

Musimy zabezpieczyć potrzeby zdrowotne pacjentów, a także rozwijać swój przemysł, bo cała Europa się rozwija i wspiera swój przemysł farmaceutyczny

Tak, jeśli jest tańszy z powodu np. zastosowanej modyfikacji technologicznej. Producent mógł wdrożyć technologię, która pozwoliła zaoszczędzić: lek jest unowocześniony, a koszt wytworzenia niższy. Nowe technologie często pozwalają na oszczędności. Dzięki temu koszty w ochronie zdrowia zmniejszają się, co powoduje zmniejszenie kosztów refundacji danego leku lub kosztów ponoszonych przez pacjenta. Pacjent dzięki temu ma szansę kupić tańszy lek, w lepszej, unowocześnionej formie, o prostszym schemacie dawkowania.

Jakie kryteria powinny przesądzać, który lek generyczny jest innowacyjny?

Kluczowe są korzyści dla pacjenta: lek jest w zmodyfikowanej formie, ma wygodniejszy schemat podawania. Bardzo ważnym kryterium jest wdrożenie: jeśli rozwój leku ma być wsparty przez środki publiczne, to konieczne jest jego wyprodukowanie, wejście na rynek. Z punktu widzenia przemysłu ważne są też kon-

kurencyjność przedsiębiorstw na rynku krajowym i międzynarodowym, wprowadzanie nowych technologii, rozwój przedsiębiorstwa – buduje się kompetencje pracowników, know-how: wiedzę i umiejętności w zakresie rozwoju leku.

Lek generyczny to nie jest więc „podróbka”, tylko często wysokiej klasy innowacja?

Często nie zdajemy sobie sprawy, że w przemyśle farmaceutycznym innowacyjność dotyczy zarówno procesu powstawania leków oryginalnych, jak i rozwoju ich odpowiedników oraz udoskonalania leków o potwierdzonej skuteczności i profilu bezpieczeństwa. 80 proc. leków w aptekach to leki generyczne. Bez leków generycznych nie mielibyśmy czym leczyć pacjentów.

Idealnie byłoby, gdyby państwo mogło wspierać zarówno produkcję leków oryginalnych, jak i generycznych?

Oczywiście, te dwa obszary powinny być rozwijane. Firmy generyczne wprowadzają leki udoskonalone. Ważne, żeby modyfikować istniejące produkty,

przystosowywać je do potrzeb pacjenta. Leki to produkty najwyższej jakości. Musimy zabezpieczyć potrzeby zdrowotne pacjentów, a także rozwijać swój przemysł, bo cała Europa się rozwija i wspiera swój przemysł farmaceutyczny. W ocenie innowacyjności i nowości projektów badawczo-rozwojowych potrzebne są zarówno działania wspierające prace nad lekami oryginalnymi, jak i generycznymi, trzeba to zbilansować i mądrze finansować. Ważne jest równe traktowanie wszystkich cech definiujących innowacyjność, niezależnie, czy obejmują zmiany technologiczne czy oferują inne korzyści istotne z punktu widzenia pacjenta, a także płatnika w systemie ochrony zdrowia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Bożena Karolewicz
jest prezesem
Polskiego Towarzystwa
Farmaceutycznego.

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI MATEBOOK X PRO 2022

Eleganckie wzornictwo, wydajny procesor, fantastyczny dotykowy ekran z odświeżaniem 90 Hz w proporcjach 3:2, bardzo dobra, podświetlana klawiatura, świetnie brzmiące głośniki, możliwość szybkiego ładowania 90 W – to największe zalety flagowego ultrabooka chińskiej firmy Huawei.

Są takie modele samochodów oraz komputerów, które producenci kojarzeni głównie z tańszym sprzętem wypuszczają na rynek, żeby pokazać wszystkim jedno: w swojej branży potrafią być najlepsi. W przypadku Huawei taką serią ultrabooków jest właśnie MateBook X Pro.

Ważący 1,3 kg ultrabook jest smukły (jego grubość to 15,5 mm), elegancki i granatowy, co jest szczególnie ciekawe w tłumie czarnych biznesowych komputerów. Obudowa ultrabooka jest też przyjemna w dotyku (dzięki pokryciu powłoką soft-touch) i nie działa jak magnes na odciski palców. Wysokiej jakości materiały są świetnie spasowane, a podświetlana klawiatura i gładzik są tak dobrze zaprojektowane, że korzystanie z nich jest naprawdę przyjemne. Touchpad obsługuje nie tylko tradycyjne gesty, lecz także wiele nowych, które przyspieszają wykonywanie zrzutów ekranowych, minimalizowanie okna, zmianę poziomu jasności czy regulowanie głośności. Wbudowana kamera obsługuje funkcję rozpoznawania twarzy Windows Hello. Można również sterować laptopem bezdotykowo, wykonując odpowiednie gesty w powietrzu (rozwiązanie znane od lat użytkownikom samochodów klasy premium).



To, co robi największe wrażenie, to fantastyczny, dotykowy ekran o przekątnej 14,2 cala, rozdzielczości 3,1 K (3120 x 2080 pikseli), doskonałych kolorach, częstotliwości odświeżania na poziomie 90 Hz oraz wysokiej jasności maksymalnej (sięgającej ponad 500 nitów), umożliwiającej pracę na tarasie nawet w ostrym słońcu (co dodatkowo ułatwia specjalna powłoka eliminująca odbłaski).

W obudowie znalazły się cztery porty USB (dwa USB-C i dwa Thunderbolt 4) oraz aż sześć głośników, dzięki którym dźwięk wydobywający się z tego ultrabooka jest wyraźnie lepszy niż u wielu konkurentów. Na pochwałę zasługuje też wydajny procesor Intel Core i7-1260P oraz 1 TB pamięci SSD na dane. Ultrabook sprawdzi

się co prawda głównie w zastosowaniach biznesowych, ale jeśli ktoś w delegacji będzie musiał odpalić jakąś grę, to też spokojnie da radę.

Wady? W tym modelu poza wysoką ceną jest niewiele rzeczy, do których można się przyczepić. Po pierwsze, 16 GB pamięci RAM to niby wystarczająco, ale niektórzy konkurenci nawet w tańszych ultrabookach montują już 32 GB. Po drugie, w testowanym modelu brakuje zarówno portu HDMI, jak i starego, ale wciąż często używanego USB-A (choć w zestawie jest odpowiednia przejściówka z USB-C). Po trzecie, bateria w sprzęcie tej klasy powinna zapewniać całodzienną pracę na jednym ładowaniu, a w przypadku tego modelu tak może, ale wcale nie musi być. A po czwarte, w 2022 r. kamera o rozdzielczości zaledwie HD ultrabookowi przeznaczonemu dla dyrektorów i prezesów już po prostu nie przystoi. Owszem, fajnie, że są funkcje AI Camera, dzięki którym lepiej wypada się podczas wideokonferencji, ale ta rozdzielczość... Wstyd.

Poza tym na klapie komputera klasy premium, który według oficjalnego cennika kosztuje powyżej 10 tys. zł, nie powinno być wielkiego logo producenta, bo ci użytkownicy, których stać na taki sprzęt, naprawdę nie muszą krzyczeć wszystkim wokół: „Mam Huawei!”

Mimo tych minusów MateBook X Pro 2022 to ultrabook coraz bliższy ideału. Wskazuje na to również cena, która wynosi obecnie 8 999 zł. I chociaż w promocji producent dorzuca jednak w gratisie fajny smartwatch GT3 Pro, to wciąż tanio nie jest. ©©

Jacek Przybylski



LEKKI DRON DLA AMATORÓW

Ważący zaledwie 410 gramów, akumulator o pojemności 2420 mAh powinien według producenta wystarczyć na ok. 18 minut lotu, a szerokokątny obiektyw z przesłoną

f/1.7 i matrycą 48 Mpix umożliwia rejestrację obrazu w rozdzielczości 4K w 60 kl./s albo w rozdzielczości 2,7 K (2704 x 1520) i prędkości nagrywania wynoszącej nawet 120 kl./s. To najważniejsze elementy specyfikacji najnowszego drona chińskiej firmy DJI, który pod koniec sierpnia miał swoją światową premierę. Rejestrowany obraz nowy bezzałogowiec o nazwie Avata przesyła w czasie rzeczywistym na dedykowane gogle. Dron za pomocą joysticka można obsługiwać jedną ręką. A specjalna konstrukcja sprawia, że zderzenie z pojedynczymi gałązkami nie powinno od razu doprowadzić do katastrofy. Cena za wariant podstawowy to 5849 zł, a za zestaw z goglami DJI Goggles 2 – 7299 zł.



MONITOR, KTÓRY MOŻNA ZAGINAĆ

Xeneon Flex OLED. Tak nazywa się najnowszy monitor dla graczy

amerykańskiej firmy Corsair. Jak wskazuje nazwa, model jest wyposażony w dużą, 45-calową matrycę wykonaną w technologii OLED z częstotliwością odświeżania na poziomie nawet 240 Hz i czasem reakcji wynoszącym 0,03 ms GTG. Rozdzielczość obrazu to 3440 na 1440 pikseli. Wrażenie robi też maksymalna jasność, sięgająca nawet 1000 nitów. To, co naprawdę wyróżnia ten model monitora, to możliwość zaginania ekranu. Naprawdę! Wyświetlacz może pracować w tradycyjnym, całkowicie „płaskim” trybie. Można też za pomocą łapek na bocznych krawędziach zagiąć ekran. Płynna regulacja zakrzywienia umożliwia osiągnięcie promienia krzywizny na poziomie 800R. Nieźle. Wrażenie robi też zapewne cena, która ma zostać podana podczas przyszłorocznej rynkowej premiery urządzenia. ©© **Jacek Przybylski**



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wspaniała unia horodelska

Horodło to wieś na granicy polsko-ukraińskiej, na północny wschód od Hrubieszowa. W źródłach historycznych wymieniane jest pod koniec XIII w., kiedy książę halicki Włodzimierz zapisał je w testamencie żonie. W 1366 r. książę litewski Lubart odstąpił osadę Kazimierzowi Wielkiemu, kolejny książę Jerzy Narymuntowicz otrzymał ją w lenno, jednak kiedy zbuntował się po śmierci króla i zaczął zajeżdżać sąsiadów, starosta krakowski

Sędziwój z Szubina zajął zbrojnie zamek, który w 1382 r., po śmierci Ludwika Węgierskiego, sprzedany został przez dowódcę księciu łuckiemu. Wkrótce jednak król Władysław Jagiełło przekazał całą ziemię bełską wraz z Horodłem jako posag swej siostry Aleksandry wydanej za Ziemowita, księcia mazowieckiego.

Przed rokiem 1394 osada uzyskała prawa miejskie, a w XV w. przechodziła z rąk do rąk, stanowiąc przedmiot wymiany między królami Polski i książętami litewskimi.

Od 1413 r. należała do Witolda, potem od 1430 r. do książąt mazowieckich, którym odebrał je Świdrygiełło. Wreszcie od 1432 r. przeszła pod władzę księcia mazowieckiego Kazimierza, a od 1462 r. całe księstwo bełskie weszło ostatecznie do Korony jako nowe województwo, Horodło zaś stało się stolicą starostwa.

W historii dawnej Rzeczypospolitej zapisało się jako miejsce podpisania trzeciej z kolei unii polsko-litewskiej; szczególnie, bowiem gwarantującej odrębność Litwy, przy jednoczesnym uznaniu litewskich bojarów za szlachtę.

Uroczystym aktem nadano polskie herby przedstawicielom 47 rodów możnowładczych z Wielkiego Księstwa wybranym przez księcia Witolda.

2 października 1413 r. powstał bezprecedensowy w dziejach akt zrównania w prawach przedstawicieli dwóch, a faktycznie trzech narodów – polskiego, litewskiego i ruskiego. Rycerskie herby powędrowały pod strzechy litewskich gródków, dając początek możliwym rodom – Gasztołdom, Radziwiłłom, Moniwidom, Giedrojcjom, Sakowiczom, Sapiehom, Niemiryczom, Wołowiczom i innym.

Dokument unii jest piękny i wzruszający, jak na burzliwy i brutalny wiek XV. „Nie doznać nikomu łaski zbawienia – czytamy w nim – kogo nie wesprze miłość, gdyż ona jedna nie działa marnie, gdyż sama sobie świecąc, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, użyzca wszystkim pokój, skupia, co się rozpieczęło, podźwiga, co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulegnie się gróźbom niczych. Miłość to tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi. [...] Dlatego my prałaci, rycerstwo i szlachta Korony Polskiej [...] dokumentem niniejszym zespalamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem”. Dzisiaj dalekim, oby szczęśliwym powtórzeniem zapisów unii horodelskiej stały się ustawy uchwalone przez parlament Ukrainy o specjalnym statusie Polaków i nasze wcześniejsze akty prawne o pomocy uchodźcom z Ukrainy.

Horodło nie zapisało się już w historii Rzeczypospolitej. Spalone

w 1500 r. przez Tatarów, w 1565 r. uzyskało przywilej i pozwolenie na wystawienie ratusza. W 1706 r. ograbili je żołdacy Karola XII, króla Szwecji, który najechał Rzeczypospolitą. Później przyszło mu dzielić los innych miast i miasteczek zagrabionych przez zaborców i zaniedbanych.

10 października 1861 r. Horodło stało się widownią ogromnej patriotycznej Manifestacji Jedności Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Z okazji 448. rocznicy unii horodelskiej przybyło tutaj ponad 10 tys. manifestantów poruszonych odezwami Apollona Korzeniowskiego i pracą historyczną Karola Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło”. W obchodach brali udział przedstawiciele wszystkich narodów zamieszkujących dawną Rzeczypospolitą – Polacy, Żydzi, Litwini i Rusini, duchowni obrządków rzymskiego i unickiego. 8 tys. osób podpisało rezolucję odnawiającą unię horodelską i rozesłaną potem po wszystkich krajach Europy, przypominając, że sprawa polska ciągle jest niezatłwiona. Manifestacja wywołała wściekłość Moskali, dla których samo wspomnienie dawnej Rzeczypospolitej było śmiertelną obrazą. Policja carska zatrzymała procesję zmierzającą z Kresów, potem zrównała z ziemią kopiec usypany na pamiątkę unii. Odnowiono go dopiero w 1924 r., istnieje do dziś na północny zachód od Horodła, przy drodze 816. Nie jest to jednak miejsce, w którym podpisano unię; to bowiem uczynili Jagiełło i Witold na zamku, który już nie istnieje. Pozostało po nim zarośnięte miejsce nad Bugiem zwane Grodziskiem lub Wałami Jagiełłońskimi. Do 1706 r. znajdował się tutaj opuszczony, drewniany zamek, który zniszczyli Szwedzi. Być może pozostałością po nim są kamienne lwy ustawione w parku na rynku miejscowości. ©



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

RYS. ODA

I RZECZYPOSPOLITA

• Horodło



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lato zamknięte w słoiku

Czas zamknąć lato w słoiku i przygotować się do zimy. Sezon na przetwory ruszył pełną parą. Pod metalową przykrywką w szklanym słoiku zamykamy nasze najlepsze i najsmaczniejsze smaki, wspomnienia lata. Światem przyrody kieruje sezonowość, więc właśnie teraz, w okresie późnego lata i wczesnej jesieni, jest czas na robienie przetworów.

Możemy kisnąć, marynować, pasteryzować i konserwować cukrem, suszyć i mrozić – wykorzystajmy każdy sposób, by mieć pod ręką to, co lubimy, i to, co jest nam potrzebne w kuchni przez cały rok.

Niegdyś w spiżarniach szanujących się domów obowiązkowo musiały się znaleźć suszone owoce: jabłka, gruszki, brzoskwinie, grzyby, kiszzone ogórki, kapusta, marynowana dynia, cukinia i patisony oraz wiele innych przetworów – dżemów, powideł i kompotów. Zapelniona po brzegi spiżarnia dawała gospodyni poczucie spokoju, że na stole nie zabraknie dodatków do obiadu przez całą zimę. Tak zaopatrzona spiżarnia była jej dumą. W „Encyklopedii staropolskiej” Zygmunt Gloger zwracał uwagę na zdrowotne zastosowanie przetworów: „W każdym dawnym dworze polskim znajdowała się osobna izdebka, służąca do przechowywania korzeni kuchennych, przysmaków, konfitur, soków, wódek, likworów i lekarstw domowych”.



FOT. ADRIAN STOK

Kiedyś kiszone jabłka w beczkach z kapustą – był to jeden ze sposobów przechowywania tych owoców, wykorzystywanych np. przy zwalczaniu infekcji. Miały też one zbawienny wpływ na trawienie i florę bakteryjną, tak samo jak kiszona kapusta i ogórki, nie wspominając już o wspaniałych właściwościach ich soku. Taki sposób przechowywania jabłek stosowany był, zanim zaczęto używać cukru, czyli przed XVIII w.

Revolucję w przechowywaniu zbiorów i robieniu przetworów przyniosły słoje Wecka z gumką i sprężynką. Dziś najbardziej popularnym sposobem są słoiki twist-off stosowane przez gospodynie mniej więcej od lat 70. Sposoby pasteryzacji też są różne – jedni używają piekarnika, inni gotują weki w garnkach.

Podsumowując – warto co roku zrobić kilka słoiczków z naszym ulubionym owocem lub warzywem. To olbrzymia satysfakcja, gdy otworzymy słoiczek zimową porą i przypomnimy sobie smak lata własnoręcznie zamknięty w słoiku.

Przepis na konfiturę z borówki amerykańskiej

- 1 kg owoców borówki
- 300–400 g cukru

Owoc myjemy, przebijamy, wkładamy do garnka i zasypujemy cukrem, wstawiamy na gaz i gotujemy przez minimum 30 min, często mieszając, tak aby owoce nie przywarły do dna. Gorące owoce przekładamy do czystych i wyparzonych słoików, mocno zakręcamy i obracamy do góry dnem. Odstawiamy do wystygnięcia. Mogą być dodatkiem do twarożku, naleśników albo do deserów. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Telefonofil



Kiedy starszy (40+) człowiek nie wie, jak coś działa w komórce, pyta nastolatka.

Wiadomo, że on ma sprzęt obczajony genetycznie. Jednak okazuje się, że nawet roczniki, które jeszcze nie tak dawno uczyły się alfabetu, posiadały zaawansowaną wiedzę technologiczną. Mój 10-letni wnuk poproszony o pomoc informatyczną zgodził się z entuzjazmem. Wykonawszy kilka ruchów palcami – tak szybkich, że nie zdążyłam się zorientować, co właściwie zrobił – wręczył mi naprawiony telefon.

W pakiecie gratis zaproponował wprowadzenie kilku, jego zdaniem niezbędnych modyfikacji – nowych aplikacji, nowej tapety, innych gadżeciarskich pomysłów. Dałam odpór. Wiadomo, starszy człowiek przyzwyczaja się do działania najbliższego przyjaciela, jakim jest telefon, i zmian nie lubi.

Co w tym ciekawego? Otóż zauważyłam, że temu 10-latkowi telefon służył głównie jako instrument do rozpracowywania działania samego telefonu. Chłopiec nie rozmawiał dużo, nie pisał wiadomości. Ale działanie aparatu, a był to model całkiem nowej generacji, nie miało dla niego żadnych tajemnic.

Jedną ze swoich doskonałych audycji muzycznych radiowej Dwójki – „Duża czarna” – jej redaktor Przemek Psikuta poświęcił audiofilom. Audiofil to „osoba szczególnie zainteresowana wysoką jakością odtwarzanego dźwięku i kolekcjonująca sprzęt odtwarzający najwyższej klasy [...]”.

Zestawy audiofilskie składają się nierzadko ze sprzętu nazywanego hi-end, którego koszty poszczególnych komponentów sięgają dziesiątek i setek tysięcy złotych” – mówi Wikipedia.

Ci ludzie w zasadzie nie potrzebują muzyki, wystarczy im słuchanie, jak działa ich wspaniały sprzęt. Pewnie jednak jakąś płytę muszą wsadzić do swego gramofonu czy odtwarzacza, ale generalnie delectant się nie pięknem utworu, ale jakością sprzętu.

Owszelkich proporcji zachowanie 10-latka wydaje mi się podobne do zachowań audiofilów. Sprzęt staje się celem samym w sobie. Zapewne podobnie zachowują się właściciele bardzo drogich samochodów, którzy na polskich drogach i tak nie mogą korzystać z ich wyśrubowanych możliwości. Podobnie ci, którzy kupują książki nie po to, by je czytać, ale po to, by je mieć. Pisał Jachowicz o dziewczynce, która „książki kupowała, ale żadnej nie czytała: ot, tak tylko, byle miała”...

Miałam ciocię, która ze łzami wzruszenia w oczach słuchała koncertu Mendelssohna odbieranego na maleńkim tranzystorze, niewiele większym od dłoni. Szumy i trzaski? Nie szkodzi. Liczy się muzyka. ©©



DEKAMERONKI

Uczeń w masce

JERZY KARWELIS

Jako że mamy rok szkolny w toku, to chciałbym, dla porządku, bo szykują się wyrwywni, ostrzec przed pewnym pomysłem, na którego powtórkę ktoś może mieć jeszcze ochotę. Ponieważ teren szkoły staje się już zwyczajowo polem walki politycznej, biorącej na zakładników nasze pociechy, to uniknijmy chociaż jednego – brońmy polskie dzieci przed sanitaryzmem w szkole.

Chodzi o noszenie maseczek przez dzieciaki. Mówiono o tym wiele, ale jakby grochem o ścianę. Sanitarni ekstremiści kazali nosić maseczki na podstawie jakichś teoretycznych modeli transmisji wirusa, które notabene mówiły o milionach trupów już na początku pandemii. W Polsce. Teraz pora na weryfikację. Kosztowną, bo po wcieleniu akcji maskowania dzieci na skalę globalną mieliśmy do czynienia ze światowym eksperymentem. A więc ryzykiem na poziomie populacyjnym, które dopiero teraz weryfikuje rzeczywistość, czyli nauka.

Właśnie opublikowano badania katalońskich dzieci. Próbką spora, bo 600 tys. Okazało się, że fakt noszenia maseczek nie miał żadnego wpływu na transmisję wirusa. Pominę na razie wniosek ogólny, że ta prawidłowość nie musi koniecznie dotyczyć wyłącznie dzieci. Bo niby dlaczego? Przecież wielu koryfeuszy sanitaryzmu powieliło swoje dowody,

które teraz okazały się chybionymi tezami, że młodzi to transmitują jak nic, jeszcze zabijając podstępnie babcie, które je odprowadzały do szkół i przedszkoli.

Ale bądźmy łaskawi i nie rozciągajmy atych wyników na bezsens maseczkowania ludzkości. Skoro więc noszenie i nienoszenie maseczek to dla wirusa egal, to popatrzmy, jakie może być ryzyko noszenia maseczek u młodzieży. No, delikatnie mówiąc, niedotlenienie nie bardzo sprzyja rozwijającemu się organizmowi. Metabadania maseczek wskazywały też, że długo noszone (tak, każdy zmieniał je przecież co 8 godzin i neutralizował w domowym autoklawie) są siedliskiem bakterii groźnych dla dróg oddechowych. W końcu przebywanie wśród osób zamaskowanych odciska się na rozwoju psychicznym dziecka, które nie rozpoznając mimiki, nie jest w stanie odczytywać emocji, nawet w przyszłym, niezamaskowanym już świecie.

A wiemy, że z maseczkami w szpitalach i aptekach będziemy do końca września i to już drugie przełożenie terminu odmaseczkowania. I jak któremuś przyjdzie do głowy, a szykują się chłopaki gdzieś, by zamaskować znowu dzieci w szkołach, żłobkach i przedszkolach, to chciałbym, żeby było wiadomo, jak jest. Wszystkim: i decydom, i rodzicom. ©©



#WARTO

„Bez parasola i podpórki”

JAN POSPESZALSKI

Nigdy nie przypuszczałem, że Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego posłużą prymasowi Polakowi do zdyskredytowania obywatelskiego projektu „W obronie chrześcijan”. Choć w homilii wygłoszonej na Jasnej Górze nie pada nazwa inicjatywy posłów Solidarnej Polski, to jednak prymas daje do zrozumienia, jak bardzo gardzi tym projektem. Na apel „W obronie chrześcijan” wielu katolików zareagowało ze zrozumieniem. Pamiętamy brutalne ataki na kościoły w trakcie tzw. strajku (niektórych) kobiet. Niedawno, w lipcu, w Lublinie i w Zabrze pijani młodzi ludzie znów zakłócili mszę świętą. Zarówno wandalę z października 2020 r., jak i ci z Zabrze i Lublina pozostaną pewnie bezkarni, ponieważ obecne prawo nie działa. Luka prawna sprawia, że za obrazę uczuć religijnych niezwykle trudno jest kogokolwiek skazać. A bezkarność rozzuchwała.

Ludzie o tym wiedzą, dlatego, dzięki ogromnemu zaangażowaniu wolontariuszy i działaczy katolickich, w kilka tygodni zebrano sporo ponad wymagane 100 tys. podpisów. Prymas Polak przekreśla ten wysiłek, ale smutniejsze jest, że z tekstu Ślubów Jasnogórskich wybiera tylko jeden akapit dotyczący zobowiązania, by Polacy żyli w „... miłości i sprawiedliwości, w zgodzie i pokoju, aby wśród nas nie było nienawiści, przemocy i wyzysku”, i przechodzi zaraz do uzalania się nad konfliktem politycznym i partyjną rywalizacją, by potem nagle

wykonać woltę i przejść do pojęcia życia w wolności dzieci Bożych, która to wolność, zdaniem prymasa, „nie opiera się na zadekretowanych zabezpieczeniach czy prawnych wzmocnieniach. Nie jest zależna i nie oczekuje, by ochraniały ją jakieś ludzkie projekty. Nie odwołuje się do przymusu i siły”.

Prymas rozwija myśl, mówiąc, że nie potrzeba parasola ani zewnętrznych podpórki, które nas, wierzących, mają ochronić i zabezpieczyć. Prymasowi być może nie potrzeba ochrony, ale nam, wierzącym, bardzo. Potrzeba nam też przywództwa w Kościele i woli dotrzymania innych wezwań jasnogórskiego ślubowania: „Dochowania wierności Bogu, Krzyżowi i Ewangelii, Kościołowi świętemu i jego pasterzom, Ojczyźnie naszej świętej, chrześcijańskiej przedniej straży [...]. Przyrzekamy Ci umacniać w rodzinach królowanie Syna Twego Jezusa Chrystusa, bronić czci imienia Bożego, wszczepiać w umysły i serca dzieci ducha Ewangelii i miłości ku Tobie, strzec prawa Bożego, obyczajów chrześcijańskich i ojczystych”.

A więc, zbierając podpisy, wypełniamy powyższe ślubowania – wierności Bogu i obrony czci imienia Bożego. Wobec zagrożenia, którymi są coraz częstsze postawy zuchwałej nienawiści do Kościoła i antychrześcijańskie europejskie dyrektywy i konwencje, nie mając dziś wsparcia od pasterzy, sami zabiegamy o zmianę prawa, ponieważ ślubowaliśmy strzec obyczajów chrześcijańskich i ojczystych. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wszystko to jest szczerą prawdą

Zakończył się Campus Polska Przyszłości. Stop. Uwagę mediów społecznościowych przyciągnęła osoba Ika Graboń. Stop. Sama osoba publicznie przedstawiła się tak: „Programista, osoba aktywistyczna na rzecz osób LGBTQIA+, samorzecznik w centrum autyzmu. Prywatnie fan fantastyki i rodzic wspaniałych kotów i psów”. Chciałoby się napisać „Stop”, ale to się chyba rozpędza...

Dzieciom śpiewająca hity pieśniarka Majka Jeżowska także była na Campusie. Stop. Wyraziła chęć odwiedzania żłobków i edukowania dzieci w duchu nowoczesności i podejścia tolerancyjnego. Stop. Według pani Majki rodzice, a już najgorzej dziadkowie, włączają maluchom jakieś obrzydliwe wzorce społeczne do uszógłów. Stop. Nie ma nic gorszego od rodziny. Stop. Zlikwidować zarazę. Stop.

Lesbijek nie wpuszczono na paradę LGBT w Walii. Stop. Chciały wejść i protestować przeciw transmężczyznom, którzy uważają się za kobiety. Stop. Transi twierdzą, że lesbijki powinny pożądać i kochać osoby wyglądające jak faceci, ale czujące się kobietami. Stop. Lesbijki chcą jednak kochać kobiety wyglądające jak kobiety, będące biologicznymi kobietami, i same uważają się za kobiety. Stop. Tak jakby istniała płeć kobieta. Stop. Średniowiecze! Stop. Lesbijki do narodowców. Stop.

Fundacja Grand Press wręczyła Medale Wolności

Słowa. Stop. Gala odbyła się w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. Stop. Medal Wolności Słowa w kategorii Obywatel otrzymała Katarzyna Wappa. Stop. Wappa została słynna na całym świecie po osobistej relacji o Ibrahime, który chciał przekraczać granicę polską. Stop. Oto fragmenty tego historycznego reportażu nadanego przez TVN. Stop. „Białorusini wypchnęli go wręcz do rzeki, on płynął sześć dni. W ciągu dnia w tej lodowatej wodzie, w nocy wychodził na brzeg. Mokry, zmarznięty, kładł się na gołej ziemi. Nie zapalał ogniska, bo bał się, że go ktoś zobaczy. Jak udało mu się spać maksymalnie do godziny już ze znużenia, to szedł, żeby się rozgrzać w nocy. Potem znowu siadał i tak to wyglądało; w tym czasie nie jadł i nie pił, parę łyków wody z rzeki, ale się bał pić, bo bał się, że zachoruje. Gdy on tutaj gdzieś wypłynął, pojawił się dla świata w naszym regionie i kiedy mu pomogliśmy, on nas obdarzył zaufaniem. Dzwonił do mnie i mówił mi: »Boję się«, a ja do niego mówiłam: »Boję się, jestem z tobą«. Stop. Ponieważ po tej relacji pojawiły się głosy, że to jakaś horrendalna bzdura z tą rzeką mającą kilka stopni Celsjusza, Wappa zareagowała. Stop. Powiedziała, że to wszystko prawda, bo Ibrahim sam jej to powiedział. Stop. Nie potwierdzono oficjalnie informacji, że Ibrahim przepłynął wpływ ocean. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Misyjne narody...

Małgośka – mówią mi – my, Polacy, mamy spóźniony refleks i dlatego uczymy się dopiero w następnych pokoleniach, w dodatku na błędach, które kosztują nas życie. Nie ukrywam, że niektóre z tych „błędów” bardzo mi się podobają, bo udowadniają, że gdy odchodzimy od rozumu i instynktu samozachowawczego, to zawsze w stronę serca i sumienia. Zupełnie inaczej niż inne narody, które rzucały się w objęcia totalitarnych ideologii.

Pamiętam też, jak prok temu jeden z publicystów prawicy hiszpańskiej, rozprawiając o losach narodu polskiego, bezpardonowo zaatakował mój kraj za – jego zdaniem – błuznierczą i świętokradczą – ideę polskiego mesjanizmu romantycznego. Rzecz rozgrywała się w wąskim kręgu znajomych z Hiszpanii, więc nie chciałam moją ripostą zrazić od razu wszystkich uczestników, choć dotknięta do żywego miałam od razu wypalić: „Reprezentant społeczności, która do dziś rozpacza z powodu bólów fantomowych po stracie zamorskich kolonii, nie będzie oceniał traumy narodu, który zniknął z mapy świata!”. Riposta była jednak zbyt obrazoburcza, więc ugryzłam się w język. Niestety, po niej do głowy przyszła mi jeszcze bardziej zjadliwa: „Reprezentant narodu, którego jedna część wdała się w udany

romans z bolszewizmem, inna z faszyzmem, a obłądnie karliści rodzą się do dziś, nie będzie mi prawić kazań!”.

Na szczęście starzeję się i nabieram ogłady, więc powstrzymałam się i odpowiedziałam tylko: „Ach, my, katolicy, zawsze z tym poczuciem misji od Najwyższego. Nam się zdawało być Chrystusem narodów, Wam się zdawało, że mieczem i trybunałem inkwizycji można ludzi w aniołów przerobić”.

Tak naprawdę chyba każdy naród miał w swej historii poczucie jakiejś misji, szukając uzasadnienia dla swych cierpień czy sukcesów. Amerykanie do dziś „misyjnie” zaprowadzają demokrację i dzięki temu – upieram się – przynajmniej my, Polacy, żyjemy spokojniej.

Ileokroć więc wykwita jakiś przejaw antyamerykanizmu nad Wisłą, tyleokroć przyglądam mu się uważnie, a nawet podejrzliwie, bo według mnie niewdzięczność to wstydliva przypadłość. Jankesi wielokrotnie ratowali Europę od potworów, które ona sama stworzyła: nazizmu i komunizmu, teraz zaś od rasyzmu. Jako matka nie wyobrażam sobie posłać moich synów, aby oddawali życie za jakąś Pensylwanię czy Ohio, dlatego ja zwykle jednak z wdzięcznością o Wuju Samie, bo per saldo dobrze wychodzimy na jego imperializm. A poza tym wcale się nie zdziwię, gdy ktoś kiedyś udowodni, że Europa jest z ducha Aten, Jerozolimy, Rzymu, ale też Hollywood. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wycie

Warunkiem dialogu, który ma doprowadzić do konstruktywnego celu, jest dobra wola. Nikt nie jest nieomylny i warto nieraz wysłuchać argumentów przeciwnej strony. [...] Niestety, w naturze człowieka głęboko tkwi chęć, by zawsze mieć rację. Niemiecki filozof Arthur Schopenhauer (1788–1860) opisał jako »erystykę« sposoby na zdominowanie rozmówcy. Wymienił szereg zabiegów erystycznych, »sztuczek«, które pozwalają pozornie pokonać przeciwnika, nawet jeśli to on ma rację.

To cytat z 250. strony podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego do przedmiotu „Historia i teraźniejszość”. W skrócie przedmiot nazywany jest HiT. Przez „aktywistów” natychmiast określony innym mianem: SHIT (to odwołanie do języka angielskiego, którego znajomość odróżnia elitę od plebsu). Tu zaczyna się pokaz „erystyki”, jakiej Schopenhauer nie przewidywał. Na podręcznik, kiedy tylko pojawiły się informacje o jego powstaniu, spadła lawina krytyki, która „nie mieści się na skali” (jak mawia pani marszałek województwa lubuskiego z PO o ilości rtęci wlanej do Odry): nie mieści się na skali najbardziej beczelnego kłamstwa i manipulacji, jaka tylko może zohydzić autora, podręcznik i przedmiot.

Sposób pierwszy: zarzuca nie błędów, określonych jako „skandaliczne” lub „kompromitujące”, których jednak po prostu w książce nie ma! Przykład, cytuję za portalem Onet: „Na stronie 36 kontrowersyjnego podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego zamieszczono mapę, na której Ustrzyki Dolne są poza granicami RP. Sprawę w mocnych słowach skomentował [...] burmistrz tego miasta”. Onet daje wielki tytuł: „USTRZYKI DOLNE POZA GRANICAMI RP – OGROMNY BŁĄD W PODRĘCZNIKU HiT”. Wystarczy

jednak zajrzeć na stronę 36 podręcznika, by zobaczyć mapę, z tłustym drukiem wybitą w jej lewym górnym rogu datą: 22 sierpnia 1944 r. To jest czas końca drugiej wojny, który przedstawia mapa i który jest omawiany w tej części podręcznika. Granica wschodnia „przyznana” przez Związek Sowiecki podporządkowanej Polsce istotnie przebiega tak, że Ustrzyki są poza nią. Od lipca 1944 do 15 lutego 1951 r. pozostawały one w składzie Ukraińskiej SRR. Prezydent tego miasta powinien przynajmniej tyle wiedzieć. Ale nie wie. Największy portal informacyjny w Polsce powinien sprawdzić informację swojego niedouczonego rozmówcy – ale nie sprawdził. Za Onetem powtarzają dziesiątki innych portali i tysiące wpisów na tzw. mediach społecznościowych.

Drugi przykład tej samej metody, połączonej ze starą – unicestwiania przeciwnika przez powołanie się na „autorytet”. W tym przypadku Onet przywołuje „profesora Uniwersytetu Wrocławskiego (z Zakładu Dydaktyki Historii i Wiedzy o Społeczeństwie w Instytucie Historii tej uczelni)” i cytuje jego opinię: „Nowa książka daje obraz Polski jako »kraju skrzywdzonego zawsze i przez wszystkich (zdrada aliantów zachodnich, zdrada jałtańska itp.)«”. Według krytyka książki prof. Roszkowskiego przypomnienie takich wydarzeń i związanych z nimi odczuć dużej części społeczeństwa polskiego może mieć fatalne konsekwencje: „To pokrzywdzenie »przez historię« może spowodować, że będziemy wychowywać frustratów lub osoby żądne dokonania rewizji stanu rzeczy”. A zatem: samo przypomnienie ważnego faktu historycznego, którym była decydująca m.in. o losach Polski konferencja jałtańska „Wielkiej Trójki” (Stalin, Roosevelt, Churchill), może prowadzić do

wychowania frustratów. Nie należy przypominać. Problem polega jednak na tym, że w podręczniku prof. Roszkowskiego nie tylko trudno znaleźć jakiegokolwiek odniesienia do szerokiego pojęcia „zdrady aliantów zachodnich” w czasie drugiej wojny, lecz także na pewno nie ma w nim żadnej, najmniejszej nawet wzmianki o konferencji jałtańskiej. Po prostu nie ma! Cóż to jednak za problem, jeśli chce się atakowany tekst zniszczyć? Można przypisać mu wszystko, także to, czego w nim nie ma.

Lista manipulacji, jakich dopuszcza się w bezprecedensowej fali medialnego „hejtu” wobec książki prof. Roszkowskiego, jest setki razy większa od objętości tego tekstu, choćbym chciał zmieścić tylko hasłowo ich przejawy i „gatunki”. Tu jest już miejsce tylko na jedną tezę: reakcja na ten podręcznik potwierdza najdobitniej rację formułowanej w nim diagnozy współczesnego świata – toczy się w nim bezwzględna wojna na kulturę. Autor podręcznika do HiT na samym wstępie swej książki zaprasza czytelników – uczniów – by uważali na ideologie, czyli „uproszczone wersje filozofii na potrzeby różnych programów politycznych”. Wymienia też od razu jako przykłady najbardziej popularne dziś ideologie polityczne „socjalizm, liberalizm, feminizm i ideologię gender, współczesną chadecję...”. I przestrzega zwłaszcza przed tą cechą ideologii, którą jest utopijność – gdy sięga się do „inżynierii społecznej i socjotechniki, mającej za cel przekształcanie społeczeństwa dla potrzeb osiągnięcia i posiadania władzy”. Kiedy takie słowa, taka przestroga pojawiają się na pierwszych stronach podręcznika, który może trafić do rąk młodych ludzi – piekło musiało się otworzyć. Wycie tych, którzy zostali nazwani po imieniu. ©

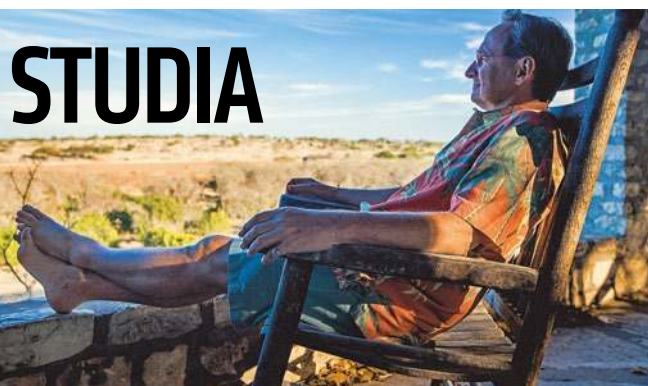


FOTO: W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRUNY/SOSNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Miewam wykłady na wydziałach handlu i zarządzania. Zaczynam od tego, że jeżeli ktoś z obecnych chce się nauczyć handlu, to jest w złym miejscu, bo handlu uczymy się, handlując. Otwórz własny biznes i zacznij zarabiać. Zarobisz pierwszy milion i wtedy dyplom nie będzie ci już potrzebny. Na żadnym wydziale ekonomii nie spotkałem profesora milionera, przemysłowca, fabrykanta, kapitalisty, dorobkiewicza, burżuja. Sami teoretycy. Zapraszamy takich jak ja dla ozdoby i rozrywki.

Biden chce „darować” długi studentom. Robin Hood rabował bogatych i rozdawał biednym, Biden na odwrót – chce zabrać forszę biednym i rozdać tym, którzy mają dyplomy wyższych uczelni.

W USA płacisz za studia – albo rodzice cię finansują, albo pracujesz w trakcie nauki, albo bierzesz kredyt, który spłacasz później, gdy podejmiesz pracę zarobkową z dyplomem w garści. W związku z tym wybierasz taką szkołę, na którą cię stać już teraz (bogaci rodzice) albo na którą będzie cię stać, gdy zostaniesz lekarzem, inżynierem, prawnikiem i zaczniesz spłacać kredyt. Banki doskonale wiedzą, które studia gwarantują spłatę kredytu, a które nie. Banki nie dają ci całej forsy od razu – w trakcie studiów sprawdzają twoje wyniki i jeśli będziesz się źle uczył, to nie dostaniesz transzy na następny semestr.

Jeżeli jesteś zdolny i ciężko pracujący, to możesz dostać stypendium od firmy, która cię później zatrudni. W ten sposób firmy łowią dobrych pracowników już w trakcie studiów – szukają zdolnych, pracowitych, pilnych. Niekiedy taka firma przenosi cię na lepszą, droższą

uczelnię, bo jesteś naprawdę dobry i warto w ciebie inwestować.

Możesz też dostać finansowanie studiów od jednej z tysięcy organizacji charytatywnych, które szczerzą się tym, że pomagają zdolnym, ale biednym studentom. Wszystkie te formy finansowania są sprawiedliwe, etyczne i moralne, bo polegają na dobrowolności wszystkich stron układu.

Biden planuje zburzenie tego uczciwego układu – chce przymusowo ściągnąć pieniądze od osób, które nie studiowały, i spłacić długi tych, którzy na swoje studia zaciągnęli kredyty. Gdyby Joe Biden spłacał cudze kredyty z własnych pieniędzy lub zdobył dobrowolne finansowanie od organizacji charytatywnych, wówczas wszystko byłoby w porządku. Chociaż nadal pozostałaby wątpliwość, czy to moralne i wychowawcze, by umarzać długi ludziom, którzy je zaciągali na własną odpowiedzialność i którzy ostatecznie uzyskali dyplomy wyższych uczelni. Wiele z tych osób bardzo dobrze zarabia – skończyli studia prawnicze, medyczne, inżynierskie. Często nie zarabia wcale, bo studiowali głupoty. W obu przypadkach nie widzę powodu do spłacania ich kredytów cudzymi pieniędzmi.

Biden chce ZMUSIĆ PRACUJĄCYCH OBYWATELI, żeby zapłacili rachunki za bezrobotnych 30-latków, którzy studiowali kompletnie bezużyteczne kierunki typu „dżender”, a teraz nie mają pracy, pobierają zasiłki i mieszkają w piwnicy u rodziców. Biden zamierza UKRAŚĆ pracującym ojcom rodzin i pracującym samotnym matkom

ich pieniądze, żeby nakarmić pełnosprawnych trutniów z dyplomami.

Biden chce zmusić robotnika i kierowcę ciężarówki, by zapłacili za studia 300 pracowników Białego Domu, którzy mają dyplomy i pracują na bezpiecznych posadach rządowych. Za studia prezydenckiego doradcy lub prawnika mają zapłacić prezydencka sprzątaczką, ogrodnik i hydraulik.

W Polsce studia są „bezpłatne”. Ludzie nie rozumieją lub nie uświadamiają sobie, że nie istnieją rzeczy bezpłatne – coś może być bezpłatne dla ciebie, ale wtedy ktoś inny za to płaci. Nawet jagody w lesie są płatne, bo musisz się po nie schylić i narwać, czyli... musisz wykonać pracę.

Określenie „bezpłatne studia” oznacza, że najpierw rząd ukradnie ci forszę, a potem zasili tą twoją forszą uczelnię, o których nawet nie słyszałeś. Zapłacisz za „bezpłatne”, a nawet PRZEPLACISZ – za przerośniętą, zdegenerowaną usługę. Bo co to za usługa, gdy płacący nie ma kontroli nad produktem, a producent przed nikim nie odpowiada? Ostatecznie kierowca ciężarówki, budowlaniec i rzemieślnik, którzy wykonują prawdziwe, kreujące bogactwo zawody, finansują studia komuś, kogo nie znają i kto nie wniesie niczego pożytecznego do społeczeństwa, nie zbuduje bogactwa, lecz będzie żerował na innych jako „ekspert” lub demolował to, co inni budują (specjalista od „dżender” demoluje).

Studia „bezpłatne” nie są bezpłatne, bo wykładowcy dostają wypłatę, sekretarka ma

płacone, elektrownia ma płacone rachunki za prąd, sprzątaczką jest zatrudniona za pensję. To wszystko opłacają ci, których trzeba było okraść z forsy, stosując przemoc państwa. Nikt nie pytał kierowcy ciężarówki, pielęgniarki ani cieśli, czy chcieliby zapłacić za gender studies jakiegos milenialsa we Wrocku.

Wszystkie studia powinny być płatne, a kredyty na studiowanie przydzielane przez prywatne banki i egzekwowane tak skrupulatnie, jak każdy inny kredyt. Wtedy ludzie będą wybierać takie studia, które są pożyteczne, uczą zawodu potrzebnego na rynku, zawodu, który spłaci twój dług. Wyjątkowe sytuacje, typu studia filozoficzne albo szekspirowskie, albo dla geniusza, który ma wyjątkowy talent, który nigdy nie wygeneruje przychodu, ale chcemy, by nasz geniusz prowadził jakieś badania – takie przypadki powinny uwzględniać stypendia fundacji lub uniwersytetu.

W Polsce nawet bardzo bystry i mądrzy ludzie akceptują „bezpłatne studia”. Bo skoro ich Hania dostała się na uczelnię i ma stypendium, to co w tym złego? Ano wszystko jest w tym złe, gdy studia twojej Hani finansują inni ludzie bez swojej wiedzy i zgody. Zapytaj sąsiada, czy chce płacić za studia twojej córki. I jeżeli zechce, niech płaci, ale DOBROWOLNIE, czyli osobiście.

Biden chce „darować” długi absolwentom, którzy jeszcze nie spłacili swoich kredytów (frajerami zostaną wszyscy ci, którzy swoje kredyty spłacili wcześniej). Chce te długi spłacić cudzymi pieniędzmi. Czyli bank dostanie swoje, student już dostał swoje, bo odbył studia, a teraz pielęgniarka, kierowca i cieśla mają bankowi zapłacić za nieswoje studia. To nie jest uczciwe, nie jest moralne, jest za to bardzo socjalistyczne. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

~~943 ZŁ~~

W PREZENCIE
KSIĄŻKI

D. WALUSIAK:
„WOJNA I WIARA 1920”

ABP F. J. SHEEN: „KOMUNIZM
I SUMIENIE ZACHODU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

342,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 601 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl cc8a6b1997



„XVI Międzynarodowy Kongres Numizmatyczny”

MONETA KOLEKCJONERSKA NBP



Nominał: **50 zł**

Na rewersie monety umieszczono wizerunek Joachima Lelewela (1786–1861), jednego z najwybitniejszych Polaków XIX stulecia, wielkiego patrioty, znakomitego historyka oraz znanego i cenionego w świecie numizmatyka. Na awersie widnieją wizerunki monet: talar Władysława IV, tymfa Jana Kazimierza z 1663 roku, grosz Kazimierza Wielkiego, szóstaka Jana III Sobieskiego oraz denara Princes Polonie Bolesława Chrobrego.

Narodowy Bank Polski

wprowadza do obrotu srebrną monetę kolekcjonerską o nominale 50 zł „XVI Międzynarodowy Kongres Numizmatyczny”. Moneta zostanie wyemitowana z okazji odbywającego się po raz pierwszy w Polsce Międzynarodowego Kongresu Numizmatycznego.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 6 września 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym:
kolekcjoner.nbp.pl